

# Halina Popławska

## Wakacje w Grenoble

Erminia Galdi

Piętnastego czerwca wczesnym rankiem pani doktor Konstancja Jankowska przyjechała do Grenoble.

Była w drodze już od czterdziestu ośmiu godzin, poprzedniego dnia przybyła do Paryża, a wieczorem z dworca Lyońskiego wyruszyła pociągiem na Południe.

Opuszczała Warszawę szarą i zamgloną, a tu stolica francuskich Alp roztoczyła przed zmęczonymi całonocną podróżą oczami Polki jarzący się od barw i blasku, nieprawdopodobny aż w swej urodzie pejzaż z kolorowej pocztówki.

Wystarczył przejazd taksówką z dworca na ulicę Vieux Temple, gdzie przygotowano kwatery dla delegatów, by zachłysnąć się pięknem owego Gratianopolis, któremu niegdyś rzymski imperator użył imienia.

Pani doktor należycie oceniła malownicze położenie miasta nad brzegami Izery, u stóp łańcucha Belladonny, z rozległą panoramą szczytów słynnych w dziejach alpinizmu, wygodę szerokich arterii centrum, nade wszystko jednak oczarowały ją wąskie a ruchliwe uliczki zabytkowej dzielnicy, gdzie za każdym rogiem czaiła się - rzecz można - historia, nie tylko Delfinatu, ale i Francji.

Po Gallach i Rzymianach Francja bowiem kładzie rękę na całej tej prowincji, którą już w średniowieczu otrzymuje w apanażu następca tronu, używający odtąd tytułu Delfina.

Szofer jest gadatliwy, z dumą wskazuje cudzoziemce nowoczesne gmachy po obu stronach prościutkiej alei, gęsto obsadzonej platanami.

Po chwili podłużny plac, poczerniałe mury romańskiego kościoła i nagle z oślepiającej wprost jasności samochód wpadł w ciemną głęb uliczki Vieux Temple, równie starej jak jej nazwa, obrzeżonej fasadami wielkich budowli niemniej sędziwego wieku.

Po prawej ręce otwierała się masywna brama, a długa sień wyprowadziła podróżniczkę na duży kwadratowy dziedziniec. Surową szarość kamienia, który z czterech stron zamykał arkadami ów klasztorny niegdyś podwórzec, łagodziła zielen jedyne drzewa. Oto olbrzymi figowiec rozrósł się szeroko, wyciągając gałęzie ku górze, byle wyżej, by choć musnęło je słońce.

Nadzieja na kąpiel i krótki odpoczynek niestety zawiodła: dla pani doktor zabrakło pokoju. Osobna sypialnia, owszem, oczekiwała na profesora, głównego przedstawiciela Polski na kongresie, ale ten miał przyjechać nazajutrz.

Trudno. Należało jakoś pogodzić się z tym pierwszym i może jedynym rozczarowaniem na francuskiej ziemi, doprowadzić do porządku toaletę i zjeść śniadanie, wreszcie zasiąść w amfiteatralnej auli, po drugiej stronie dziedzińca, gdzie miało nastąpić uroczyste otwarcie kongresu.

Pierwszy dzień inaugurujący obrady pediatrów oszołomił panią Konstancję nawałem wrażeń, różnorodnym gwarem, pstrokacizną egzotycznych nawet strojów. Tak była tym wszystkim przejęta, że dopiero wieczorem, po wspólnej kolacji, gdy opadło podniecenie, poczuła nagle, jak bardzo jest zmęczona.

Walizkę jej wstawiono już do dużej chłodnej sypialni, gdzie mimo czterech łóżek miała spędzić te kilka dni samotnie, jak ją zapewniono, przepraszając jednocześnie za niewybaczalną doprawdy "omyłkę".

Zamiast siedzieć w ogromnej auli, wśród paru setek osób reprezentujących wszystkie nieledwie rasy i narodowości, wolałaby pójść w zalane słońcem ulice, z których każda otwierała się na olśniewającą perspektywę Alp i niewiarygodnie czyste niebo. Pragnęła błędzić w tej jasności, daleko od ponurych obrazów, jakie przez sześć prawie lat oglądała w ojczyźnie.

Tu wszystko było pewne, bezpieczne, od wieków osiadłe na tym samym miejscu. Niszczycielska siła, ujarzmiona widać pięknem krajobrazu, uszanowała spokój i bezpieczeństwo miasta, nie tknęła owych budowli, jakim czas nadał wiekuiącą nieledwie trwałość.

Tu nie było ruin - wyjąwszy zabytki z czasów rzymskich - nie było trudności z zakupem ubrania czy bucików. Sklepy oferowały wszystko, cokolwiek przemysł zdążył wyprodukować dla potrzeby, wygody czy po prostu przyjemności konsumenta.

Ludzie nie musieli czekać aż zabłyśnie żarówka, czy popłynie woda z kranu, ruszy pierwszy tramwaj czy autobus. Tu wszystko trwało niezmiennie przez wieki, co najwyżej powóz zastąpiono samochodem.

Tak, tutaj nikt nie miał pojęcia, czym było ich życie tam, wśród grobów i zgliszcz.

A ci wszyscy uczestnicy kongresu, co właściwie wiedzieli? Rozgadane kobiety, mężczyźni zainteresowani co ładniejszą dziewczyną, znali przecież nędzę ludzkiego ciała, patrzyli nieraz na śmierć, zwykłe dla lekarzy zjawisko. Czym to jednak było wobec tego, co przeżyli oni?

Pani Konstancja mocno ścisła głowę.

Za gwałtowny to skok w normalne, nie zakłócone kataklizmem życie, w ten świat kolorowy i beztrudny. W Warszawie co prawda też ludzie krzżeli się wśród ruin. Nie tak jednak wyobrażali sobie koniec wojny i zwycięstwo. Bo czy to było zwycięstwo? Niektórzy wątpili.

- Przegraliśmy wojnę - mówili. - Wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Sprzedano nas. Alianci zdradzili.

- Dostaliśmy kawał ziemi na zachodzie - odpowiadali inni, ci zadowoleni z sytuacji.

- Po co nam to? Zabrano jedną trzecią Polski, nie pytając nas o zdanie. - Była w tym stwierdzeniu rozpacz i gorycz. - Tam był nasz dom, tam zostawiliśmy serce.

Kogóż jednak obchodziło wówczas serce? Z pewnością nie wielkich tego świata, tych, którzy decydowali...

Długo siedziała, nie mając chęci poruszyć nawet ręką, zapatrzona w pociemniałe za oknem niebo. Wdychała zapachy jakichś nieznanych kwiatów, których nigdy może nie zobaczy, dolatujące z ukrytych za murami ogrodów.

Wreszcie trzeba było wstać, rozpakować walizkę, powiesić w szafie tych kilka ubożuchnych szmatek, uszytych z tanich kretoników kupionych na talony.

Całe szczęście, że jest lato. Letnia suknia, nawet z byle jakiego gałganka, może wyglądać całkiem przyzwoicie. Zresztą lekarki przybyłe na kongres - jak zdążyła zauważyć - nie odznaczały się specjalną wytwornością.

Należało naturalnie mieć coś na zmianę, ale trzy suknie muszą jej wystarczyć. Jak to dobrze, że biały fartuch pokrywał na co dzień prywatny wygląd każdej delegatki! Ów mundur zrównywał przy pracy wszystkie te kobiety młode i stare, ładne i brzydkie, zgrabne i rozlane. Za to tu uczestnicy kongresu odrzucili wraz z białym kitem specyficzny "lekarski" wygląd, przeistaczając się w zwykłe dziewczyny, starsze panie, czy podtatusiałych jegomościów.

Cztery niezajęte łóżka, ustawione w rogach sporego pokoju, potęgowały dziwnie nieprzytulną atmosferę tego miejsca. Pani Konstancja z westchnieniem odchyliła kołdrę i rozłożyła na stolyczku toaletowe przybory.

Rozebrawszy się, w szlafroku poszła do łazienki, a gdy wróciła, nie była już jedyną mieszkanką czteroosobowej sypialni.

Na środku pyszniła się okazała waliza, oblepiona kolorowymi etykietkami, a na jednym z łóżek siedziała młoda dziewczyna w popielatym kostiumie.

Pani doktor wyraziła w duchu podziw dla elegancji nieznajomej - szyk popielatego kostiumu dopełniał beret z zielonkawej słomki, z którym doskonale harmonizowały buciki, rękawiczki i torebka, czyli tak zwane dodatki.

Wojna i pierwsze powojenne lata oduczyły Polkę od zwracania uwagi na owe drobiazgi, konieczne przecież uzupełnienie stroju wytwornej kobiety, toteż z zainteresowaniem patrzyła na nowoprzybyłą, usiłując odgadnąć jakiej jest narodowości.

Nieznajoma siedziała chwilę nieruchomo, poddając się owemu milczącemu badaniu, po czym upadłszy na poduszkę zaniósła się płaczem.

Pani Konstancja nie wiedziała, co robić, ale rozpaczliwy szloch poruszył jej macierzyńskie serce.

- Biedactwo... Doprawdy... Nie trzeba tak płakać... - głaskała okryte popielatym żakiem plecy dygocące od łkań. Minęła minuta, może dwie, zanim płacząca osuszyła łzy i opanowała się na tyle, by spojrzeć na pocieszycielkę.

- Co pani sobie o mnie myśli - powiedziała poprawną francuszczyzną, ocierając policzki. - Wstydzę się mego zachowania.

- Och, to nie ma znaczenia. - Polka przysiadła na sąsiednim łóżku. - Jeżeli ma pani zmartwienie...

- Po prostu smutno mi - przerwała żywo nieznajoma. - Nie powinnam była wyjeżdżać z domu. Nie mogę być sama.

- Nie grozi tu pani samotność. - Pani Konstancja wskazała niezajęte dotąd łóżka. - Wpakowano nas do wspólnej sypialni... Czekajmy na dalsze lokatorki.

- Okropne miejsce - wzdrygnęła się nowoprzybyła. - Spóźniłam się na kongres i pewnie dlatego... Przykro mi, ale mnie tu przyprowadzono...

- Bardzo się cieszę - przerwała Polka. - To miejsce rzeczywiście nie jest zbyt wesołe, we dwie różnie... Ponieważ połączył nas kongres pediatrów, pani zapewne też jest lekarką. Sądząc co prawda po wyglądzie, powinna pani być co najwyżej studentką...

- Mam dwadzieścia osiem lat - powiedziała nieznajoma wstając.

- Wie już pani o mnie tyle, a dotąd się nie przedstawiłam. Proszę wybaczyć. Nazywam się Galdi, Erminia Galdi.

- Konstancja Jankowska - powiedziała Polka. - Moje imię oznacza stałość - dodała żartobliwie, chcąc oderwać myśli nowej współmieszkanke od dręczącego ją smutku.

- Tak, stałość uczuć, wierność i wytrwałość - uzupełniła Erminia Galdi poważnie.

- Jednym słowem wszystkie te cnoty, jakich wymagamy od innych - uśmiechnęła się pani Konstancja.

- Przeważnie daremnie - podchwyciła z żywością panna Galdi, zdejmując beret.

- Gdy panią zobaczyłam, zastanawiałam się, skąd też pani pochodzi - pani Konstancja ze znanstwem rzuciła raz jeszcze okiem na wykwintną sylwetkę nowej znajomej. - I proszę sobie wyobrazić, do jakiego doszłam wniosku. Oto najbardziej pasuje do pani Italia.

- Dlaczego?

- Dobry gust, wytworność, elegancja... Czy ja zresztą wiem? A potem ta rozpacz... jak po utraconym raj. Zgadłam?

- Zgadła pani. Nie jestem tylko pewna, co utraciłam. Jeżeli raj, tym gorzej dla mnie.

- O wiele pani za młoda na rozpacz. Życie dopiero przed panią. W tej wojnie wszyscy potracili swoje raje. A już my ucierpieliśmy chyba najwięcej. Jestem Polką.

- Pani Polka?

- Dziwi to panią?

- Nie... Tylko nie spodziewałam się...

- Nie spotykała pani Polaków?

- Owszem, wielu... W Rzymie i przedtem we Francji...

- Pani mieszka w Rzymie?

- Tak. Od urodzenia. Rzym to moje miasto.

- Byłam kiedyś w Rzymie - pani Konstancja siadła ciężko na swoim łóżku. - Przeszło dwadzieścia lat temu. W podróży poślubnej - dodała ciszej.

- Ma pani przynajmniej piękne wspomnienia. - Włoszka zdjęła żakiet, pod którym nosiła jedwabną bluzkę w nikły wzór.

- Tak, tylko wspomnienia. Podczas wojny straciłam wszystkich, męża, rodziców, brata... Ale nie mam prawa narzekać. Został mi syn.

- Duży?

- Dorosły. Jest studentem.

- Nie wygląda pani na matkę dorosłego syna.

- Obie więc nie zdradzamy swego wieku - stwierdziła pogodnie Polka. - Pani w każdym razie mogłaby być moją córką. Czy pani po kolacji?

- Nie... ale nie mam apetytu.

- Radziłabym coś zjeść. Po podróży kolacja dobrze pani zrobi. Proszę zejść, póki pani ubrana.

- Idę. - Erminia Galdi uśmiechnęła się pierwszy raz, a ten uśmiech jeszcze bardziej ją odmłodził.

Wróciła po dziesięciu minutach, a pokojówka w wymyślnym czepeczku na utlenionych włosach niosła za nią gęsto zastawioną tacę.

- Tam na dole jeszcze smutniej - panna Galdi ruchem ręki odprawiła służącą. - Wszyscy już zjedli i poszli na miasto. Pani jedna została.

- Upadałam ze zmęczenia - Polka odłożyła szczotkę do włosów i lusterko. - Widzę, że apetyt powrócił - wskazała z uśmiechem pełną tacę.

- Zjemy razem - zawołała z żywością Włoszka. - Nie skaże mnie pani na samotną kolację! Zostało jeszcze coś dobrego... akurat dla nas.

Pani Konstancja z przyjemnością przypatrywała się swojej nowej znajomej. Z ożywieniem było jej bardzo do twarzy. Właściwie trudno nazwać ją piękną, ale urodę miała bez wątplenia oryginalną. Średniego wzrostu, bardzo szczupłą, można by powiedzieć chuda, drobnej kości, wyjątkowo zgrabna, poruszała się z dużym wdziękiem. Włosy krótko obcięte, z grzywką opadającą na wypukłe czoło, były czarne - niegdyś mówiono "jak skrzydło kruka".

Przy tak ciemnych włosach twarz aż raziła bledością. Równie ciemne oczy miały właściwą Południowcom miękkość spojrzenia. Ręce, białe jak twarz, wypiełgnowane, zwracały uwagę doskonale zrobionym manicure o czerwonych paznokciach. Zdobit je jeden tylko pierścionek, niewielki sygnet starej widać roboty, który panna Galdi nosiła na małym palcu lewej ręki.

Wszystko w niej znamionowało dostatek, a może nawet coś więcej, dbałość o estetykę wyglądu, przyzwyczajenie do komfortu na co dzień. Dziwiła, wręcz zdumiewała w tym świecie, co się dopiero dźwigał w trudzie z ruin, zgliszcz i wojennego zniszczenia. Na horyzoncie Polki była zjawiskiem równie nierealnym, jak barwny koliber na nadwiślańskiej wierzbie. Przyciągała oczy, wywoływała leciutkie drgnienie żalu, nawet zazdrości.

Odgadywało się w niej istotę, która w dalekim Rzymie nie zaznała wojennej nędzy, nie ucierpiała osobiście od najeźdźcy. Utraciła jednak coś, zapewne kogoś, kto był zapowiedzią szczęścia. A na taki ból trudno o lekarstwo.

- Myślałam, że nic nie przełknę - panna Galdi nabrała na talerzyk drugą porcję sałatki i położyła jeszcze jeden plasterek szynki. - Tak mi wszystko smakuje... Co prawda ostatni raz jadłam wiele godzin temu.

- W podróży zawsze ma się apetyt - zauważyła pani Konstancja, która mimo kolacji, nie pogardziła poczęstunkiem.

- Oby tylko nikt tu nam nie przeszkodził. - Erminia Galdi rzuciła okiem na dwa niezajęte dotąd łóżka. - Chciałabym... - urwała i spojrzała zmieszana na panią Konstancję, a niedopowiedziane życzenie zawisło w powietrzu, jak gdyby zapraszając do zwierzeń.

Mimo zmęczenia sen nie przychodził. Spod przeciwległej ściany dobiegał spokojny oddech młodej Włoszki.

Za długo rozmawiały, ale Erminia Galdi tak ciekawie opowiadała o domu i rodzicach.

Pani Konstancja także wspominała dom. Bardzo często. Nie ten pokój, który dzieliła z synem w jako tako połatany mieszkanie, zwanym "kołchozem" - było ich tam razem dziewięć osób, czyli cztery rodziny - ale ten prawdziwy dom sprzed katastrofy, dom jej rodziców.

Bywały noce, że we śnie przechodziła z pokoju do pokoju, otwierała drzwi szaf, zaglądała do spiżarni i do łazienki. Długim korytarzem szła do kuchni. Dotykała mebli, podnosiła wieko fortepianu. I wszystko stało na miejscu, jak gdyby nic nie zaszło, nic, tylko nie spotykała tam nikogo. Pustka. Mieszkańców ani śladu.

Potem miała drugi dom, jej własny. Jej i Witka. Dużo mniejszy od domu rodziców, za to bardziej nowoczesny. Rozmawiali czasem z Władkiem. Chłopiec doskonale pamiętał rozkład mieszkania, pytał o niektóre meble. Każdy sprzęt miał przecież swoją historię.

Erminia Galdi nie potrzebowała we śnie szukać przypomnienia jakże trwałej i dotykanej rzeczywistości. Dla niej dom istniał ciągle, teraz jak i przedtem, wróci do niego za parę dni, ujrzy miejsca, rzeczy, osoby dobrze znane od czasów dzieciństwa. Tak, osoby. Ojca i matkę. A ona? Czy zdoła kiedykolwiek pogodzić się z tym, że tutaj już nigdy?

Na katedralnym zegarze biją po kolei wszystkie godziny nocy. Jaki spokój! Jaki spokój w tym mieście, co się oparło najazdom dawnych i nowych barbarzyńców.

Gdy wreszcie zasypia, pani Konstancja odnajduje poczucie domu, tego domu, po którym zostało rumowisko okaleczonych cegieł.

Ranek następnego dnia wstał równie promienny, jak wszystkie czerwcowe ranki w tej części Francji.

Panią Konstancję obudziło radosne podniecenie, jakie odczuwała niegdyś, gdy była bardzo młoda, a dzień zapowiadał wiele wakacyjnych przyjemności.

Ubrawszy się, wyszła z pokoju, by nie krępować współmieszkanki, zjadła na dole śniadanie w pustawej jeszcze jadalni, po czym znalazła się na kwadratowym dziedzińcu.

Ławki otaczające stary figowiec tonęły w cieniu. Słońce dopiero zaczynało zaglądać w skryte pod żaluzjami okna drugiego piętra.

Sala kongresowych obrad zapraszała delegatów szeroko otwartymi drzwiami. Wystarczyło przejść dziedziniec i już się było na miejscu. Jaka szkoda! Pani Konstancja wołałaby przemierzyć pół miasta, miałaby przynajmniej okazję rzucić okiem na Grenoble.

Wieczorem nie podda się zmęczeniu - postanowiła - i jak inni uczestnicy zjazdu pójdzie na spacer i obejrzy zabytki dawnej architektury, którymi zabudowano niegdyś najstarsze dzielnice. A wszystko zachowane w doskonałym stanie, wojna nie zniszczyła tu - na szczęście - przeszłości.

Dziedziniec wypełniał się powoli różnorodnym gwarem. Uczestnicy zjazdu wychodzili pojedynczo i grupkami, kierując się ku drzwiom, obramowanym festonami wielkolistnego bluszczu.

Drugi dzień kongresu zajęły referaty, spotkania, dyskusje. Z Erminią Galdi pani Konstancja zobaczyła się dopiero późnym wieczorem, już w sypialni. Polka, jako internistka, należała do innej sekcji, niż młoda Włoszka - neurolog, specjalizująca się w zwalczaniu tak straszliwej choroby jak Heine-Medina.

Panna Galdi zresztą cieszyła się ogromnym powodzeniem. Stale była otoczona. Przy obiedzie siedziała wśród najpoważniejszych profesorów, wieczorem - najmłodszy delegaci uprowadzili ją na miasto.

Oblepiona etykietkami pierwszorzędnymi hoteli waliza kryła wiele kreacji, z którymi żadna z przybyłych na kongres lekarek nie mogła rywalizować.

Elegancja i wdzięk panny Galdi przyćmiły wszystkie medyczne gwiazdy zgromadzone w te dni w Grenoble. Nic więc dziwnego, że mężczyźni kręcili się koło uroczej Włoszki, a sekcja neurologiczna szczyła się największą ilością uczestników.

Pani Konstancja śledziła z daleka sukcesy swojej współmieszkanki, a rozmyślając nad pierwszym zetknięciem się z dziewczyną doszła do wniosku, że jej tzy nie miały innej podstawy jak zmęczenie drogą, nieprzytulność pokoju, perspektywa spędzenia paru dni wraz z nieznaną kobietą we wnętrzu, jakie stało w rażącej sprzeczności z otaczającym ją zazwyczaj zbytkiem.

Tym większe więc było jej zdumienie, gdy późnym wieczorem, panna Galdi w powiewnej sukni koloru morskiej wody zjawiła się w sypialni i rzucając się na łóżko zawołała żałośnie:

- Jacy oni nieciekawi! Tacy obcy, obojętni! Cały dzień tęskniłam do rozmowy z panią! Nie dam się więcej zawładnąć tym doktorkom. Nic mnie nie obchodzi. Wszyscy są jednakowi. A im starsi, tym gorsi. Wstrętni! Profesor Delage jest w wieku mego ojca, a zachowuje się wobec mnie jak błazen.

Pani Konstancja leżała już w łóżku. Po kolacji była na długim spacerze z parą sympatycznych Japończyków. Chodzili brzegiem Izery, spoglądając na ciemniejące wysoko w górze, po drugiej stronie rzeki, potężne mury dawnej fortecy zwanej Bastylią, dokąd można było dojechać w trzy minuty kolejką linową.

- Sądziłam, że bawi się pani znakomicie - powiedziała, zbierając rozrzucone na kołdrze karty, jakie kupiła dla syna.

- Ja się nigdy nie bawię - stwierdziła chłodno panna Galdi. - Najwyżej udaję jakie takie zainteresowanie towarzystwem. Mówiłam już pani, nie powinnam opuszczać domu. Całe szczęście, że spotkałam panią.

- Słaba to chyba pociecha.

- To jedno z najbardziej przedziwnych zdarzeń, jakie zaszły w moim życiu - głos dziewczyny uderzał powagą.

- Czyżby?

- Tak.

- Doprawdy nie pojmuję...

- Jest pani Polką.

- I cóż z tego?

- Przybyła pani z Warszawy na kongres lekarzy do Grenoble. Na ten sam kongres przyjechałam i ja. Połączyło nas zdumiewające zrzęczenie losu: tak dla pani jaki dla mnie zabrakło pokoju. Mogłybyśmy się wcale nie spotkać, nie zauważyć siebie nawet, nic o sobie nie wiedzieć. A jednak pani właśnie była pierwszą osobą, która mnie tu przywitała. Czy to nie dziwne?

- Szczerze mówiąc nie bardzo rozumiem... Na podobnych kongresach spotyka się zazwyczaj wiele osób z różnych stron świata.

- Tak, ale przyjechała pani z Warszawy, specjalnie dla mnie... żeby mi pomóc.

- Nic nie rozumiem - pani Konstancja z rezygnacją odchyliła kołdrę i usiadła, opuściwszy nogi. - Przypisuje mi pani jakieś nadnaturalne właściwości. Zapewniam, że daleko mi do tego.

- Są rzeczy, o których się nie śniło waszym filozofom - zacytowała panna Galdi. - Tak samo i w tym wypadku. Musiałyśmy się spotkać, właśnie w Grenoble.

- Dlaczego akurat w Grenoble?

- Dziesięć lat temu spędziłam tu wakacje - głos Erminii Galdi scichł. - A pierwszego września wybuchła wojna.

- Straszne wspomnienie - zadrżała Polka.

- Tak, straszne. Wczoraj napomknęła pani o utraconym raj. Jak każdy człowiek miałam i ja nadzieję na szczęście... i utraciłam ją. On był Polakiem.

- Polakiem? - powtórzyła pani Konstancja z pobudzonym nagle zainteresowaniem. - I co?

- I nic.

- Co się stało?

- Nie wiem. Nic nie wiem. I właśnie liczę na panią... - panna Galdi zerwała się z łóżka i zaczęła krążyć po sypialni. Wysokie obcasy białych sandałów stuknęły w kamienną posadzkę.

Pani Konstancja wodziła chwilę oczami za chodzącą, po czym wyciągnęła rękę, by zatrzymać dziewczynę w jej bezcelowej wędrówce.

- Niech pani usiądzie - powiedziała łagodnie - i opowie mi wszystko. Po kolei.

Młoda Włoszka usiadła posłusznie na wskazanym miejscu.

- Przed dziesięciu laty przyjechałam tu na wakacje - zaczęła - wpatrując się w ciemne okna sypialni. - Właśnie zdałam maturę i mama chciała, żebym poprawiła mój francuski. Jechały dwie koleżanki... więc i ja wybrałam się z nimi. Mama dostała prospekt pensjonatu i zamówiła dla nas pokoje.

Po paru dniach przyjechał on. Polak z Warszawy. Franca i Carla - moje koleżanki - od razu się nim zainteresowały.

Poznały go wieczorem, gdy piły kawę w ogródku. Ja wcześniej poszłam spać. Zobaczyłam go dopiero nazajutrz, podczas drugiego śniadania.

Panna Galdi pochyliła się do przodu, ukrywając twarz w otwartych dłoniach.

- Wie pani, gdy teraz to wspominam - głos mówiącej znowu był opanowany - wydaje mi się, że minęły wieki od owego lata, jedyne lata w moim życiu, a przecież zawsze wszystko było w nim dobre i przyjemne.

Tak, pani Konstancja też przeżyła takie cudowne lato. Kiedy? Gdzie? Chyba przed wiekami.

- Nie jestem już niewinną panienką - powiedziała nagle młoda Włoszka. - Znam miłość, a raczej to, co się pod tym słowem zazwyczaj rozumie. Szukałam zapomnienia, odtrutki. Niestety, na próżno. Nigdy nie wyjdę za mąż. Dlatego jako specjalizację wybrałam pediatrię. Nie mając własnych, leczę cudze dzieci. Kocham je. W szpitalu staram się zastąpić im matkę. Wiem, że mnie lubią. Gdy przychodzę, każde chce, bym je ucałowała. Czy pani czuje podobnie? Czy w małych pacjentach widzi pani swojego syna?

Tak, pani Konstancja nie potrafiła ukryć zdumienia. Ta nowa, a może właśnie prawdziwa Erminia Galdi stała jej się nagle bardzo bliska.

Świetna panna, strojna we wszystko, czym młodość i sztuka zdolne są ozdobić kobietę, ustąpiła miejsca ubranej w biały fartuch skromnej lekarce. Pani Konstancja bez trudu wyobraziła ją sobie na szpitalnej sali przechodzącą od łóżeczka do łóżeczka, a czasem zatrzymującą się dłużej przy jakimś ciężej niż inni pacjenci chorym dziecku.

- Oglądałam się za panią podczas kolacji - Erminia Galdi wstała, podeszła do okna i zamknęła żaluzje. - Co pani robiła?

- Byłam na pięknym spacerze nad Izerą.

- Sama? - zdziwiła się Włoszka.

- Nie, z parą Japończyków. Mąż i żona, oboje lekarze. Cudowny wieczór, szkoda było zamykać się w pokoju.

- Jutro pójdziemy razem, dobrze? Chcę pani pokazać niektóre miejsca...

- Doskonale. Jeśli naturalnie znajdzie pani trochę czasu.

- Proszę ze mnie nie żartować! Mówiłam już, że oni mnie nudzą. Chciałabym spędzić te dni wyłącznie z panią. Potrzebuję rady... Czy może mi pani obiecać...?

- Chętnie. Nie wiem tylko o co właściwie chodzi.

- Muszę dowiedzieć się prawdy. Poznać przyczynę milczenia. Co się właściwie stało? Co zaszło tam, w Warszawie...

- Warszawa w gruzach - przerwała Polka. - Pani listy nie doszły do rąk adresata. Czy wie pani, jak odnajdywali się ludzie po Powstaniu? W bramach zrujnowanych domów, na odartych z tynku murach, na resztkach drzwi nalepiali kartki. Ja sama w taki sposób odnalazłam ciotkę. Przyszłam do jej domu, właściwie do tego, co po nim pozostało, i na osmalonym kawałku ściany wśród wielu innych była i wiadomość dla mnie: Jestem tam i tam. Czekam na ciebie.

- Ja nie zmieniałam adresu - powiedziała Erminia z goryczą. - Do mnie można było pisać. Listy dochodziły...

- Może on nie żyje? - pani Konstancja zadała to pytanie z wyraźnym wahaniem.

- Żyje.

- Wie pani na pewno?

- Tak.

- Różne mogą być powody milczenia - zaczęła Polką ostrożnie.

- Jakie? - głos panny Galdi drżał.

- Nie wiadomo. Może zgubił pani adres, nie otrzymał listów... stracił pamięć...

- Może.

- Postaram się dowiedzieć, gdy wrócę do Warszawy.

- Chciałam panią o to prosić.

- Zrobię, co będę mogła.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie sprawi to pani zbyt wiele kłopotu...



- Nawet, jeśli mi sprawi kłopot - uśmiechnęła się Polka. - Rozumiem, że dla pani jest to sprawa życia i śmierci. Należy ją wyświecić. Tym bardziej że od zakończenia wojny minęły już cztery lata.

- Tak, cztery lata - powtórzyła Erminia Galdi. - Cztery długie lata. A przecież przyrzekliśmy sobie, tu, w tym samym Grenoble, że jeśli które z nas zmieni kiedyś zdanie, pokocha innego, czy z jakiegokolwiek powodu zechce odzyskać wolność, wówczas szczerze powiadomi o tym drugą stronę. Szczerość - oto była nasza dewiza. Absolutna szczerowość. On nie powiadomił mnie o niczym - dodała ze skargą. - Po prostu zamilkł, jak gdyby przestał istnieć. A przecież żyje. Jak mam to rozumieć? Dlatego muszę dowiedzieć się prawdy.

- A jeżeli ta prawda przyniesie, powiedzmy... rozczarowanie? - rzuciła pani Konstancja.

- Co pani rozumie pod słowem rozczarowanie? - oczy panny Galdi przywarły do twarzy Polki.

- Mógł na przykład ożenić się...

- Tym bardziej powinnam o tym wiedzieć. Nie uważa pani? Ja też muszę znaleźć swoje miejsce w życiu. Dotychczas czekałam... Długo tak można?

- Ale pani ma nadzieję. A potem...

- Potem będę miała pewność. A to dużo lepsze niż złudzenia. Będę nareszcie wiedziała!

- Czasem lepiej nie wiedzieć - szepnęła pani Konstancja bardziej do siebie niż do dziewczyny. - Ile ludzkich dramatów wystawiła ta wojna na swojej krwawej scenie! Wiem coś o tym. Sama to przeżyłam... Otarłam się o cudze tragedie... Słyszałam...

- Ja też słyszałam. - Zauważyła obojętnie panna Galdi.

Polka milczała.

- Pamiętam każdy dzień owego lata - młoda Włoszka znowu podjęła przerwana na krótko wędrówkę po pokoju. - Była nas spora gromadka młodzieży z różnych stron Italii, najwięcej z Turynu, bo to najbliżej. Staralam się trzymać od nich z daleka, żeby wyłącznie mówić po francusku, po to przecież przyjechałam, ale nie zawsze było to możliwe. Chodziliśmy wszyscy na tutejszy Uniwersytet, który latem organizuje tak zwane "kursy wakacyjne dla cudzoziemców". Mieliśmy wykłady z literatury, geografii i historii Francji, ćwiczenia językowe, wspólne zwiedzanie zabytków oraz wycieczki autokarem w dalekie nieraz okolice. Zjechało się moc studentów z całego niemal świata. Był także bal, pamiętam nawet suknię, jaką wówczas nosiłam...

Pani Konstancja uczyniła w myśli przegląd sukien, jakie kiedyś miała, w których było jej najbardziej do twarzy, i tę z pierwszego balu...

- Podczas przerwy obiadowej obeszłam wszystkie miejsca, gdzie byłam taka szczęśliwa... To już nigdy nie wróci, wiem, cud, jak mówią Francuzi, zdarza się tylko raz, ale jego wspomnienie może wypełnić całe życie, nieprawdaż?

- W pani wieku nie wolno żyć wspomnieniami - powiedziała karcąco Polka. - Na to będzie czas, gdy się pani zestarzeje. Proszę spojrzeć w lustro i zainteresować się którymkolwiek z licznych wielbicieli...

- Wielbicie!... - machnęła ręką panna Galdi. - Zawsze miałam wielbicieli. Wówczas w Grenoble także. Zresztą Włoszki były najładniejsze i najlepiej ubrane ze wszystkich dziewcząt, a było ich sporo różnych narodowości. I wszystkie byłyśmy oblężone. Studenci bili się nieledwie o zaszczyt odniesienia do domu moich zeszytów - zaśmiała się, ale w tym jej śmiechu nie było ani krzty wesołości. - Takie tu wówczas panowały obyczaje - dodała wyjaśniająco.

- Pierwsza miłość spełnia się rzadko kiedy - pani Konstancja usiłowała nadać swemu głosowi jak najbardziej przekonujące brzmienie. - Często zdarza się, że dopiero później przeżywa się to, co stanowi o szczęściu całego życia.

- Czy tak było w pani przypadku? - Erminia Galdi zatrzymała się w swej wędrówce, wyczekując odpowiedzi.

- O nie, ja należałam do tych uprzywilejowanych, którym miłość oszczędziła rozczarowań. Na dziecko jednak czekaliśmy pięć lat. Za to kiedy przyszło... - pani Konstancja nie mogła dokończyć. Nie należało poruszać tego, co przysypał popiół płonącej Warszawy. Pod spodem żarzył się nieugaszony dotąd ból, daleki od rezygnacji.

- Przepraszam - szepnęła Włoszka. - Jakże mi wstyd! Opowiadałam pani o swoich zmartwieniach, a przecież czymże one są w porównaniu z tym, co pani przeżyła? Doprawdy, jestem niegodziwa.

- Niechże pani nie będzie dla siebie zbyt surowa. - Polka szybko odzyskała równowagę. Opanowanie stało się już jej drugą naturą. Było to konieczne, nie tylko ze względu na rodzaj pracy, jak przede wszystkim ze względu na syna.

- Między mną a moim szczęściem stanęła śmierć. Dla pani jest jeszcze nadzieja.

- Nie mam nadziei. Od zakończenia wojny minęły przecież cztery lata. Chcę jednak wiedzieć, nic więcej.

- Spróbuję, co potrafię zdziałać dla pani.

- Wszystko pani potrafi - stwierdziła z przekonaniem panna Galdi. - Czyż inaczej spotkałybyśmy się w Grenoble? Wiem - dorzuciła po chwili - jestem nudna i uparta, ale cóż na to poradzę? Niegdyś miałam przyjaciółkę. Taką od serca. Zaręczyła się tuż przed wojną. W czterdziestym drugim roku Niemcy aresztowali jej narzeczonego - był porucznikiem - i wysłali go do obozu. Mauthausen. Pewnie pani słyszała. Za działalność antyfaszystowską. Nina - ta moja przyjaciółka - poznała wtedy pewnego Francuza. Po paru miesiącach oświadczyła mi, że wychodzi za męża. Przeraziłam się. "Nino - mówię - jak możesz? Sandro w obozie. Myśl o tobie dodaje mu pewnie sił do przetrwania. Jakże spojrzysz mu w oczy, gdy wróci?" "A jeżeli nie wróci? - odpowiedziała - albo nie będzie mnie już kochał? Dlaczego mam marnować życie dla czegoś, co nie jest ani wiadome, ani pewne?" Skamieniałam. Bardzo to wówczas wzięłam sobie do serca.

- I jak to się skończyło?

- Najzwyczajniej w świecie. Moja dawna przyjaciółka to mądra dziewczyna. Dziś jest szczęśliwą żoną i matką dwojga dzieci. Sandro po wyjściu z obozu nie spojrzął nawet w jej stronę. Dobrze jeszcze, że napisał. Poznał jakąś cudowną Niemkę, która ratowała go w niedoli, jego uczucie do Niny okazało się pomyłką, ta dziewczyna dopiero otworzyła mu oczy na prawdziwą miłość i tak dalej. Nina pokazała mi jego list. Przepraszał, wyrażał nadzieję, że i ona spotka właściwego mężczyznę i będzie równie szczęśliwa jak on. Co pani na to?

- Nic. Takie rzeczy i bez wojny są na porządku dziennym.

- Właśnie. Na porządku dziennym. A dla mnie, proszę pani, jest to coś niesłychanego, coś, co przypomina koniec świata. Takie właśnie "rzeczy na porządku dziennym" potrafią zniweczyć niejedną egzystencję. Ja należę do osób tej kategorii. Na miejscu Niny czekałabym we łzach i rozpacz, a potem zostałabym ze złamanym sercem i życiem. I do śmierci opłakiwałabym zdradę niewiernego. Prawda, że jestem głupia?

- Dlaczego pani tak mówi?

- Wszyscy tak mówią. Literatura, film i teatr pokpiwają sobie ze zdradzonej i porzuconej, a dawniej mówiło się jeszcze "uwiedzionej", jeśli między bohaterami romansu doszło do czegoś poważniejszego. Co to ma zresztą za znaczenie? Wiemy, ilu ludzi zostaje kochankami

bez miłości, potem rozchodzą się, rozdzieleni życiem i nie odczuwają braku "partnera". Prawda, jakie to straszne słowo w tym kontekście? Co innego miłość, mam na myśli prawdziwe uczucie.

- Uczucia się zmieniają.

- Uczucia są niezienne - zaprotestowała gwałtownie panna Galdi. - Jeżeli mijają, znaczy że nie mają nic wspólnego z miłością.

- Może i nie mają. - Pani Konstancja poczuła się nagle beznamiętnie smutna. Smutna i bardzo zmęczona. Zagubiona jakaś z dala od domu, od syna, od tych, z którymi współżyła na co dzień. Rozejrzała się po tej obcej sypialni, powietrze pachniało tu zupełnie inaczej niż w Warszawie, w domu. Tak, w domu. W tym nędznym pokoiku, do którego szło się po osmalonych schodach. Ale to był jej dom.

Erminia Galdi podeszła do łóżka Polki.

- Zmęczyłam panią - powiedziała ze skrucą. - Mamy jeszcze parę dni czasu, zdążę wszystko opowiedzieć. A może ja panią nudzę? - przestraszyła się nagle.

- Broń Boże - zaprzeczyła gorąco pani Konstancja, odwracając dyskretnie wzrok od szczupłutkiej postaci, rozpinającej właśnie suknię.

Bielizna panny Galdi, jej nocna koszula czy szlafroczek były to cuda z jedwabiu i koronek. Po koszmarze wojny kobiety znowu zapragnęły stać się kobietami, niczym więcej. A cóż bardziej kobiecego niż piękna bielizna?

Pani Konstancja z westchnieniem wyciągnęła się na wygodnym materacu. Tak, spać to oni umiemy, ci Francuzi - pomyślała z zazdrością. - Sypialnia nieprzytulna, ot, zwykła sypialnia w internacie czy górskim schronisku, ale łóżek mógłby jej pozazdrościć najpierwszorzędnější hotel.

Panna Galdi w bladuróżowym peniuarze niczym ogromny kwiat wypełniała jak gdyby pustkę pokoju, ożywiając ciepłą barwą jego nagie ściany. Gdy wyszła do łazienki, zrobiło się ciemniej i jakoś smutno.

Pani Konstancja powiodła wzrokiem po białych murach, z których spęzła nagle różowa poświata, po niezajętych łóżkach, przykrytych puszystym kocem z miękkiej wełny, zatrzymując spojrzenie na dobrze znanych, bo własnych drobiazgach przywiezionych z Warszawy.

Poruszyła się niespokojnie.

Jakże daleko odeszła od tego wszystkiego!

Zanurzyła się oto w cudze życie, w coś, co dotąd obce i nieznanne nabrało nagle kształtów, stając się realne jak rzeczy, z którymi ma się na co dzień do czynienia.

Biedna Erminia Galdi! Biedna mała Włoszka z nieprawdziwego zdarzenia! Czy to możliwe, aby taka dziewczyna istniała w połowie dwudziestego wieku? Ma za sobą studia medyczne. Jest lekarką. Co prawda wygląda jak podłotek, ale przecież zna życie i wie jacy są mężczyźni.

Wróciwszy z łazienki, młoda Włoszka podeszła do łóżka pani Konstancji.

- Nie chciałabym zostać źle zrozumianą - bladą twarz zabarwił leciutki rumieniec. - Ale obawiam się, że ma pani o mnie fałszywe pojęcie.

- Fałszywe pojęcie? - zdziwiła się Polka. - Dlaczego?

- Bo widzi pani, tak się żaliłam, tak jęczałam, że mogła pani pomyśleć... mogło się pani wydawać...

- Co takiego? Nie rozumiem...

- Że jestem pozbawiona ambicji - wyrzuciła jak gdyby z trudem. - Tak, dziewczyna bez krzty ambicji. Odepchnięta nie daje za wygraną. Ale tak nie jest! Pani wie, że tak nie jest, prawda?

- Naturalnie, że wiem.

- Nigdy nie zniżyłabym się do próśb - podjęła po chwili panna Galdi. - Jeżeli dowiem się, że on jest żonaty, więcej o mnie nie usłyszy. Ale dopóki nie mam pewności...
- Będzie pani miała pewność - przerwała Polka żywo.
- Proszę teraz o tym nie myśleć... Inaczej nie zaśnie pani tej nocy.
- Dobranoc.

Młoda Włoszka pochyliła się i ucałowała panią Konstancję. Po chwili leżała już tak cichutko, że nawet nie było słycać jej oddechu. Polka za to nie mogła uspokoić się po wrażeniach dnia, przy czym sprawa współmieszkanek usunęła na daleki plan wszelkie kongresowe uchwały i rezolucje.

Trzeci i ostatni dzień obrad zaczął się owacją na cześć znakomitego uczonego, profesora Ferrerasa z Madrytu, który oderwał się od pasjonujących go badań i zaszczycił Kongres krótką obecnością. Wysłuchano następnie kilka referatów na ogólniejsze tematy, po czym nastąpiła dwugodzinna przerwa obiadowa.

Pani Konstancja rozejrzała się w poszukiwaniu Erminii. Nie widziała jej na sali, ale wśród tylu osób, między barwnymi sukniemi kobiet łatwo przeoczyć żółty płócienny kostiumik, jaki tego ranka ozdobił szczupłe ciało młodej Włoszki.

Znalazła ją dopiero na dole, przy wyjściu, gdzie tłoczyli się najmłodszy z delegatów. Zmęczeni długą sesją, mimo upału spieszyli na rozpaloną słońcem ulicę.

Erminia pociągnęła Polkę w lewo, minęły Katedrę, zagłębiły się w krótki zaułek i wyszły na plac Świętej Klary.

Pani Konstancja z zaciekawieniem odczytywała nazwy ulic na tabliczkach.

- Wie pani - panna Galdi przystanąła. - To była nasza codzienna droga na uniwersytet. "Do szkoły", jak żartowaliśmy. Latem zajęcia dla cudzoziemców odbywały się na ulicy Vieux Temple, w tej samej auli, gdzie odbywają się obrady naszego kongresu.

Szły teraz wąską, a krętą uliczką pełną kurzu i zgiełku, aż znalazły się na otwartej przestrzeni.

- Plac Grenette - odczytała pani Konstancja głośno.

- Tak, to tu - panna Galdi rozejrzała się, jak po dobrze znanym miejscu. - Zapraszam panią na obiad. - Włoszka miała świeżą twarz i błyszczące oczy. Widać było wyraźnie, że trzydzieści stopni w cieniu nie działało ujemnie ani na jej wygląd, ani na usposobienie.

- Ale dlaczego...? Jest przecież obiad w kantynie... - Pani Konstancja nie miała siły protestować.

- Och, w kantynie tłumy znajomych - Erminia wzruszyła niecierpliwie ramionami. - Pójdziemy do takiej małej restauracji, gdzie nie spotkamy nikogo. Chcę choć trochę pobyc tylko z panią - dodała prosząco.

Te dwie godziny zleciały jak jedna chwila. W restauracji było przyjemnie, bo chłodno. W półmroku - ocienione żaluzjami okna łagodziły blask południowego słońca - twarz Erminii Galdi wydawała się jeszcze bielsza, oczy głębsze i bardziej czarne. - Wieczorem pokażę pani ten pensjonat - Panna Galdi podsunęła gościowi kartę. - Nazywa się "Villa Th~er~ese". Jest jeszcze i dziś, poszłam tam zaraz pierwszego dnia. Ale zmienił właścicieli. Nie widziałam nikogo znajomego. Pogoda za to taka sama, jak wówczas.

Rzeczywiście, taka sama. Również i w Polsce to ostatnie lato - ostatnie prawdziwe wakacje przed końcem świata - błysnęło południowym słońcem, zapiekło upałem.

Pani Konstancja pamięta każdy dzień spędzony wówczas na wsi, daleko stąd, w Nowogródzkiej ziemi, razem z mężem, z synem i z bratem. Cóż to były za wakacje! Kąpali się w Świtezi, wieczorem chodzili po lesie, zbierając robaczki świętojańskie, a przy pełni pływali

łódką po zaczarowanym jeziorze. Stach, brat młodszy, strzepując z wiosł krostliwą rosę, deklamował: "Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą, i dwa obaczysz księżycyce..."

Głos nieżyjącego brata tak wyraźnie zabrzmiał w jej uszach, że na chwilę przestała słyszeć, co do niej mówi panna Galdi.

Młoda Włoszka uszanowała ten moment roztargnienia pilnej dotąd słuchaczki. Ona też powoli zagłębiała się w przeszłość, w owe wakacje sprzed dziesięciu lat, którym straszliwy wrzesień na zawsze położył koniec.

- Byłam wówczas bardzo jeszcze dziecinna - szemrał łagodnie głos mówiącej. - Żaden młody człowiek, a znałam ich przecież wielu, nie zainteresował mnie poważniej. Wszyscy byli mili, sympatyczni, dobrze wychowani, mniej lub bardziej zachwyceni moją osobą. Ale ja pozostałam obojętna na ich wyznania i komplementy. Sprawiało mi to przyjemność, owszem, bawiło mnie ich uwielbienie, pochlebiało próżności. Ale nic więcej. Dopiero tu, ten młody Polak... Polak - powtórzyła miękko. - Rozumie mnie pani?

- Rozumiem - skinęła głową pani Konstancja. - Doskonale panią rozumiem. Przeżywa to każda zakochana dziewczyna. Tym bardziej zakochana po raz pierwszy.

- Pierwszy i ostatni - dodała Erminia.

- O, to nic nie wiadomo. - Pani Konstancja potrząsnęła głową. - Te sprawy są od nas niezależne. W dziedzinie uczuć zdarza się wszystko, nawet to, co uważamy za niemożliwe.

- Nie dla mnie, proszę pani, nie dla mnie. Mam w tej dziedzinie już pewne doświadczenie. - Panna Galdi spojrzała prosto w oczy Polki. - Każda kobieta spotyka tylko raz jeden "mężczyznę swego życia" tak to zdaje się nazywają Francuzi, prawda? Otóż ja tego mężczyznę już spotkałam. A ci wszyscy - zrobiła okrągły gest piękną ręką - nic dla mnie nie znaczą. Taka niestety jestem - dodała jak gdyby przepraszająco.

- Cóż mogę na to odpowiedzieć? - Pani Konstancja zastanowiła się chwilę. - Że jest pani jeszcze taka młoda? Wiem, to brzmi banalnie, niemniej odpowiada prawdzie. Wyglądałaby pani na dziewczynkę, gdyby zdmuchnąć ten pyłek makijażu i zmyć lakier z paznokci.

Powtarzam: za młoda pani na rozpacz i rezygnację.

Panna Galdi uśmiechnęła się wyrozumiale.

- To samo mówi moja mama - powiedziała pogodnie. - Widzi pani, to co mnie spotkało też jest banalne i da się właściwie streścić w jednym zdaniu: Na wakacjach poznałam młodego człowieka, zakochałam się, zaręczyłam się z nim i rozdzieliła nas wojna. To wszystko. W takiej sytuacji znalazło się wiele dziewcząt i wielu młodych ludzi. Nie byłam przecież wyjątkiem. Ale przez sześć lat zawieruchy wszystko, co się działo, działo się jak gdyby poza mną, w niczym mnie nie dotykając. Interesowałam się wyłącznie Polską. Na tym kraju skoncentrowałam całą moją uwagę. Bombardowanie Warszawy, Niemcy wchodzący do podbitej a nieujarzmionej stolicy, sceny straszliwych gwałtów, egzekucji ulicznych, łapanek - przekazywane od czasu do czasu przez antyfaszystowskich dziennikarzy zatrzymywały na moment bicie mego serca. A potem straszna data: siedemnastego września. Nóż wbity w plecy Polski. Wzięty w dwa ognie kraj nasz skazany był na klęskę. Alianci, mocni tylko w słowach, nie pospieszyli z pomocą. Hitler zresztą pewny był ich tchórzliwego kunktatorstwa. Wreszcie Powstanie... Exodus niedobitków z płonącego miasta... Znam wszystkie szczegóły tych okropności. Przeżyłam je razem z Polakami. Dzień po dniu. I nagle, gdy koszmar minął, a świat powrócił do jako tako normalnego życia, znalazłam się sama.

Pani Konstancja słuchała z twarzą ukrytą w dłoniach.

Czyż można zapomnieć, co wówczas przeżyli? Ojciec aresztowany w pierwszym roku wojny, zamordowany potem, po długiej agonii w Oświęcimiu. Ta noc, kiedy po niego przyszli...

Mama umierająca z braku lekarstw, odpowiednich warunków, a przede wszystkim z

rozpaczy. Bo ile może znieść ludzkie serce, choćby najzdrowsze? I Stach, brat młodszy, zakatowany w kazamatach Alei Szucha. Co noc wydawało jej się, że słyszy jego krzyk, co noc... I wreszcie mąż, jej Witek, bezimienny bohater Powstania.

Zginął na Starym Mieście, pod gruzami katedry, i umierał sam, jej przy nim nie było. W tej najstraszliwszej, a może najwspanialszej chwili był sam. Kto to powiedział, że śmierć będzie przypuszczalnie najcudowniejszą przygodą naszego życia? Chyba myślała podobnie, tak straszne, tak nieludzkie było to, co wówczas przeżywali.

- Jedynym dziennikarzem przebywającym w okupowanej Warszawie - podjęła po chwili panna Galdi - był Włoch, Alceo Valcini, korespondent "Corriere della Sera". Prócz niego Niemcy nie wpuścili do Polski nikogo, żadnego przedstawiciela jakiegokolwiek obcej prasy. Valcini zebrał ogromny materiał o polskiej martyrologii. Jego relacje ukazywały się w Italii w tajnych biuletynach. Tuż po wojnie notatki Valciniego wyszły w książkowym wydaniu: "Kalwaria Warszawy 1939-1945?". Autor zadedykował książkę polskiej dziewczynie, którą kochał. Zamordowano ją...

Ile polskich dziewczyn zamordowano - myślała pani Konstancja wsłuchując się w dawno zamilkłe głosy. - Czyż ta młoda Włoszka, co tak gorąco wzięła sobie do serca tragedię Polaków, mogła mieć pojęcie jak to naprawdę było?

- Valcini przyjechał do Warszawy jeszcze przed wojną - Erminia Galdi w zamyśleniu bawiła się pierścionkiem. - Przeżył razem z mieszkańcami stolicy pierwsze straszliwe dni września, naloty, bombardowanie... Potem wkroczenie wojsk niemieckich, wizytę Hitlera, który w otwartym samochodzie przejechał głównymi ulicami, by następnie z honorowej trybuny przyjąć defiladę zwycięskich oddziałów. Minister Reichu Frank stanął na czele Generalnej Guberni, ze stolicą w Krakowie. Dokonano czwartego rozbioru. Polskę wymazano z mapy, a Warszawę zdegradowano do roli prowincjonalnego miasta. Znam te wszystkie fakty, równie dobrze jak pani.

Mimo upału, Polką wstrząsnął dreszcz. Chłodem powiało po restauracyjnej sali, mroźny wichur przewiał rozpalonymi ulicami Grenoble. Ten sam wichur, który w pierwszą zimę klęski i okupacji hulał wśród ruin zbombardowanej Warszawy, przez pozbawione szyb okna wpadał do domów, bagnetem gnał przerażonych ludzi do obozów śmierci.

- Valcini pisze - ciągnęła panna Galdi - z jaką niecierpliwością szukał w niemieckich pismach zdjęć z Warszawy. Ale lśniący papier przekazywał jedynie świadectwa dobrodziejstw wspaniałomyślnego zwycięzcy. A więc przede wszystkim niemieckie kuchnie polowe wydające gorącą zupę i chleb mieszkańcom ex-stolicy Polski. Były tam też malownicze zakątki, zabytkowe kościoły, stare pałace, całe i zdrowe dzięki zręcznym fotomontażom, jak gdyby bombardowanie otwartego miasta to wyłącznie wymysł antyniemieckiej propagandy. O tak, książka Valciniego ma wagę historycznego dokumentu.

- Wzrusza mnie pani - Polka położyła rękę na wypielęgnowanej dłoni młodej Włoszki. - To jest cudowne, wszystko to co pani mówi i to co pani przeżyła w związku z Polską. A przecież nic innego prócz serca z ojczyzną moją pani nie łączyło.

- Czy to mało?

- Chyba nie, ale spotyka się bardzo rzadko.

- Polacy to bohaterowie - powiedziała wolno Włoszka. - Któż im w tej wojnie dorównał męstwem i poświęceniem? Byłabym dumna, poślubiając Polaka.

- On z pewnością nie żyje - wyrwało się pani Konstancji. - Nie mogę sobie wyobrazić żadnej innej przyczyny... Jeżeli panią kochał...

Tak, jeżeli ją kochał, czyż mógł zapomnieć? Dziewczyny jak Erminia Galdi zapomnieć nie sposób. On, przypuszczalnie, też nie był taki jak wszyscy. Potrafił przecież wzbudzić uczucie,

które oparło się wojnie, dziesięcioletniej rozłące, którego nie podtrzymywała nawet nadzieja poparta jakimkolwiek dowodem pamięci i wzajemności.

- Witold kochał mnie - powiedziała z mocą Erminia.

- Witold? - pochwyciła pani Konstancja. - Więc on się nazywa Witold?

- Czyż można sobie wyobrazić piękniejsze imię - spytała naiwnie panna Galdi. - Prawda, że Witold brzmi cudownie? To takie mocne, męskie imię. Witold - powtórzyła głośniej.

Pani Konstancja przymknęła oczy.

Tak, rzeczywiście, Witold to najpiękniejsze imię na świecie. Witold... Witek... Czy to możliwe? Wszystko tak szybko minęło, przeleciało jak mgnienie, i już koniec. Nie ma nikogo. Oto sama boryka się z życiem, sama wychowała syna. Praca od rana do nocy. W mieście, które przypominało Pompei po wybuchu Wezuwiusza.

Erminia Galdi miała rację, mówiąc, że ich spotkanie nie było dziełem przypadku. Ją też do Grenoble przywiódł imię męża. Musiała je usłyszeć tu, na drugim nieledwie krańcu Europy.

- Pani mąż... - zaczęła nieśmiało młoda Włoszka.

- Tak, miał na imię Witold.

- Boże, jakże mi przykro!...

- Dlaczego?

- Taka jestem nieuważna. Sprawiam pani ból.

- Ach, nie. Zresztą skądże mogła pani wiedzieć?

- Powinna być domyślić się. - Panna Galdi potrząsnęła głową. - Należy domyślać się wielu rzeczy. Od czegoż mamy intuicję? W naszej pracy, obok wiedzy, to niezwykle ważny czynnik. A i poza szpitalem...

- Pani pracuje w szpitalu?

- Tak. W dziecięcym szpitalu pod wezwaniem Dzieciątka Jezus.

- Mamy w Warszawie szpital pod tym samym wezwaniem. Ale nie jest to szpital dla dzieci. Jednakże pobożny założyciel przeznaczył go kiedyś na dom dla podrzutków.

- Czy zauważyła pani - Erminia Galdi pochyliła się nad stolikiem - że odkąd się znamy, ani razu jeszcze nie rozmawiałyśmy na tematy zawodowe? A przecież tak pani jak i ja jesteśmy lekarkami z powołania.

- Zauważyłam - powiedziała pani Konstancja wolno.

W Grenoble, mimo Kongresu pediatrów, medycyna musiała ustąpić.

Spóźniły się na popołudniową sesję. Nie tylko zresztą one. Atmosfera sali była senna, obecnych zmorzyło gorąco. Część delegatów nie skończyła jeszcze poobiedniej sjeisty.

Powietrze orzeźwiło się nieco ku wieczorowi. Wszyscy byli radzi, że to już ostatni dzień obrad. Upał zwarzył początkowy entuzjazm i zainteresowanie tematem, jaki okazywano podczas pierwszych posiedzeń.

- Gdy latem piękna pogoda zapanuje w dolinie Izery - poinformowała panią Konstancję pokojówka sprzątająca sypialnie - to upał trzyma się tygodniami. Niebo jest tak czyste, że nie zobaczysz nawet obłoczka.

Potwierdziła to panna Galdi, opierając się na wspomnieniach z przedwojennych wakacji.

- Mówiłam już pani, że to było najcudowniejsze lato. - Szły właśnie zaledwie ostygłym po upale asfaltem ulicy Thiersa. - O, to tu - chwyciła panią Konstancję za ramię. - Widzi pani?

Po lewej stronie, nad kutą w żelazie bramą błyszczał duży napis: "Villa Th~er~ese", a pod spodem, mniejszymi literami: "Pensjonat".

- Zajrzyjmy, dobrze?

Za bramą był niewielki dziedziniec otoczony domami, którego część, obsadzona dzikim winem, tworzyła wdzięczny ogródek. Ozdobne drzewka i krzewy okalały to miejsce, niczym oaza wśród miasta, a kilka wyplatanych foteli, stoliczek, leżaki, zapraszały do wypoczynku.

- Siadywaliśmy tu często, szczególnie wieczorem - szeptała Erminia. - To są drzwi do jadalni, a tamte do saloniku. Stało tam wówczas pianino... Był wśród nas młody Niemiec, Fritz, pięknie grał Chopina... Gdybyśmy wiedzieli, co się stanie, Boże, gdybyśmy wiedzieli!

Pani Konstancja patrzyła na poszarzałą upałem, pokrytą kurzem miejskim zieleń ogródka Willi Theresese, ale widziała całkiem co innego. Marianowo, niedaleko Świtezi. Las gęsty i wonny. Łąki jak wzorzysta tkanina w polne kwiaty. Słońce co nie zabija, lecz daje życie. Oni też, gdyby wówczas wiedzieli...

- A tu jest wejście do domu - Erminia pociągnęła towarzyszkę w prawo. - Widzi pani? Taki mały hall i schody. Miałam pokój na drugim piętrze. Z okna widziałam ogródek. Obok mieszkała Carla i Franca, a on piętro wyżej.

Dworek w Marianowie. Ganek podparty czterema słupkami. Kolacja na werandzie otwartej na ogród. Prawdziwy ogród, nie ta tutejsza nędzna imitacja.

- Pierwsze śniadanie podawano nam w ogródku - ciągnęła Erminia. - Piłam zawsze czekoladę. A raz w mleku był kozuch. Odsunęłam filiżankę. Wówczas Witold zawołał pokojówkę i kazał przynieść sitko. Własnoręcznie precedził mleko. Pokojówka stała i gapiała się. Nazywała się Żermena. Była ruda i zalotna, flirtowała z pensjonariuszami. Kiedyś wieczorem spotkaliśmy ją pod rękę z jednym z młodych ludzi, którzy tu mieszkali. Wstydził się potem i unikał nas.

Śniadanie w Marianowie. Ciotka Wanda przy brzuchatym samowarze, wuj wracający z pola w płóciennej kurtce i białej czapce z daszkiem, ciotka Janka z głową obwiązaną siatką, spod której sterczą papiloty.

Chłopcy, to znaczy Witek, Stach i Władek, wpadają za wujem i zziązani rzucają się na jajka i wędliny. Zapracowali uczciwie na śniadanie, od paru godzin uwijali się przecież przy żniwach.

Nie ma już ciotek, ani wuja, ani Marianowa. Nie ma nic. Wuja i ciotki wywieziono na Sybir. Pochłonęła ich, podobnie jak wielu innych bezkresna, śnieżnolodowa pustynia, stworzona chyba na wieczystą katorgę bezbronnej ludzkości. Wojna zabrała wszystko. Została sama. Sama. Sama!

Ocknęła się w ogródku "Willi Theresese".

Z jadalni wyszła tęga kobieta w pasiastej sukni.

- Szukają panie kogo? - Zmierzyła je wzrokiem.

- Wstąpiliśmy tylko na chwilę - odparła szybko Erminia. - Mieszkałam tu kiedyś - dodała - i chciałam zobaczyć...

- Proszę bardzo - kobieta uczyniła zapraszający gest. - Mamy jeszcze wolne pokoje...

Na ulicy wmieszały się w tłum młodzieży. Nic dziwnego, Grenoble to uniwersyteckie miasto. Poza tym jest tu wiele szkół wyższych, jak Akademia Sztuk Pięknych, Politechnika, Akademia Medyczna i Wydział farmacji, Instytut Geografii Alp, Instytut Elektrochemii, Wyższa Szkoła Pedagogiczna i jeszcze kilka innych. O tym wszystkim pani Konstancja dowiedziała się z przewodnika, gdyż na zwiedzanie ojczyzny Stendhala, niestety, nie było zupełnie czasu.

Trzy dni Kongresu zleciały na obradach, jutrzejszy czwarty dzień przeznaczono na wspólną wycieczkę autokarami do średniowiecznego klasztoru Kartuzów, Grande-Chartreuse, którego braciszkanie wyrabiali słynny do dziś likier tej samej nazwy.

Pani Konstancji zależało na wycieczce. Cieszyła ją perspektywa ujrzenia tylu pięknych rzeczy - doskonały odpoczynek przed podróżą - noc bowiem miała już spędzić w pociągu, w drodze do Paryża.



Niestety, Erminia Galdi pokrzyżowała te jakże przyjemne plany. Gdy wieczorem znalazły się w sypialni, młoda Włoszka przykucnęła przy łóżku pani Konstancji.

- Ogromnie mi przykro - zaczęła. - Zauważyłam jaka pani zmęczona. Za długo chodziłyśmy.

- Przeciwnie. Bardzo jestem rada. Dzięki pani poznałam choć trochę Grenoble. Inaczej nie zobaczyłabym i połowy tego, co widziałam. Z tak doskonałym cicerone...

- Naprawdę pani zadowolona? - ucieszyła się panna Galdi. - A już się obawiałam, że zdręczyłam panią na śmierć. Jutro się rozstajemy - westchnęła po chwili.

- Niestety. - Pani Konstancja przywołała przed oczy obraz syna. - Jutro wieczorem wyjeżdżam do Paryża, a stamtąd do Warszawy. Po dwóch dniach o tej porze będę już we własnym łóżku. Pani wraca do Rzymu?

- Chciałabym zostać jeszcze parę dni. Sama zresztą nie wiem. Naturalnie przeniosłabym się do hotelu. Szkoda, że pani już wyjeżdża.

- Jutro nasz ostatni wspólny dzień. - Pani Konstancja rozwinęła program kongresowych imprez. - I jaki przyjemny! - dodała z uśmiechem. - Bardzo jestem ciekawa tej wycieczki. Zbiórka o ósmej.

- Tak, wiem. Bardzo pani zależy na zwiedzeniu Grande-Chartreuse - stwierdziła panna Galdi.

- To rzeczywiście wspaniałe miejsce. Byłam tam przed dziesięciu laty. Widoki doprawdy niezapomniane. A jednak ośmielę się prosić, by została pani ze mną w Grenoble.

- Nie jedzie pani do Grande-Chartreuse? - zdziwiła się Polka.

- Nie - zaprzeczyła żywo panna Galdi. - Chciałabym ten ostatni dzień spędzić tu z panią. Naturalnie nie mam prawa pozbawiać pani takiej przyjemności. Mogę tylko prosić. Mam pani tyle do powiedzenia...

Pani Konstancja poczuła się tak, jak gdyby znowu była dzieckiem i ktoś chciał ją skrzywdzić, odbierają zabawkę, jaka jej się słusznie należała. Grande-Chartreuse! Sama nazwa wyczarowywała pokryte lasem stoki górskie, pachnące lawendą alpejskie doliny. A wśród ciszy urzekającego krajobrazu spiczaste dachy milczącego klasztoru sprzed ośmiu wieków. Chciała to zobaczyć. Koniecznie. Przecież nigdy tu już pewnie nie przyjedzie. A ta Włoszka mogła sobie pozwolić co roku na podobne wakacje. Dlaczego zawsze ktoś żąda od niej poświęcenia? Wie, że ulegnie prośbie, wie, że zostanie i o ósmej rano nie wsiądzie do autokaru wraz z innymi uczestnikami kongresu. Zostanie i wysłucha do końca jakże banalnej historii. Takich zdradzonych dziewcząt są przecież miliony. Codziennie jakiś mężczyzna zapomina o przysiędze "wiecznej, dożgonnej miłości". A Erminia robi z tego nieledwie szekspirowski dramat.

Panna Galdi nie miała daru czytania w myślach, ale ruchliwa twarz Polki zdradziła wrażenie, jakie zrobiła na niej propozycja, a raczej prośba współmieszkanki, wstała bowiem i przez chwilę chodziła milcząc po pokoju.

- Wiem, co pani myśli - powiedziała nagle. - Tak, jestem głupia. Narzeczony spotkał inną kobietę, ożenił się z nią i zapomniał o mnie. A ja bombarduję go listami, na które nie odpowiada. Ma pani zupełną rację.

Pani Konstancja z przerażeniem patrzyła na jej białą twarz zaczerwienioną teraz nienaturalnym rumieńcem. Cała szczupła figurka zdawała się dygotać od wewnętrznego wzburzenia, jak gdyby coś się z nią miało za chwilę stać, coś strasznego, w tak bolesny wyraz ułożyły się pięknie zarysowane francuską pomadką usta.

Panna Galdi opanowała się szybko i spokojnym już głosem przeprosiła za ten jakże nieelegancki wybuch.

- Droga Erminio - w sercu pani Konstancji wzbierała skrucha za jej egoistyczne nastawienie. - Nigdzie jutro nie pojedę. Zostanę z panią. Muszę przecież dowiedzieć się wszystkiego, jeśli

mam działać... W Warszawie od razu zajmę się tą sprawą, postaram się zobaczyć z Witoldem...

- Z Witoldem - powtórzyła jak echo Erminia. - Będzie pani mogła zobaczyć się z Witoldem...

- Oczywiście. Dołożę wszelkich starań...

- Jest jeszcze Lidia...

- Lidia? Któż to taki?

- Nie wiem. Podaje się za żonę Witolda.

- Żonę? Więc ożenił się?

- Nie wiem.

- Jednakże weszła pani w kontakt z tą rodziną?

- Nie. Właściwie nie. To jakiś nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

- Co za zbieg okoliczności? Proszę mówić jaśniej. Jeżeli dowiedziała się pani, że ma żonę...

- Witold nie ma żony! - krzyknęła. - To niemożliwe.

- Skąd pani wie? - Polka przyglądała się badawczo białej twarzy. - Widocznie ożenił się.

- Napisałby mi o tym.

- Moje dziecko, zdumiewa mnie pani naiwność! Jak to, mimo tabunu wielbicieli, mimo tego, co mi pani powiedziała o swoich doświadczeniach, tak mało wie pani o mężczyznach?

Dlaczego Witold miałby pisać, skoro jest żonaty? Wyraźnie widać, że nie chce wracać do przeszłości. Dla niego przeszłość umarła. A pani, niestety, żyje nią nadal. Tak nie można.

- Myli się pani - głos Erminii brzmiał pewnie. - To dobre dla innych, ale nie dla Witolda. On nie taki!

Pani Konstancja westchnęła. Wiele już widziała, wiele kobiecych tragedii otarło się o nią na tyle blisko, by utraciła pewne złudzenia.

- Proszę mi opowiedzieć o Lidii - rozkazała. - Muszę znać wszystkie szczegóły, jeśli mam w czymkolwiek pani pomóc.

Erminia Galdi zatrzymała się w swej wędrówce dokoła pokoju, zrzuciła suknię i okryła się blado różowym peniurem, potem znowu przysiadła przy łóżku Polki.

Sypialnię wypełniały intensywne wonie nieznanymi pani Konstancji roślin, które wraz z powiewem nocy wpływały przez szpary w żaluzjach.

W całym budynku panowała tak głęboka cisza, jak gdyby wszyscy jego mieszkańcy znajdowali się mimo późnej pory poza domem.

Może siedzieli na tarasie kawiarni "Pod Trzema Delfinami", gdzie zatrzymał się niegdyś Napoleon w triumfalnej powrotnej drodze z Elby? Lub spacerowali po parku miejskim, wokół muskularnej postaci Herkulesa z brązu, któremu waleczny Lesdiguières użyczył dumnych rysów? Grenoble pyszniło się Lesdiguièresem, nieustraszonym wodzem, co przez trzydzieści lat z ramienia Henryka IV rządził Delfinatem.

Ta letnia noc tak cicha, jak gdyby miasto odeszło gdzieś daleko, przywodzi na pamięć inne letnie noce z ostatnich przedwojennych wakacji w Marianowie.

Polowa lornetka wuja służyła wówczas do obserwacji nieba, a dzieło słynnego francuskiego astronoma Flammariona, znalezione w marianowskiej bibliotece, pomagało dzięki licznym tablicom rozpatrzeć się w tłumie gwiazd zaludniających nocą otchłań wszechświata.

Potem i niebo uległo zmianie. Dobrze znane gwiazdozbiory rozjarzyły się groźne, niczym łuny, oświetlając drogę śmiertelnościami pociskom i cel, jakim była udręczona ziemia.

- Słyszysz mnie pani? - Głos Erminii Galdi dobiegał chyba z bardzo daleka.

Pani Konstancja otworzyła oczy.

- Słyszę - odpowiedziała, rozglądając się po obcej sypialni. - Myślała pani, że zasnąłam?

- Obawiałam się...

- Nie, nie. Ta noc przypomniła mi inne noce dobre i złe, spokojne i straszne.

- Wyobrażam sobie...

- Wyobrażenia ludzka ma pewne granice, których na szczęście nie potrafi przekroczyć. Ale tak lepiej.

- Dlaczego?

- Bo inaczej trudno byłoby żyć.

- Ale pani żyje.

- Żyję. Czy to jednak jestem ja? Ta sama? Wątpię. On także jest inny.

- Mówi pani o Witoldzie?

- Tak.

- Czy pani myśli, że mógł o mnie zapomnieć?

- Nie wiem. Ale jeżeli jest Lidia...

- Zanim po wojnie otwarto w Rzymie polską ambasadę, było tam poselstwo i biuro Czerwonego Krzyża. Zwróciłam się więc o pomoc do tej placówki. - Erminia nie mogła usiedzieć. Znowu krążyła po pokoju, szeleszcząc falbanami bladoróżowego peniuaru. Pani Konstancja wodziła za nią zatroskanym spojrzeniem, tak smutny i niespokojny wyraz miała biała twarz pod czarną grzywką.

- Wysłałam wiele listów do Warszawy i bezskutecznie czekałam wieści. W poselstwie zostawiłam pismo, prosiłam o odszukanie wymienionej w nim osoby i powiadomienie mnie o wynikach poszukiwań. Uprzejmy pan obiecał przekazać wiadomość Ministerstwu w Warszawie, ale nie robił wielkich nadziei. - Warszawa w gruzach - mówił - dawne adresy dziś nieaktualne. Poradził mi zwrócić się do Włoskiej Misji Czerwonego Krzyża. Ta instytucja pomagała żołnierzom włoskim przebywającym w niemieckich obozach na terenie waszego kraju. Dał mi adres i życzył powodzenia. Nic więcej nie mógł dla mnie uczynić.

- Pamiętam - skinęła głową pani Konstancja. - Misja ta mieściła się w jedynym ocalałym budynku kinowym. Byłam tam kiedyś wzywana jako lekarz.

- Okazało się, że mój ojciec znał hrabiego Jaccarini. To ówczesny szef włoskiej misji Czerwonego Krzyża w Warszawie. I akurat tak się złożyło, że przyjechał on w jakichś sprawach do Rzymu. Posłałam do niego z ojcem. Był bardzo miły i też obiecał... Mówił rzeczy straszne. Trudno wprost uwierzyć, co zrobiono z Warszawą.

- Tak, trudno uwierzyć - przytaknęła Polka. - Kto tego nie widział...

- Po kilku tygodniach przyszedł list. - Twarz Erminii zmalęła nagle, zapadła się, jak u umierających. - Straszny list. Najstraszniejszy, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Pisała go niejaka Lidia Bielawska. - Nazwisko to wymówiła miękko: Bjelawska. - Tak się nazywa Witold. Bielawski. Mówił mi, że w języku polskim istnieją końcówki męskie i żeńskie także dla nazwisk. Z początku nie wiedziałam o co chodzi. Ta pani Bielawska pisała, że właśnie przyjechała do Rzymu, a znajomy pracujący tu w polskiej ambasadzie poinformował ją, że pewna Włoszka poszukuje jej męża. Pani Bielawska bardzo się tym zaniepokoiła. Napisała mi, że mąż choruje na skutek wojennych przeżyć, wyraziła zdziwienie moim zainteresowaniem jego osobą i dodała, że zakomunikuje mu o moim istnieniu. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Łatwo sobie pani wyobrazi, jaką noc spędziłam. Pokazałam naturalnie ten list rodzicom. Ojciec zaofiarował się, że sam pojedzie do ambasady i rozmówi się z tą panią. Musiałam przecież wiedzieć, jak sprawy stoją. Jeżeli Witold ożenił się, nie odezwę się więcej do niego, ale dopóki on sam tego nie potwierdzi... Nie miałam przecież żadnej pewności.

- Pewność! O tak, to wielka rzecz. Pani Konstancja wiedziała coś o tym. Przez kilka lat poszukiwała Stacha, łudziła się, że może przeżyć i gdzieś jest. Nawet jeszcze dziś ma takie

szalone nadzieje. Tak samo i ojciec... Grobów ich przecież nie znalazła. Pisała do Czerwonego Krzyża do Genewy, ogłaszała w gazetach... I nic.

Iluz ludzi miało taką płonną nadzieję... Oczekiwało na próżno. Nie nadszedł jeszcze czas zmartwychwstania.

- Czy ojciec pani widział się z Lidią Bielawską? - Polka z trudem oderwała się od wspomnień.

- Nie. Nie zastał jej. Portier powiedział, że pojechała do Neapolu i wróci za parę dni.

- I co, wróciła?

- Chyba tak. Dostałam bowiem drugi list. - Panna Galdi zatrzymała się w swojej wędrówce. - Lidia Bielawska oburzała się, że nasyłam jej mego ojca, tak się wyraziła i dodała, że jeżeli chce się skontaktować z jej mężem, to mogę zostawić list w ambasadzie. Ona wkrótce wraca do Warszawy i doręczy mu moje pismo. Pisała też, że jak przypuszcza, zaszła jakaś pomyłka, gdyż wie, że jej mąż nigdy nie miał okazji mnie poznać. W każdym razie, by wyświetlić tę zagadkę, list chętnie zabierze. Nie podała jednak żadnego adresu w Warszawie.

- I co? - Pani Konstancja nie spuszczała oczu z blado-różowej postaci. - Zabrała list?

- Przypuszczam, że tak. Nigdy co prawda nie otrzymałam odpowiedzi. Już po jej wyjeździe poszłam kiedyś do ambasady i poprosiłam o jej warszawski adres. Portier skierował mnie do siostry pani Bielawskiej, która tu pracuje. Poznałam ją. Wyjątkowo ładna i elegancka. Zauważyłam, że przygląda mi się ze zbytnim zainteresowaniem, jak na osobę nieznaną. Od razu podała mi adres siostry w Warszawie i dodała znacząco, że szwagier jest chory i nie należy zakłócać jego spokoju. Napisałam jeszcze raz. Naturalnie bez skutku. Co pani o tym sądzi?

- Trudno powiedzieć... - Pani Konstancja kręciła głową. - Trzeba być na miejscu... Zobaczyć... Ewentualnie porozmawiać z sąsiadami... Czy ja wiem zresztą...

- To co pani zrobi?

- Myślę, że wezmę do pomocy mego syna. W każdym razie dyskrecja będzie zapewniona, a o to przecież chodzi.

- O właśnie, przypomniała mi pani - Enninia Galdi przysiadła na łożku. - W tym drugim liście, pani Lidia Bielawska prosiła mnie o dyskrecję. Pisała, że przyjaciel, urzędnik polskiej ambasady w Rzymie, właściwie nie miał prawa komunikować jej treści mego pisma. Skoro jednak zobaczył, że chodzi o Witolda, powiadomił ją o tym poufnie i nieoficjalnie. Prosiła, bym ten fakt zachowała przy sobie. Obawiała się przykrych następstw dla przyjaciela, gdyby to doszło do wiadomości jego zwierzchników.

- Oczywiście zachowała pani jej listy?

- O tak. Mam je w domu.

- Czy pisała po włosku?

- Nie. Po francusku. Bo i ja użyłam tego języka w moim piśmie.

- Przyśle mi pani kopie tych listów, dobrze?

- Dobrze. Jeżeli to w czymkolwiek pomoże.

- Mogą mi się przydać... A siostra jej mówi po włosku?

- Doskonale. Jak rodowita Włoszka.

- Dziwna historia. - Pani Konstancja siedziała chwilę w milczeniu.

- Nazwisko Bielawski jest w Polsce dość pospolite - powiedziała wreszcie. - Tak samo imię Witold. Być może chodzi o kogoś zupełnie innego, o jakiegoś nieznanego Witolda Bielawskiego, męża Lidii, który z pani Witoldem nie ma nic wspólnego.

- Może. - Erminia Galdi nie wydawała się jednak przekonana. - W drugim liście Lidia Bielawska, pisząc o powrocie do Warszawy nadmieniła, że otrzymała właśnie wiadomość o

pogorszeniu stanu zdrowia męża, co przyspieszyło jej wyjazd. Jeżeli to on... Jest może chory... bardzo chory...

- Miejmy nadzieję, że to nie on. A czy adres, jaki dostała pani od jej siostry, jest taki sam jak ten, który podała pani Witold?

- Nie. To zupełnie inny adres. Mam w domu plan przedwojennej Warszawy. Kupiłam kiedyś okazyjnie w antykwariacie. Przed tym Witold mieszkał w śródmieściu, a ulica, którą mi wskazała siostra pani Bielawskiej, leży gdzieś na peryferii.

- A ta siostra... Nie wie pani, czy dotąd pracuje w polskiej ambasadzie?

- Nie. Wkrótce po mojej wizycie wyszła za mąż za jakiegoś cudzoziemca i opuściła Rzym. Tak przynajmniej poinformowano mnie...

- Zapamiętała pani chociaż jej nazwisko?

- Na imię miała Wanda, a nazwiska nie powtórzę w tej chwili. Dość trudne. Portier podała mi je wówczas, gdy o nią pytałam. Mam w domu kartkę. Przyślę pani. Żadnych właściwie poszukiwań wówczas nie prowadziłam. Teraz żałuję.

W tej chwili z korytarza dobiegły tłumione śmiechy, stukot wysokich obcasów na kamiennej posadzce, potem skrzyknęły jakieś drzwi jedne i drugie i znowu zapadła cisza.

Młodzi delegaci wesoło widać spędzali ten ostatni wieczór w Grenoble.

Erminia Galdi z westchnieniem zrzuciła różowy peniuar.

- Okropnie panią zmęczyłam - powiedziała ze skrucą. - A czy przebaczy mi pani jutrzejszą wycieczkę?

- Przebaczę. - Pani Konstancja ze współczuciem przyjrzała się dziwnie mizernej twarzy młodej Włoszki. - Przynajmniej wypimy się dziś za wszystkie czasy - dodała pogodnie. - Jutro mamy wakacje.

- Tak. Wakacje w Grenoble. - Głos panny Galdi dobiegł do niej już z bardzo daleka.

Tych jednodniowych "wakacji w Grenoble" pani Konstancja nie miała nigdy zapomnieć.

Mimo perspektywy wolnego dnia i wypoczynku, już o ósmej były na nogach. Z dziedzińca dobiegał różnorodny gwar gotowych do odjazdu wycieczkowiczów. Po chwili - ponad inne - wybił się głos przewodnika informujący, że autokary czekają przed bramą, na ulicy Vieux Temple.

Warkot zapuszczanych silników, dudnienie kół po asfalcie, wesołe okrzyki i wreszcie upragniona cisza.

Erminia Galdi wychyliła się z okna.

- Pojechali - oznajmiła z ulgą. - Możemy teraz zejść na śniadanie. Proszę się nie uśmiechać - zwróciła się do pani Konstancji. - I tak wiem, co pani czuje. Mimo wszystko jestem podła. Żałuję teraz, że pozbawiłam panią przyjemności.

- Kochanie, niechże pani nie mówi głupstw - rozgniewała się Polka.

- Przecież czeka nas wspaniały dzień, cały dzień w Grenoble! Czy pani rozumie, co to dla mnie znaczy?

- Dla mnie ten dzień znaczy dużo więcej - odpowiedziała Włoszka.

- Będzie to dzień z panią... i z Witoldem.

- Tak, z Witoldem - zgodziła się pani Konstancja. - Każda z nas ma przecież swojego Witolda.

Poszły w kierunku rzeki, mając przed oczami słynnego Nerona. Gdziekolwiek ruszyć się w Grenoble, z każdego miejsca ciemnieje na czystym błękitnie bulwiasta góra, niczym ogromna głowa, zwana Neronem. Zewsząd ją widać. Neron stanowi część grenoblijskiego krajobrazu, uwidoczniiony na wszystkich niemal kartach, szczególnie tych, które ukazują panoramę miasta.

- Zimą czterdziestego szóstego roku odbył się w Warszawie zjazd byłych więźniów obozów koncentracyjnych. - Powiedziała nagle młoda Włoszka. - Jednym z przedstawicieli Italii był mecenas Brezzi, kolega ojca. Dałam mu adres Witolda, stary i ten nowy, otrzymany od pani Lidii Bielawskiej. Prosiłam, żeby się z nim zobaczył, ewentualnie dowiedział czegoś. Niestety, nic nie mógł załatwić. Pod starym adresem znalazł zgłiszcza, a pod tym nowym jakaś kobieta powiedziała, że państwo Bielawscy wyjechali.

- Proszę teraz o tym nie myśleć.

- Nie mogę myśleć o niczym innym. Myślę już o tym cztery lata.

- To wystarczy.

Erminia Galdi roześmiała się i spojrzała z ukosa na panią Konstancję.

- Wie pani, Witold powiedział kiedyś: "Jak to dobrze, że w dzieciństwie uczono nas francuskiego. Gdyby nie to, jak moglibyśmy się porozumieć, zanim ty nauczysz się po polsku, a ja poznam włoski".

- Bardzo słuszna uwaga.

Milczały chwilę.

- Pojedziemy do Bastylli - zaproponowała Erminia. - Dobrze? Zobaczy pani nareszcie jakieś widoki godne podziwiania. Tam na górze, w starym forcie, jest na tarasie kawiarnia. Posiedzimy sobie do obiadu, mamy jeszcze dość czasu. A potem pójdziemy coś zjeść.

Panią Konstancję krępował brak pieniędzy. Nie mogła pozbywać się tej niewielkiej sumy, jaka jej jeszcze została, bo przecież czekała ją podróż do Paryża.

- Przykro mi - zaczęła. - Wie pani, my mamy trudności dewizowe. Wolałabym zjeść obiad w kantynie.

- Dlaczego pani to mówi? - oburzyła się panna Galdi. - Między nami nie powinno być podobnych problemów.

Trzyminutowy lot kolejką linową pozwolił objąć wzrokiem całą panoramę miasta, a malutki wagonik, gdy uniósł się w niebo, przerzucił je z doliny w prawdziwie alpejskie wysokości.

- Przyjeżdżaliśmy tu wieczorem całą gromadą - opowiadała Włoszka. - Wówczas Grenoble i jego światła wydają się oddalone o dziesiątki kilometrów. Rzeka Łni, jak gdyby woda przeświecała fosforem, jest przy tym bardzo cicho.

Na tarasie - niewiele osób. Najrojnziej będzie tu wieczorem, po kolacji, zwanej przez Francuzów obiadem. O tej porze ona znajdzie się w pociągu, oddalając się coraz szybciej od tego miasta, od tych gór.

- Gdyśmy się żegnali, poraziła mnie nagle pewność, że go więcej nie zobaczę - głos Erminii Galdi nie mąci ciszy, wtapia się nieledwie w wielkie milczenie, jakie odcina siedzących na tarasie od miejskiego gwaru w dole.

Pani Konstancja też nigdy nie zapomni. Ostatniej chwili spędzonej z Witkiem, zanim poszedł...

- Dwudziestego piątego sierpnia, na dworcu w Grenoble, w tym samym Grenoble - młoda Włoszka opuściła rękę w kierunku miasta, mieniącego się w słońcu pod ich stopami.

Sierpień. Miesiąc pożegnań i klęsk. Czy tu w Grenoble, czy tam w Warszawie, wszystko jedno. Pożegnania wszędzie takie same, tym bardziej, jeżeli są to pożegnania na wieczność.

- O czym pani myśli? - Erminia Galdi pochyliła się do przodu. - Czy także o pożegnaniu? O swoim pożegnaniu?

- Tak. A za kilka godzin nastąpi i nasze pożegnanie. Może na zawsze.

- Dlaczego pani tak mówi? - Panna Galdi uczyniła gest obejmujący rozłożone u ich stóp miasto. - Czy tu nie pięknie? Nie zechce pani powrócić?

Pani Konstancja milczała. Cóż miała powiedzieć? Żelazna kurtyna szczelnie odgradzała od świata, wolnego świata.

- Ja przecież wróciłam - dorzuciła Włoszka. - Po dziesięciu latach. A wszystko jest takie jak wtedy... Nic się tu nie zmieniło.

- Tu się nigdy nic nie zmienia. - Pani Konstancja potrząsnęła głową. - Czy widziała pani ślady wojny? Zniszczenia? Dwadzieścia wieków przewaliło się nad tą ziemią nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy. Pozostały po nich dobra co trwają, których nie zniweczy czas ani ludzie, jak owa krypta z epoki Merowingów. U nas jest inaczej.

- Wiem - przytaknęła gwałtownie panna Galdi. - Wiem wszystko. Czy może pani sobie wyobrazić, co przeżyłam, gdy Italia przystąpiła do wojny po stronie Hitlera? Dla nas był to cios, hańba przed światem. Ale cóż my? To Mussolini... Naród nie miał głosu. Czy w ogóle narody mają jakiegokolwiek prawo do stanowienia o swoim losie?

Dziwnie dotykać tych spraw tak strasznych i bolących pod tym słońcem i niebem bez skazy, mając przed sobą butelkę pomarańczowego soku i szklankę mrożonej czekolady.

- Zdawało mi się, że między mną a Witoldem legła skrwawiona Europa, bezpowrotnie nas rozdzielając. A przecież tu, w Grenoble, Witold kiedyś powiedział, że w razie konfliktu, możemy znaleźć się po przeciwnych stronach frontu. Już wówczas brał tę możliwość pod uwagę, nie przypuszczając, że nastąpi to tak szybko, zaledwie w parę dni...

- Wymieniła pani datę dwudziestego piątego sierpnia - zauważyła Polka.

- Tak, tego dnia widzieliśmy się po raz ostatni. - Erminia Galdi zamilkła, może bała się splotzyć wspomnienie tej chwili, która trwała w niej dziesięć lat.

Pani Konstancja przymknęła oczy.

Sierpień. Właściwie utraciła Witka już pierwszego dnia, kiedy to - jak tyłu innych - wyszedł z domu. Żyła potem od spotkania do spotkania, czasem przypadek stykał ich na chwilę ze sobą. Pracowała w tak zwanym szumnie "szpitalu polowym", a Władek był łącznikiem.

Nie wie, jak to przeżyła, jak zniosła niepokój o dwie najdroższe dla niej istoty. Dziś pewnie nie dokonałaby już tego. Nie starczyłoby jej odporności.

- Dwudziestego piątego sierpnia - podjęła panna Galdi - po drugim śniadaniu, jak co dzień, wszyscy udaliśmy się na krótką sjeść. Zdjęłam suknię i miałam zamiar położyć się, gdy zapukano do drzwi. Narzuciłam szlafrok i powiedziałam "proszę". Na progu stał Witold, ale jakiś zmieniony. Nigdy dotąd nie był w moim pokoju, widywaliśmy się zawsze w jadalni, w saloniku, w ogródku willi Th~er~ese, na uczelni, czy na spacerze. Byłam bardzo zdziwiona, bo przecież rozstaliśmy się dosłownie przed paroma minutami. "Dostałem telegram z domu - dopiero wówczas zauważyłam, że w rękę trzymał papier. - Muszę natychmiast wracać. Jestem powołany do wojska". Nie mogłam wydobyć ani słowa. Staliśmy milcząc i patrzyliśmy na siebie, zanim na tyle opanowałam się, by poprosić go do środka. "To wojna - powiedział - wiem, stanie się coś strasznego, ale nie będzie trwać wiecznie. A gdy się skończy..." Nie wiedziałam co mówić, byłam zbyt poruszona tą wiadomością. Mieliśmy przecież pozostać w Grenoble do połowy września. I znowu siedzieliśmy milcząc, choć mieliśmy sobie tyle do powiedzenia.

Wagonik kolejki linowej wyrzucił na podeście grupkę rozweselonej młodzieży. Na cichym dotąd i pustawym tarasie zrobiło się jakoś ciasno i zbyt hałaśliwie. Młodzi zsuwali stoliki, dostawiali krzesła, przywoływali kelnerów, którzy zaaferowani biegali przyjmując zamówienia. Panna Galdi obejrzała się z niesmakiem na męcących ciszę, po czym znowu zwróciła twarz ku lśniącej pod nimi rzece.

- Nigdy dotąd nie mówiliśmy o miłości. Ale wówczas, w tej decydującej o naszym życiu chwili, po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha. "Nigdy tego nie mówiłem - to jego słowa -

ale chyba wiesz, że cię kocham". Złożyliśmy sobie przysięgę, uroczystą przysięgę przed Bogiem, że będziemy na siebie czekać, cokolwiek by się stało. I przyrzekliśmy sobie szczerść i prawdę. Wtedy mnie pocałował. Pierwszy raz.

Powitalne okrzyki i wybuchy śmiechu przerwały tok wynurzeń. Pękła nić wspomnień. Przeszłość musiała ustąpić przed jakże narzucającą się teraźniejszością.

Nowi przybysze obejmowali tymczasem w posiadanie niezajęte dotąd miejsca, wygnawszy z tarasu nastrój intymności i odosobnienia.

- Chodźmy stąd - Erminia Galdi skinieniem przywołała kelnera.

- Chodźmy - zgodziła się pani Konstancja, rzucając ostatnie spojrzenie na rozłożone u stóp miasto.

W falach Izery odbijało się niebo i skały zwisające nad Bastylią, łańcuch Belladonny i ośnieżone szczyty. I tak będzie dalej i zawsze, choć ona już tego nie zobaczy. Tłumy młodzieży, turystów, wycieczkowiczów z całego świata zaludnią taras zawieszony między górami a miastem. Wagonik kolejki linowej co trzy minuty będzie się zsuwał w dół, by po chwili z nową grupką ciekawych piąć się ku słońcu, lub ku gwiazdom zależnie od pory.

- Pójdziemy teraz na obiad - zdecydowała panna Galdi. - Czy zgodzi się pani na wczorajszą restaurację?

- Zgodzę się na wszystko, byle ten ostatni dzień w Grenoble trwał jak najdłużej.

- Chciałabym i ja tego samego. Czuję się tak, jak gdybym miała zaraz wrócić do mego pokoju w willi Thérèse, a potem wyruszyć z Witoldem na cudowny spacer. Grenoble przecież jest takie samo jak wówczas... ja też...

- Nieprawda. Pani już jest inna. Wszystko jest inne. I Witold się zmienił, jeśli żyje.

- Zmienił się - powtórzyła. - Tak. Chyba się zmienił, przecież nie pisze...

- Wie pani co, droga Erminio? Byłabym rada, gdyby pani dziś jeszcze odjechała do Rzymu.

- Och, dlaczego żałuje mi pani jednego dnia?

- Niczego nie żałuję, uważam jednak, że zdrowiej dla pani będzie w domu, ze swoimi.

Pójdziemy teraz na dworzec i kupimy bilety.

- Przed obiadem?

- Tak, przed obiadem.

A więc to koniec. Pani Konstancja dotknęła torebki, gdzie spoczywał bilet na pociąg pospieszny Grenoble-Paryż. Niewidzialna a nieubłagana ręka opuściła oto jakiś gigantyczny szlaban, odcinający ją od tych czterech dni wydartych życiu.

Minęły i już nie powrócą. Pozostanie po nich jedynie blednący powoli ślad w jej pamięci.

- Nic pani nie je - zatroszczyła się panna Galdi. - Czyżbym zaraziła panią moim smutkiem?

- Każdy, moja droga, niesie swój własny smutek, jak ślimak skorupę. No, ale zrzućmy na dzisiaj nasze jarzmo i cieszymy się wakacjami w Grenoble. Dzień jeszcze nie dobiegł końca, a lato dopiero przed nami.

Erminia Galdi usiłowała odpowiedzieć uśmiechem, jednak żałosne skrzywienie ust wskazywało, jak bliska była płaczu. Dłuższą chwilę jadły w milczeniu.

- Wie pani - młoda Włoszka przemogła wreszcie wzruszenie. - Aż mi się wierzyć nie chce, że wkrótce dowiem się prawdy. Gdybym wiedziała, że Witold ożenił się i wyrzucił mnie z pamięci, nie miałabym mu tego za złe. Widocznie nie kochał mnie prawdziwie. Gdyby tak było, duma moja nie zostałaaby zraniona. On jednak, milcząc i ukrywając prawdę, naraził mnie na straszne upokorzenie. I o to czuję do niego wielki żal. Zresztą może sama jestem sobie winna? Budowałam życie na uczuciu młodego chłopca. Jeżeli się zmienił i przestał mnie



kochać, może to wcale nie jego wina? Po prostu nie dorósł jeszcze do trwałego uczucia, był za młody, za słaby, za tchórzliwy...

Ostatnie słowo, choć wypowiedziane ciszej od innych, długo dźwięczało w chłodnym półmroku restauracyjnej salki.

- Tak, tchórzliwy - powtórzyła mocniej panna Galdi. - Bo i o tym też myślałam. Może między nami stanęła przeszkoda trudna do obalenia, na przykład niechęć jego rodziców do synowej cudzoziemki, a może dziewczyna oczekiwała dziecka i przyzwoitość nakazywała mu się ożenić? Czy ja wiem? Człowiek snuje różne przypuszczenia. Zawsze jednak powraca to samo pytanie: dlaczego milczy?

Wyszły na rozpaloną ulicę. Żar bił z nieba, płosząc nielicznych przechodniów. O tej porze dnia kto tylko mógł, chronił się pod osłonę murów, by w chłodnym półmroku sypialni przeczekać najgorętsze godziny.

Prawie nie rozmawiając dotarli do gościnnie uchylonej bramy na rue Vieux Temple, minęły stary figowiec ozłocony teraz słońcem i wstąpiły w cień arkadowych krużganków. Na dziedzińcu nie było żywej duszy, cały ten poklasztorny zespół gmachów zdawał się wymarły, a bluszcz tak oplątał zamknięte drzwi kongresowej auli, jak gdyby pragnął nie tylko ukryć je, ale zatrzeć nawet wszelki po nich ślad na gładkim murze.

W części przeznaczonych na mieszkania delegatów także panowała głucha cisza. Kroki idących dźwięczały na kamiennych płytach wywołując dalekie echo, odzywające się gdzieś za zakrętem korytarza.

Pani Konstancja weszła do sypialni prawie jak do domu, taka czuła się smutna i zagubiona, a przy tym zmęczona upałem i wrażeniami. Obudziły ją dzwony z pobliskiej katedry.

Panna Galdi już nie spała.

- Odpoczęła pani?

- Doskonale - pani Konstancja opuściła nogi. - Szkoda każdej chwili. Przecież to ostatni dzień.

- Tak, ostatni. - Erminia Galdi sięgnęła po niewielki neseser z zielonkawej skóry. - Pokażę pani zdjęcia.

- Nareszcie!

- Przecież wyślę pani pocztą wszystkie fotografie, jakie mam - powiedziała z wyrzutem. - Niektóre każe powiększyć. Podczas tamtych wakacji robiliśmy masę zdjęć, mam je wszystkie w domu. Ze sobą zabrałam tylko dwa.

Z wewnętrznej kieszonki neseseru wyjęła mały portfelik. Były tam dwa zdjęcia pocztówkowego formatu.

- Jedno zrobił Mario Da Costa moim kodakiem na wycieczce w Vizille, drugie dostałam od Witolda.

Pani Konstancja ostrożnie ujęła otwarty portfelik. Zdjęcie z lewej strony przedstawiało grupę młodzieży. Za tło służył fragment parku z posągami Satyra po środku, u stóp którego rozsiadło się całe towarzystwo.

Erminię łatwo było poznać. Jakaś powiewna sukienka w kwiaty przepasana aksamitką z długimi końcami, rozkładała się szeroko na trawie. Przy dziewczynie siedział młody człowiek w jasnych spodniach i ciemnej marynarce. Twarz chłopca, zwrócona ku uroczej Włoszce, występowała wyraźnie, jak na portrecie. Otaczało ich kilka osób, wesołych i roześmianych, nieświadomych tego, co czaiło się tuż za progiem tych ostatnich - dla wielu - wakacji.

Prawe zdjęcie zrobione było przez ulicznego fotografa w Warszawie.

- O, Plac Zamkowy! - wzruszyła się pani Konstancja. - Dziś to same ruiny.

- Wiem. Widziałam w Rzymie kronikę filmową.

- Który z nich to Witold? Nie bardzo wyraźnie widać twarze.

- Ten z prawej strony. Z lewej to Bohdan, jego brat bliźniak.
- Ma więc brata - zadumała się pani Konstancja. - A czy ten Bohdan nie mógłby pani pomóc?
- podniosła nagle głowę.
- Pokładałam w nim wielką nadzieję - wyznała panna Galdi. - Niestety, siostra pani Bielawskiej zadała jej ostateczny cios. Bohdan nie żyje.
- To może w pewnej mierze tłumaczyć milczenie Witolda - ożywiła się Polka. - Znaną są psychologom więzy łączące bliźniaków. Coś w tym jest tajemniczego, nie są to jedynie więzy duchowe, ale i cielesne, trudno to pojąć, niemniej wiadomo, że bliźnięta niezwykle silnie odczuwają niekiedy śmierć brata lub siostry. O wiele silniej niż zwykle, najbardziej nawet kochające się rodzeństwo. Bywały wypadki o prawie jednoczesnym zgonie takich właśnie dzieci albo już dorosłych, a nawet starych osób.
- Tak, słyszałam o tym, choć nie zajmowałam się tym problemem. Raz tylko miałam okazję zetknąć się z taką parą małych pacjentów, siostry i brata. Wyniki badań były u nich zupełnie jednakowe, tak samo zresztą reagowali na leki.
- Właściwie chory był tylko chłopczyk, ale dziewczynka musiała przebywać z nim w szpitalu, gdyż nie można ich było rozdzielić. Ani chwili żadne z nich nie chciało zostać bez drugiego.
- Widzi pani, coś w tym jednak jest. Śmierć brata mogła tak silnie podziałać na Witolda, że załamał się, stracił chęć do życia, popadł w depresję... różnie to nazywają.
- O tym też myślałam. Tym bardziej że Witold bardzo kochał brata. "Drugie ja" - nazywał Bohdana, a z tego, co opowiadał, z tonu, jakim o nim mówił, wywnioskowałam, że traktował go jak młodszego od siebie, jak gdyby tamtemu od dzieciństwa należało się we wszystkim pierwszeństwo. Przyznam się, że mnie to zdziwiło. Nawet zapytałam go raz. "Ależ ja jestem starszy - zauważył - pierwszy się urodziłem, on jest moim młodszym bratem i winieniem mu pomoc i opiekę". "Czy on ciebie też tak kocha?" - zapytałam wówczas. "Jest do mnie bardzo przywiązany - odpowiedział. - Pierwszy raz spędzamy wakacje oddzielnie. Dotąd nie rozstawaliśmy się nigdy, ale naszych rodziców nie stać było na wysłanie nas obu zagranicę. Bohdan pojedzie w przyszłym roku do Anglii". Biedny Bohdan! - panna Galdi westchnęła - nigdzie już nie pojechał...
- Czy zginął w Powstaniu?
- Nie wiem. Siostra pani Bielawskiej nie była skora do udzielenia jakichkolwiek informacji. Powiedziała tylko, że Bohdan nie żyje, a Witold jest chory po wojennych przejściach. Co pani na to?
- Moja droga, trudno mi coś powiedzieć. Istnienie tego brata zmienia zupełnie postać rzeczy. Wiemy już, że chodzi o pani narzeczonego, bo przecież nie może być dwóch par bliźniąt o tych samych imionach i nazwiskach. Skoro siostra pani Bielawskiej wie o Bohdanie, nie ma już żadnych wątpliwości. Witold ożenił się i należy się z tym pogodzić. Co właściwie chce pani jeszcze wiedzieć?
- Co chcę wiedzieć? - Erminia spojrzała na panią Konstancję tak, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy. - Chcę poznać prawdę, nic więcej.
- Ależ pani już tę prawdę zna. On jest żonaty. Może pokazał żonie pani listy i prosił, by uwolniła go od natarczywej wielbicielki. Mężczyźni to potrafią.
- Witold miałby tak postąpić? Przenigdy! To zupełnie nie w jego stylu.
- Co pani o nim wie? Podczas wakacji mieszkaliście w jednym pensjonacie. Spotykaliście się przy stole, na spacerach, na wspólnych wycieczkach. Przetarliście kilka wieczorów. Czy pani sądzi, że to wystarczy, żeby poznać człowieka?
- Mówiłam pani, że Witolda nie wolno mierzyć zwykłą miarą. To wyjątek.

- W tych sprawach nie ma wyjątków. Zresztą nad czym się tu zastanawiać? Ożenił się i koniec. Nie wiemy, dlaczego to zrobił. Z miłości, z obowiązku. Wszystko jedno. Dla pani to nie ma znaczenia. Ma żonę i nic już na to pani nie poradzi. Proszę to zrozumieć.

- To pani nie chce zrozumieć. Widocznie nie potrafiłam dość jasno przedstawić tego, co nas łączyło, opisać, jaki był Witold. A on myślał o wszystkim, nawet o takiej właśnie sytuacji, w jakiej się znalazłam. Z tą tylko różnicą, że to ja miałam być tą niewierną, zapomnieć o nim. Mówił to już na dworcu... Jak dziś pamiętam.

"Będziemy rozdzieleni walczącą Europą. Ufać możemy tylko sobie, nikomu więcej. Różne mogą być wieści, jakie o sobie otrzymamy. Nie wolno nam wierzyć, jeśli nie potwierdzi ich własnoręcznie druga strona. Nawet gdy mi powiedzą, że wyszłaś za mąż, nie uwierzę, póki sama mi o tym nie napiszesz. Bo przecież napisałaabyś, gdybyś to zrobiła? Powiedz". "Wiesz, że tego nie zrobię - odpowiedziałam. - Wyjdę tylko za ciebie." Czy teraz pani rozumie?

Pani Konstancja nie wydawała się przekonana tymi argumentami. Cóż jednak miała robić? Ostatecznie wszystko jest możliwe i to małżeństwo Witolda...

- Zobaczymy, czego dowiem się w Warszawie - powiedziała niepewnie.

- A jeżeli niczego się pani nie dowie? - Erminia Galdi wstała. - Co wówczas?

- Dotąd nie wątpiła pani w moje detektywistyczne talenty, skąd teraz taka zmiana? Może nie dowiem się od pierwszego razu, od mojej pierwszej wizyty, może nie zastanę nikogo w domu, ale przecież ja też mieszkam w Warszawie, będę więc tam chodzić do skutku.

- A jeżeli komuś zależy, żebym się nie dowiedziała? - głos panny Galdi ścichł do szeptu. - Tak bardzo zależy, że...

- Co chce pani powiedzieć?

- Może to... niebezpieczne...?

- Co jest niebezpieczne? Komu ma zależeć? Pani chyba żartuje?

- Nie wiem. Przecież nic nie wiem i dotąd niczego nie udało mi się dowiedzieć. Czy to nie dziwne?

- W tej sprawie wszystko jest dziwne, ale to wojna... Ludzie przeszli piekło i nie są już tacy, jak dawniej. Zmienili się. My też jesteśmy inne. Sześć takich lat nie mija bez śladu. Nawet pani, w Italii, choć nie osobiście, ale poprzez Polskę, zetknęła się z potwornościami wojny. To wszystko w nas zostało... Siedzi gdzieś głęboko, aż pewnego dnia wybuchnie... nie wiadomo tylko, w jakiej formie, u każdego inaczej...

- Może on stracił pamięć? A może... zwariował?

- Po co te straszne przypuszczenia? Przecież niedługo dowiem się.

Erminia Galdi wstrząsnęła czarną grzywką.

- Różne myśli przychodzą do głowy. Przepraszam panią - zmieniła nagle ton. - Upał minął i możemy wyjść. Szkoda czasu. To przecież nasze ostatnie wspólne popołudnie w Grenoble.

Było jeszcze bardzo ciepło, ale duszność upalnego dnia już minęła.

Na ulicach tłoczyli się żądni wrażeń spacerowicze - turyści, z aparatem fotograficznym lub lornetką w ręku. Popłynęły z falą, unosząc ją ku rzece, ku dawnemu centrum, którego granice wytyczyły niegdyś kościół Świętego Andrzeja i Pałac Delfinów, dziś siedziba sądu.

Cały ten zakątek Grenoble poświęcono pamięci wielkiego Bayarda-rycerza "bez lęku i skazy", jak go nazywano w szesnastowiecznej Europie.

Bayard to obok Lesdiguières'a druga chluba stolicy Delfinatu, wzór wszelkich cnót, żywy przykład "doskonałego rycerza". Podziwiano nie tylko jego męstwo i waleczność, co wysokie poczucie honoru. Tak, honor, wiara i lojalność, wielkie ideały średniowiecza, aktualne i żywe w każdej późniejszej epoce, przyświecały Europie aż do naszych czasów. A potem nagle

okazało się, że wystarczy zdmuchnąć jakże cieniutką warstwę cywilizacji, by dwadzieścia wieków chrześcijaństwa zniknęło bez śladu.

Pani Konstancja z westchnieniem oderwała spojrzenie od spiżowej postaci rycerza bez skazy, tkwiącej nieruchomo naprzeciw Pałacu Delfinów. I tego tytana walki, niepokonanego w bitwach, powaliła - jak na urągowisko - zabłąkana kula, wystrzelona z prymitywnej rusznicy!

Cóż stąd, że ziomkowie wzniesli bohaterowi wspaniałe mauzoleum? Turyści tłoczą się w kościele Świętego Andrzeja w Grenoble, fotografując grobowiec, kryjący szczątki odrzuconych dziś ideałów.

Słońce już się znacznie zniżyło, ludzie opuszczali plac, oglądając się za jakimś barem czy restauracją. Od rzeki napływało przyjemnie odświeżone powietrze.

Kolację, czyli po francusku obiad, jadły w restauracji hotelu "Pod trzema Delfinami", gdzie niegdyś zatrzymał się Napoleon w triumfalnej drodze z wygnania.

Napoleon był po Bayardzie i Lesdiguières'ie trzecią legendą Grenoble.

- Witolda wychowano w kulcie dla Bonapartego - opowiadała z ożywieniem Erminia. - Chciał zwiedzić wszystkie miejsca uświęcone obecnością cesarza. Uniwersytet zorganizował nam wycieczkę nad jezioro Laffrey. To niedaleko stąd, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Grenoble. Jest tam kilka pięknych górskich jezior, a widok stamtąd wspaniały. Cały masyw Grande-Chartreuse i łańcuch Belladonny jak na dłoni! Nad jeziorem Laffrey stoi teraz posąg konny Napoleona. Bardzo to sugestywnie wygląda na tle gór i nieba. Szkoda, gdyby pani mogła zostać, pojechałybyśmy...

Panna Galdi opuściła głowę. Zgasło ożywienie, znikł uśmiech.

- Witold miał znakomitą pamięć. - Erminia powoli odyskiwała równowagę. - Nauczyłam go włoskiego wiersza. Doskonale recytował. Zaczyna się tak: "Rondinella pellegrina..." Gdy go pani zobaczy, proszę zapytać, czy pamięta... - Tym razem smutek nie opuścił jej do końca obiadu.

Pani Konstancja rozglądała się dyskretnie po sali dosyć szczelnie wypełnionej. Iluż ludzi zjechało tu z różnych stron świata na beztrudne wakacje! A wszyscy dobrze odżywieni, ubrani modnie, pewni siebie, uśmiechnięci. Gdzieś tam, w dalekich ojczyznach, czekały na nich wygodne domy, konta bankowe i zabezpieczone jutro. Gdyby im tak opowiedziała o Polsce, o tym, co przeżyli ona i jej bliscy, nie uwierzyliby, słuchaliby tego jak bajki o żelaznym wilku.

A przecież wielu z nich znało historię, znało nawet dzieje starożytne, uczyło się o Wojnie Stuletniej, czytało o wyprawach Kolumba. A tu, tak blisko nich, nieledwie wczoraj, działy się rzeczy tak straszne, że gdyby poznali je, straciliby apetyt i chęć do zabawy. A jednak mocno zacisnęły powieki, by nie widzieć, zatkali uszy, by nie słyszeć tego, co gdzieś tam krzyczało o pomstę do nieba.

- Jaka między nami przepaść! - Musiała podzielić się tym, co w niej wrzało. - My tam, w Warszawie, rozdarci między żałobą po tych, co zginęli a lękiem... zgasła dla nas nadzieja na odbudowę sprawiedliwości i ładu... i oni tu... - wskazała wzrokiem salę. - I powiedziec, że tak my, jak i oni przetrwaliśmy drugą wojnę światową!

- Rozumiem, co pani czuje - Erminia Galdi poprzez stolik dotknęła ręki pani Konstancji. - Ja myślę podobnie, mimo że byłam przecież uprzywilejowana, jeśli tak można powiedziec. Pali panią gorycz, to zrozumiałe. Oto Niemcy i Włosi przegrali wojnę, a pełno ich na wszystkich turystycznych szlakach Europy. I mają za co. Podczas gdy w Polsce... Ale proszę nas nie utożsamiać z Niemcami. Nas do wojny wciągnął Mussolini. Wbrew woli narodu. To była nasza tragedia. I przecież Włosi zbuntowali się... Włoscy żołnierze zapelnili obozy śmierci. Iluż

ich zginęło! Wielu było więzionych na terenie Polski. Znam takich. Wielu zagnano na Sybir. Wojna nie oszczędziła nawet królewskiej rodziny. Król co prawda nic wówczas nie znaczył, tylko Mussolini i jego partia... Czy pani wie, że córka Wiktora Emanuela, księżniczka Mafalda, zginęła straszną śmiercią w Grossrosen? A księżkę Aosty? Wojna zniszczyła wszystko. Wojna i nienawiść. Często spotykam Niemców w Italii. Latem moc ich przyjeżdża na nasze plaże, do Wenecji, do Florencji, na Capri. Są okropni. Po ulicach chodzą w szortach, noszą szelki i tyrolski kapelusik. Czyż jest coś bardziej wstrętnego niż gruby, podstarzały mężczyzna w szortach? A niech pani przypomni dawne wojny na terenie Włoch, między Karolem Piątym a Franciszkiem Pierwszym. Italia wówczas krwią spływała. Pod ciosami niemieckiej halabardy padły dzieła włoskiego Renesansu. Te czyny niesławnej pamięci odżyły w naszych czasach. Z tą tylko różnicą, że wówczas nie znano krematoryjnych pieców, wystarczył miecz, topór lub sztylet. Dla ofiar było to pewnie lepsze od powolnego konania lub głodowej śmierci w takim na przykład Oświęcimiu. Wiem, nie powinnam tego mówić, pani musi zapomnieć, pozbyć się koszmaru przeszłości, wrócić do życia, do normalnego życia. Ale nikt tak jak pani nie zrozumie... Pani przecież wie, zna to wszystko nie z kroniki filmowej, czy z opowieści... jak oni. Przepraszam za mój wybuch, ale to we mnie siedzi, jak w pani, we mnie ze względu na Witolda... I dlatego ja wiem, co pani czuje, gdy patrzy na nich, na ich świat.

- Bardzo wzięła sobie pani do serca sprawę Polaków, bardziej może niż niejeden Polak. Jakże panią za to Kocham! A te nurtujące mnie myśli, choć nie wyrażone, z ust mi pani wyjęła. Problem Niemców jest problemem ogólnoludzkim. To problem sumienia. Niejednokrotnie zastanawiałam się, jak oni mogą teraz tak spokojnie żyć? Jedzą, śpią, jak gdyby nie obciążały ich zbrodnie, wobec których błędą wszystkie znane w dziejach praktyki ludobójstwa. Zresztą w dawnych wiekach nie znano idei humanitaryzmu, nie było psych cmentarzy ani Ligi Narodów. Ale w połowie dwudziestego wieku podobne zbrodnie nie wydawały się możliwe. A jednak popełniano je przez sześć lat. I nikt nie mógł temu przeszkodzić. Wszystko musiało wypełnić się do końca. Jak na Golgocie. I dotąd nie słyszałam, aby jakikolwiek Niemiec, gdy wojna się skończyła, publicznie uderzył się w piersi i z przerażeniem stwierdził, że on i jego rodacy byli zdolni do czynów godnych piekła.

- Tak - panna Galdi wstrząsnęła czarną grzywką. - Widziałam Niemców, którzy oburzali się na trybunał norymberski, na niesprawiedliwe wyroki. Krzyczeli, że skazuje się niewinnych, przyzwoitych obywateli. Próżno było szukać w nich sumienia. Czuli wyłącznie strach. Bali się śmierci, mimo że przez sześć lat nic innego nie robili, tylko zabijali.

- Wielka to różnica zabijać, a umierać samemu - zauważyła gorzko Polka. - Pamięta pani, był taki kat w Oświęcimiu. Skazał na głodową śmierć ojca Kolbego i towarzyszy. Nie wiem, czy pani słyszała o polskim zakonniku...

- Jakże? - oburzyła się Erminia. - O ojcu Kolbem wyszło już parę książek u nas i we Francji. Wszystkie czytałam. I wszystkie myślą się co do motywów jego decyzji.

- Jak to myślą się? Co więc piszą?

- Piszą to samo, co powtarza i powtarzała prasa całego świata: że Maksymilian Kolbe ofiarował swoje życie za życie drugiego człowieka, ojca rodziny.

- No tak. To przecież prawda.

- Połowiczna prawda. Trudno mi wchodzić w intencje bohaterskiego Polaka. Widzi pani - uśmiechnęła się - Polacy zawsze są bohaterami. Otóż ojciec Kolbe, tak jak ja to rozumiem, potrzebował pretekstu. Chciał, by mu pozwolono przyłączyć się do skazanych na śmierć głodową. Czy może sobie pani wyobrazić, co się działo wśród takich ludzi? Zamkniętych hermetycznie, bez jakiegokolwiek nadziei na ratunek, wydanych na śmierć, i to na jaką!

Czytałam - bo i włoska prasa po wojnie zapoznała społeczeństwo z niemieckim

okrucieństwem - że z bunkra z takimi właśnie skazańcami dobiegały nieludzkie wrzaski i przekleństwa. Zawsze przypominało mi to Ugolina i jego synów z dantejskiego Piekła. Nieszczęśnicy skakali sobie do gardła, mało w nich już pozostało człowieczeństwa. Otóż wydaje mi się, że odgadłam intencje Maksymiliana Kolbego. Zależało mu na tym, aby skazańcom pomóc umrzeć i to umrzeć godnie, jak ludziom i jak chrześcijanom przystało. Sami Niemcy przecież dziwili się, że w tym bunkrze taka cisza. Najwyżej słychać było śpiew i głośne modlitwy. Ojciec Kolbe umarł ostatni.

- Dobito go zastrzykiem z fenolu - przerwała pani Konstancja.

- Tak. Nawet Niemcom wydała się zbyt przerażająca, zbyt długa ta agonია męczennika. I obaj przeszli do historii. Kat i ofiara. Z tym, że ofiarę pewnie wyniosą na ołtarze, a kat... Wie pani, czasem mi go żal. Żal mi tych różnych Müllerów i Fischerów, Voglów i Kaufmannów, przed wojną takich zwykłych, poczciwych rzemieślników i sklepikarzy. Hodowali pelargonie, grywali na skrzypcach "Serenadę" Schuberta i kochali dzieci. A potem... Potem posyłał żonom i matkom fotografie dzielnego wojaka, jak na przykład strzela do żydowskiej dziewczynki. Czym to tłumaczyć? Coś z nich wydobyto na wierzch, coś straszego, co było głęboko ukryte. Może sami nie zdawali sobie sprawy, jacy są naprawdę? Ponadto lęk. Bo okrutnik to tchórz. Bali się. Więcej może niż ich ofiary. Bali się jeden drugiego. I dlatego prawie żaden nie miał odwagi powiedzieć: "Nie będę tego robić!" O, proszę spojrzeć, tam, pod oknem. Widzi pani? To taka właśnie niemiecka, kochająca się rodzina. Papa, mama i dwóch synów. Starszy na pewno był na wojnie. Może nawet w Polsce? Świetnie wyglądają. Papa z brzuszkiem, mama też okrągłutka, taka z tych, co to haftowały na serwetkach hasła niemieckiej kobiety: "Kinder, Kirche, Küche".

Pani Konstancja nie chciała patrzeć w tamtą stronę. Nie chciała widzieć szczęśliwej niemieckiej rodziny. Po co rozbudzać w sobie najniższe instynkty? Zemsta... chęć odwetu... Nie, nie, bała się tego tak samo jak wojny i nienawiści.

- Niemcy - powiedziała cicho. - To przecież serce Europy. Wspaniała kultura... Wielcy filozofowie... kompozytorzy... poeci... To oni tworzyli niegdyś, przed wiekami, rodzącą się po upadku Cesarstwa Rzymskiego nową Europę. A potem... Mój Boże! Wierzę, że znowu będą tym, czym byli niegdyś. O ich wielkości świadczą do dziś stare uniwersytety, miasta pełne zabytkowej architektury... Przyjdą nowe pokolenia... inni ludzie... Późno już - z przestachem spojrzała na zegarek. - Czas tak szybko przeleciał... Trzeba jeszcze zabrać rzeczy...

- Tak, późno. - Erminia Galdi oderwała wzrok od dla niej tylko widocznych obrazów. - Skończyły się wakacje w Grenoble.

Ostatni delegaci na zjazd, ci, którzy wrócili właśnie z wycieczki do Grande-Chartreuse, opuszczali budynek przy ulicy Vieux Temple.

Przed bramą stało kilka taksówek i prywatnych samochodów, na dziedzińcu - grupki osób. Wymieniano adresy, nawoływano się w różnych językach. Wszystkich ogarnęła gorączka odjazdu - niektórzy mieli przecież przemierzyć Ocean lub całe kontynenty.

Pani Konstancja przystanęła chwilę koło samotnego figowca. Pod arkadami leżał już mrok, tylko nad wejściem do części zamieszkałej przez członków kongresu paliła się lampa. Schody również były jasno oświetlone.

Korytarze wydawały się nieskończenie długie, poznaczone z jednej strony drzwiami do pokojów, z drugiej - martwą teraz szybą. W sypialni pustka, spakowane walizki, ogołoczone z pościeli łóżka. Rozejrzały się po tym wnętrzu, które przez cztery dni zastępowało im dom.

- Pojutrze pani będzie w Warszawie, a ja w Rzymie - głos Erminii Galdi był równie smutny jak ten ostatni pożegnalny wieczór. - Na dwóch prawie krańcach Europy. I zobaczy pani

Witolda... I powie mu pani... Napisałam do niego tyle listów... A od niego dostałam dwanaście. Już podczas wojny, niekiedy przesłane przez jakąś okazję. To najpiękniejsze listy miłosne, jakie kiedykolwiek napisano. Powiedział w nich wszystko to, czego nie zdążył powiedzieć mi tu, w Grenoble. Wszystko. Cała jego miłość w tych kartkach... Odczytywałam je codziennie, przez całą wojnę. Ale od roku nie wyjmuję ich z szuflady. Po co? I każdy kończył po włosku: "sempre tuo, sempre per sempre tuo" - zawsze twój, zawsze na zawsze twój. Wiem, należał do mnie, był moją własnością, tak samo jak ojciec i mama. I dlatego takie to dla mnie straszne... To tak samo, jak gdyby rodzice odepchnęli mnie od siebie. "Idź, nie chcemy cię widzieć, nic nas nie obchodzisz". Przecież od tego można oszaleć! Witold wydawał mi się zawsze skałą, której nic nie ruszy z miejsca. Przez całą wojnę żyłam się z tą myślą, że on jest mój... Byłam go zbyt pewna. Ja raczej mogłabym się zmienić, ale on? I nagle przestałam go obchodzić... I jest jakaś pani Lidia Bielawska... Co to wszystko znaczy?

Portier zabrał walizki. Taksówka czekała już przed bramą. Grenoble żegnało gości rześcicie oświetlonymi ulicami, błyskami żarówek na tarasie Bastylli, rzeką, której woda zdawała się płonąć, oprószonymi śniegiem szczytami łańcucha Belladonny. Głowa Nerona była już tylko ciemniejszą plamą na ciemniejącym szybko niebie.

Miasto jak gdyby odchodziło coraz dalej i dalej w miarę, jak zbliżały się do dworca. Dawne rzymskie Gratianopolis usuwało się z drogi odjeżdżających, zapadało się gdzieś w przeszłość, odlatywało z ich życia, jak ów wagonik kolejki linowej, unoszony ku alpejskim wysokościami.

- Po moim odjeździe musi pani czekać jeszcze godzinę na swój pociąg - głos Polki brzmiał głucho, wydawał się echem jej dawnego głosu.

- Tak. Posiedzę w kawiarni. Dlaczego nie zgodziła się pani na kupno sypialnego miejsca? Byłabym spokojniejsza...

- Moje dziecko, mam przecież opłacony bilet. Po cóż więc dodatkowe koszty? To zresztą nie ma żadnego znaczenia, i tak nie spałabym...

- Czy pani sądzi, że ja będę spała?

- Mam nadzieję - pani Konstancja spojrzała surowo na ściągniętą twarz młodej Włoszki. Jakże ślicznie wyglądała w tej ostatniej chwili pożegnania! Nosiła białą dwuczęściową suknię w granatowe grochy.

- Przebiorę się w wagonie - Erminia Galdi wskazała na swój tak bardzo niepodróżny strój. - Ale teraz jest zbyt ciepło... poza tym chciałam, żeby mnie pani zobaczyła w bieli. Witold mówił, że to mój kolor. Proszę nie zapomnieć powiedzieć mu, że dotąd mam tę białą bluzkę, którą tak lubił...

Pani Konstancja milcząc kiwa głową. Tak, rozumie przecież. To bardzo ważne, ta biała bluzka. Wszystko jest teraz ważne, najdrobniejszy szczegół tamtego życia.

- Dworzec dziś taki sam jak wtedy - Erminia Galdi drży, jak gdyby nagle zrobiło jej się zimno w tej lekkiej białej sukni. - O, nawet ta sama reklama aperitiwu Dubonneta wisi przy tamtym oknie. Odprowadzałam go. Tutaj pożegnaliśmy się. Na tym peronie. On też odjeżdżał do Paryża. Nie mogliśmy się rozstać. W ostatniej chwili wskoczył do wagonu, gdy konduktor zamykał drzwiczki. Pociągi były przepełnione. Wojna wisiała już w powietrzu. Ludzie popychali nas, krzyczeli... "Wracam innym człowiekiem - powiedział. - Boże, jak bardzo cię kocham! Nie zapomnij o tym. Gdybym cię utracił, straciłbym wszystko. Nie miałbym po co żyć. Nie potrafiłbym zresztą żyć bez ciebie". I pocałował mnie, a tym pocałunkiem oddał mi chyba duszę. I pojechał. A ja zostałam. Sama na tym peronie. W tłumie obcych twarzy. Nie chciałam wracać do Willi Theresese. Chodziłam po ulicach i mówiłam do niego. Te wszystkie czułe głupstwa, jakie się mówi, gdy się kocha. A potem płakałam tak, jak nigdy jeszcze nie płakałam. Jacyś starsi państwo podeszli do mnie i zapytali, czy mogą mi w czymś pomóc. To

było nad Izerą. Obiad zjadłam w restauracji, nie pamiętam nawet gdzie. Nie mogłam pokazać się w pensjonacie, taka zapłakana... Grenoble utraciło cały swój urok, stało się nagle miastem smutku i żałoby. Nazajutrz zadepešowałam do rodziców, a w dwa dni potem byłam już w Rzymie.

Nie można dłużej rozmawiać. Zniecierpliwiony tragarz dawał przez okno rozpaczliwe znaki.

- Muszę już wsiadać - pani Konstancja ujęła ręce młodej przyjaciółki. - Zachowam panią w pamięci taką, jaką jest pani w tej chwili, to znaczy prześliczną. I powiem mu... wszystko mu powiem.

Z wysokości wagonu biała postać na peronie wydaje się dziwnie drobna. Gdy pociąg rusza, maleje, by po chwili zlać się z migotliwą szarością tła.

Pani Konstancja nie może oderwać się od okna w korytarzu. W dole - splątane pęki torów. Tylko motorniczy potrafi wybrać te właściwe, wiodące do celu. Jakieś zabudowania. Czarne teraz bukiety drzew. Grenoble, to duża stacja, ośrodek turystyczny i sportowy. A także naukowy. I latem i zimą ruch ogromny. Tłumy przybyszów z całego niemal świata.

Stukot kół na zwrotnicach. Pociąg powoli nabiera rozpędu. Niedługo Lyon. A rankiem Paryż. Oby tylko zdążyć na warszawski pociąg. Nie ma obawy! Zdąży na pewno. We Francji pociągi muszą przyjeżdżać i odjeżdżać regularnie. Tu przecież wszystko jest, jak było.

Mijają podmiejskie ogrody. Noc na tyle widna, że można dostrzec zarysy gór. Pozostawiają w tyle pola i winnice. Kwitnące krzewy uderzają falą zapachów górskiej łąki.

Dość! Dość tego czaru, który trzymał ją w mocy przez te dni. Wracać trzeba do życia, do domu. Tam czeka Władek.

Pani Konstancja wyciera zalane łzami policzki i, zatraskując za sobą drzwi przedziału, odcina się od okna otwartego na powaby już nie jej świata.

Witold

Ulica Jabłońska bardziej przypominała wiejską drogę niż miejską arterię. Niebrukowana, pobrużdżona głębokimi koleinami, zamiast chodników miała po obu stronach pasy twardo ubitej ziemi. Stały tu małe domki z drewna lub cegły wśród ogródków, których bujna i kwitnąca zieloność maskowała brzydotę, jaka pleniła się w tym miejscu o innej porze roku.

Domek pod numerem trzecim właściwie nie różnił się od sąsiadów. Był może tylko starszy i bardziej zmurzały. Tam, gdzie poodpadała dachówka, załatano dziury smolistą papą, a odrapane ściany ochlapano byle jak wapnem.

- To istna rudera - wskazał głową Władek, który poprzedniego dnia zwiedził już te okolice, a dziś towarzyszył matce w wycieczce do odległego zakątka Pragi.

- Tak, rzeczywiście, niewesoło tu. Biedny Witold!

- Latem ten ogródek niczego, ale zimą...

- Chodźmy. Trzeba nareszcie dowiedzieć się. Już pięć dni minęło od mego powrotu.

Obiecałam przecież Erminii...

Tak, minęło już pięć dni, a dotąd nie może otrząsnąć się. Trudno jakoś wrócić do dawnego życia, tak ją ta podróż wytrąciła z równowagi. Jedyna pociecha to spotkanie z synem, który oczekiwał na dworcu. Dopiero wówczas, gdy zobaczyła jego uśmiechniętą twarz, odczuła radość z powrotu do domu.

Władek nie mógł się doczekać wrażeń matki. Nie znalazłaby wdzięczniejszego słuchacza. Raz jeszcze przeżyła wszystko od początku. Grenoble i Erminia Galdi. Bo Erminia Galdi utożsamiała się w jakiś niewytłumaczony sposób z alpejską stolicą.



Przewodnik po mieście, karty z widokami gór i ulic - to były prawdziwe pamiątki. Za to teczkę z notatkami ze zjazdu pediatrów odłożyła obojętnie na bok. Ostatecznie nie było tam nic nadzwyczajnego, żadnych rewelacji. Trochę może wiadomości o nowych lekach reklamowanych kolorowymi ulotkami. Przywiozła spory kartonik próbek z opisem działania, ponadto wiele biuletynów informujących o najnowszych metodach leczenia chorób dziecięcego wieku, pięknie powielone referaty, wygłoszone przez delegatów z całego niemal świata w dwóch przyjętych na zjeździe językach: francuskim i angielskim.

Pani Konstancja z właściwą sobie sumiennością nazbierała sporo drukowanego materiału, którym miała podzielić się z kolegami w Warszawskim Towarzystwie Lekarskim, przekazując je następnie bibliotece.

Tak, to było oficjalne oblicze tych czterech dni, fasada, ukrywająca zupełnie inną treść, a z medycyną nic jej nie łączyło.

Zbita z desek furtka skrzypieniem oznajmiła gości. Nikt jednak nie wyszedł na próg. Nawet pies nie przywitał obcych szczekaniem. Wydawało się, że nie ma tu żywej duszy, nikogo, kto zainteresowałby się przybyszami.

Zarośnięta zielskiem ścieżka, okrążając dom, doprowadziła ich do oszklonej werandy.

Przez kolorowe szybki, na półce obiegającej dokoła wewnątrz tej zaimprovizowanej letniej jadalni, widać było jakieś garnki i naczynia.

Pani Konstancja zapukała w drzwi, z których dawno już zesza farba, ukazując wyschnięte i spękane drewno. Klamka jednak i zamek były nowe.

Stukanie i poruszanie klamką nie dały żadnego rezultatu.

- Nie ma nikogo - Władek był wyraźnie zawiedziony. - Myślałem, że o tej porze zastaniemy ich w domu.

- Może wyjechali? Zapytajmy sąsiadów. - Pani Konstancja spojrzała z nadzieją na pobliską posesję, bardziej schludną z dobrze utrzymanym ogrodem.

- Byłem tam wczoraj. - Chłopiec wzruszył ramionami. - Stary mruk nieskory do rozmowy. Nic z niego nie wydobyłem.

- Ktoś przecież musi wiedzieć.

- Nikt nie chce gadać. Boją się, czy co?

- Trzeba jednak spróbować.

Wychodząc ujrzeli starą kobietę, zmierzającą w ich stronę. Niosła dwie pękate torby, uginając się nieledwie pod ciężarem. Z jednej sterczały bochenki chleba, w drugiej były kartofle.

Poczekali chwilę, chcąc zagadnąć nieznaną, ta jednak zdecydowanym krokiem podeszła do furtki, obrzucając gości nieprzychylnym spojrzeniem.

- Czego tu? - głos był równie niemiły, jak forma zapytania i mina nowoprzybyłej.

- Do pana Witolda Bielawskiego - odpowiedziała pani Konstancja pewnie. - Wiemy, że tu mieszka.

- Nie ma w domu - burknęła kobieta, zatraskując za sobą furtkę.

- Chwileczkę. - pani Konstancja wyciągnęła rękę, jak gdyby pragnęła zatrzymać jedyną istotę ludzką na tym bezludziu.

- Nie mam czasu. - Mimo tego nieledwie wrogiego tonu, kobieta przystanęła, obracając się bokiem do przybyszów.

- Proszę pani, muszę koniecznie widzieć się z panem Bielawskim. Kiedy mogę przyjść, żeby go zastać?

- Nie wiem.

- A gdzie mogłabym się dowiedzieć?
- Nie ma co się dowiadywać.
- O której pan Bielawski bywa w domu?
- Powiedziałam, że nie wiem. Niech pani wraca, skąd pani przyszła.
- To kto może wiedzieć?
- Czego pani od nas chce?
- Od pani niczego. Mam interes do pana Witolda Bielawskiego. Czy on tu jest pod strażą?
- Pod jaką strażą? - głos kobiety stał się piskliwy.
- Nie wiem. W każdym razie broni pani dostępu do niego, jak gdyby nie wolno mu było z nikim się kontaktować.
- Co też pani...? - kobieta postawiła torby i zwróciła się twarzą do gości. - Mam prawo nie wpuszczać byle kogo. To mój dom - krzyknęła. - Nam tu obcy niepotrzebni. Jak pan zechce, sam panią znajdzie.
- Pan Bielawski mnie nie zna - pani Konstancja dawała uspokajające znaki synowi.
- Jeżeli nie zna, to nie ma czego nas tu nachodzić. Łażą tu takie różne...
- Bardzo pani niegrzeczna - przerwała pani Konstancja. - Niestety, muszę widzieć się z panem Bielawskim. Przyjdę jutro wieczorem.
- Kobieta wyrzuciła jakieś niepocholebne dla gości epitety, po czym coś do siebie mrużąc poszła ku werandzie.
- Postyszeli jak otwiera drzwi i zamyka je za sobą na klucz.
- Ale jęzda - wzdrygnął się Władek. - Ledwie wytrzymałem. Jak można tolerować takie odzywki?
- Uspokój się. Słyszałeś, powiedziała, że to jej dom. W takim razie nie jest służącą. Mieszkają u niej.
- Stara wiedźma!
- Może po prostu nieszczęśliwa kobieta.
- We wszystkich widzisz biednych i nieszczęśliwych.
- Bo tak jest. Zwłaszcza po tej wojnie. Słuchaj, straciłeś przede mną mnóstwo czasu. Jutro przyjdę już sama. Znam drogę.
- Nigdy w życiu! Chcesz, żeby ci sprzedano cegłę?
- Nie przesadzaj. Praga ocalała, mieszka tu teraz pół Warszawy. Nie każdemu udało się, tak jak nam, znaleźć kąt w Śródmieściu. Wracajmy!
- Wracali zawiedzeni, zmęczeni beznadziejnym nieledwie oczekiwaniem na przepiętne tramwaje.
- Idzie jak z kamienia - stwierdził z goryczą Władek, gdy już przejechali most Poniatowskiego, jedyny, jaki udało się w szybkim tempie doprowadzić do użytku po wojennym zniszczeniu. - Dobrze, że choć zastaliśmy tę straszną babę. Mamy przynajmniej pewność, że on tam mieszka.
- Erminia Galdi przez cztery lata usiłowała bezskutecznie nawiązać z nim kontakt, a ty chcesz już wszystko wiedzieć od razu. Musimy być cierpliwi. Mówiłam ci, że to niezwykła sprawa. Jest tu jakaś tajemnica, coś, czego chwilowo nie rozumiemy.
- Zaczynam wątpić, czy zrozumiemy kiedykolwiek. Przecież jeżeli się ożenił, wystarczy napisać: "Jestem żonaty, odczep się ode mnie". Nie? To chyba proste.
- Zbyt proste. Mężczyźni, niestety, wolą bardziej kręte drogi, a w podobnych przypadkach brak im najwycyżajniej odwagi.
- Odwagi? Do czego? Ona przecież daleko.

- Może mu wstyd? Listy, jakie od niego dostała, podpisał "zawsze, na zawsze twój". Jakby teraz wyglądał? Wieczna miłość, która nie przetrwała kilku lat? I do tego lat wojny.

- A jeżeli nic z niego nie wydobędziemy?

- Zaręczyłam za ciebie - przypomniała pani Konstancja. - Wystawiłam twoje detektywistyczne zdolności. Zrobiłam z ciebie nieledwie Sherlocka Holmesa. A ty już rezygnujesz.

- Nie rezygnuję - jęknął. - Tylko...

- Pamiętaj, że ona czeka, a my jesteśmy jej ostatnią nadzieją.

Tak, od powrotu do Warszawy pani Konstancja nie potrafiła, a może nie chciała uwolnić się od jakże realnej obecności młodej Włoszki.

Cztery dni! Tylko cztery dni! A zdawało się, że spędziła w Grenoble długie tygodnie.

Grenoble. Głowa Nerona i łańcuch Belladonny. Izera i kolejka linowa do Bastylli. Ulica Vieux Temple i samotny figowiec pośrodku dziedzińca.

Boże! Czy to możliwe, żeby to wszystko istniało naprawdę? Żeby gdzieś trwało zawsze takie samo, jak na obrazie? I Erminia. Erminia Galdi. Młoda lekarka z rzymskiego szpitala. Czy to wszystko możliwe?

Gdy nazajutrz zjawili się na Jabłońskiej, słońce już zaszło i tylko zachodnia strona nieba przeświecała czerwono przez gęste listowie ogródkowych drzew.

- Dobrze, że teraz długie dni - zauważył Władek, gdy weszli w uliczkę. - Wyobrazasz sobie wyprawę w te okolice gdzieś w końcu listopada?

- Bój się Boga, przecież tu mieszkają ludzie! - zirytowała się pani Konstancja. - Codziennie jeżdżą do pracy, może na drugi koniec Warszawy, a potem wracają do domu. Czasem późnym wieczorem, i żyją.

Uliczka była znowu cicha i jak gdyby wyludniona, choć za sztachetami ogródków, za ścianami mniej lub bardziej odrapanych domków czuło się życie. Raz nawet kot przebiegł im drogę, ginąc w zaroślach, tak go przeraziło spotkanie z ludźmi. Z jednego komina wypływał dym i stał nieruchomym, ciemno-szarym słupem na tle jasnego jeszcze nieba.

Okna domku pod numerem trzecim były zamknięte. W szybach odbijały się rosnące blisko bzy, nadając im koloryt morskiej głębinie.

Zatrzymali się chwilę przy furtce, niepewni przyjęcia, ale pani Konstancja nie mogła się wahać.

Zaskoczyły ich szeroko otwarte drzwi werandy. Stół był nakryty jak do kolacji, na dwie osoby.

Na pukanie z głębi domu wyszła ta sama kobieta. Miała na sobie czysty zielony fartuch, obszyty wzorzystym szlakiem, szczelnie okrywający spódnicę.

- Znowu pani - powiedziała niechętnie zamiast przywitania.

- Czy pan Bielawski jest w domu? - pani Konstancja zignorowała niegrzeczną uwagę.

- Nie ma pana Bielawskiego - kobieta podniosła głos. Robiła wrażenie, że pragnie ostrzec mieszkańców przed najściem niepożądanych gości.

- Może w takim razie dowiem się, gdzie pan Bielawski pracuje.

- Pracuje, pracuje - burknęła baba i spojrzała za siebie, bo w tej chwili na werandę weszła młoda kobieta, której wygląd dziwnie nie pasował do tego domu, tej werandy, zachwaszczonego ogródka i niemiłej gospodyni.

- O co chodzi, Leonko? - głos miała niski, o przyjemnym brzmieniu. - Czym mogę państwu służyć? - zwróciła się po kolei do kobiety w zielonym fartuchu, a następnie do przybyszów.

- Chciałabym się widzieć z panem Witoldem Bielawskim - pani Konstancja postąpiła krok naprzód.

- Niestety, męża nie ma w domu. Może coś powtórzyć? Chętnie...
- Dziękuję, ale to sprawa osobista. Nazywam się Jankowska i mam interes do pana Bielawskiego.
- Bielawska - przedstawiła się gościowi, a jej twarz nabrała dziwnie skupionego wyrazu.
- Mój syn - dokończyła prezentacji pani Konstancja, wskazując Władka. - Kiedy zastałabym męża pani?
- Trudno mi powiedzieć... - oczy pani Bielawskiej czujne i niespokojne przenosiły się z twarzy pani Konstancji na twarz chłopca. - Pani naturalnie zna mego męża?
- O nie, nigdy go nie widziałam.
- Czy mogłabym więc dowiedzieć się...
- Mam przekazać panu Bielawskiemu pozdrowienia od wspólnej znajomej.
- Znajomej? - pani Bielawska wysoko podniosła brwi, ładnie narysowane ołówkiem z pewnością nie polskiego pochodzenia.
- Jestem lekarzem i byłam ostatnio na zjeździe pediatrów w Grenoble. Tam spotkałam tę panią...
- W Grenoble? - powtórzyła pani Bielawska, jak gdyby szukając w pamięci, kogo znałaby w tym mieście.
- Jeżeli zechce pani podać mi adres instytucji, gdzie pracuje pani mąż, nie będę państwa niepokoić w domu.
- Pani Bielawska chyba dopiero teraz zorientowała się, że nie zaprosiła gości do środka, ani nie wskazała im nawet krzesel.
- Proszę, państwo pozwolą - brwi miała ściągnięte, a spuszczone oczy unikały wzroku przybyszów.
- Dziękuję. Nie chciałabym pani sprawiać kłopotu. Przyjdę kiedy indziej.
- Och nie, nie. Mój mąż jest chory. Nie należy go niepokoić. Przeżycia wojenne... pani rozumie... - podniosła na panią Konstancję piękne szafirowe oczy w bardzo ciemnej oprawie, których natarczywe spojrzenie mówiło wyraźnie: "Idź i więcej nie wracaj!"
- Obiecałam mojej znajomej...
- Czy to przypadkiem nie jest Włoszka? - przerwała pani Bielawska, opierając się o drzwi werandy.
- Tak.
- Będąc w Rzymie dowiedziałam się w ambasadzie, że pewna Włoszka interesuje się moim mężem. Mówiła o nim, jako o swoim narzeczonym. Moja ciekawość była więc usprawiedliwiona, prawda? - uśmiechnęła się z przymusem. - Każda kobieta chce wiedzieć, czy mąż nie miał przed ślubem jakichś... powiedzmy bliższych związków.
- W danym przypadku nie chodzi o żadne "bliższe związki", jak je pani nazywa. - Pani Konstancja bez mrugnięcia wytrzymała spojrzenie szafirowych oczu. - Proszę być spokojna. Z mojej strony nic pani nie grozi. Chciałabym tylko wiedzieć, gdzie i kiedy mogłabym zobaczyć pana Bielawskiego.
- Mój mąż jest chory... mówiłam już... wymaga specjalnych względów... - usta pani Bielawskiej drżały. Wyglądała, jak gdyby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.
- Bardzo mi przykro - pani Konstancja wyszła na zachwaszczoną ścieżkę. - Nie zakłócę pani spokoju. Przepraszam.
- Chwileczkę. Muszę wiedzieć...
- Co pani chce wiedzieć?
- Po co pani przyszła.

- Niepotrzebnie nadaje pani mojej wizycie tak dramatyczny charakter. - Pani Konstancja odzyskała już zwykłą swobodę. - Chcę po prostu zobaczyć się z panem Bielawskim, nic więcej.

- To jakaś pomyłka... Zaręczam, że to pomyłka. Ta pani bierze mojego męża za kogoś innego. Nasze nazwisko jest dosyć popularne.

- Czego się pani boi?

- Powiedziałałam już... Był chory, bardzo chory... Stan jego budził obawy. - Zaciśnięte ręce wykonywały jakieś nieokreślone ruchy, a przyspieszony oddech wskazywał na wielkie wzburzenie.

W pani Konstancji lekarz usunął na bok rzecznika spraw Erminii Galdi.

- Żałuję, że niechcący doprowadziłam panią do takiego zdenerwowania. Czy są w domu jakieś środki uspokajające? - zwróciła się do kobiety w zielonym fartuchu, która przez cały czas nie opuściła werandy. - Choćby waleriana.

- Jest - mruknęła gospodyni, a potem dodała niechętnie. - Niech już pani idzie. Same tylko zmartwienia od obcych.

Władek pociągnął matkę ku furtce.

- Chodźmy stąd - szepnął. - Ona jest naprawdę bardzo nieszczęśliwa.

Przez następny tydzień o niczym innym nie mówili.

Po ostatniej wizycie na Jabłońskiej pani Konstancja znalazła się jak gdyby w potrzasku, doznając głębokiego wewnętrznego rozdarcia.

Jak właściwie miała teraz postąpić? Obok bowiem współczucia i sympatii do Erminii Galdi popartych wiarą w jej słowa, pojawiło się podobne współczucie wywołane szczerym niewątpliwie bólem, jakiego nie zdołała ukryć Lidia Bielawska, a więc kobieta broniąca swego szczęścia.

A między nimi on, Witold, obcy jakiś i obojętny na rozgrywający się obok niego dramat. A może po prostu nieświadomy tego, co się działo. Ale jak mógł nie wiedzieć? W takim razie co powinna uczynić ona, która przyrzekła rozwiązanie zagadki? I w jaki sposób pomóc jednej, nie krzywdząc drugiej strony?

Jeżeli chodzi o Erminię, młodej Włoszce nie pozostawało nic innego, jak poddać się dantejskiemu "porzucenie wszelką nadzieję". I tak przecież Witold był dla niej stracony. Chory i bezwolny, nie pragnął widać odnowienia choćby zwykłej tylko znajomości.

A może nie jest winien? Może ukryto przed nim prawdę? Do chorego łatwo nie dopuścić wiadomości z zewnątrz, łatwo przejąć list. Obie strażniczki, żona i gospodyni, czuwają, by nic nie zakłóciło jego apatycznej bierności.

Gdzie go w takim razie trzymają? Czy mieszka w domu na Jabłońskiej? Jeżeli tak, to dlaczego Władek nie zobaczył nawet jego cienia? Poza tym, czy na pewno jest żonaty? Nietrudno przedstawić się cudzym nazwiskiem, jakież gość będzie sprawdzał dokumenty?

Władek jednak, z bezkrytycznym entuzjazmem przysługującym wyłącznie młodości, opowiedział się za panią Bielawską.

- Wiesz co - oświadczył przy kolacji. - Historyjka Erminii Galdi wydaje mi się coraz bardziej wydumana.

- Władku, jak możesz! - pani Konstancja odłożyła widelec.

- Takie mam wrażenie. Jeżeli Witold Bielawski ożenił się i dlatego nie odpisuje na jej listy, powinna mieć choć trochę ambicji i zostawić go w spokoju.

- Czy jesteś pewien, że jest żonaty?

- Więc wierzysz tej Włoszce?

- A ty nie?

- Po wizycie u pani Bielawskiej nie jestem już taki pewny...

- Widzę, że pani Lidia zrobiła na tobie wrażenie - skrzywiła się matka. - Przyznam, że i mnie zaskoczyła jej uroda, elegancja...

- Prawda? - ucieszył się Władek. - Szałowa babka, a ubrana! Żadna z moich koleżanek nie ma podobnych ciuchów! Pewnie zagraniczne, co?

- Mówiłam ci przecież, że jej siostra pracuje w naszej ambasadzie w Rzymie. I ona sama też tam kiedyś była. Z pewnością siostra ją ubiera.

- To od razu widać - stwierdził ze znawstwem Władek.

Tak, pani Lidia Bielawska mogła rywalizować z Erminią Galdi. A nawet była może od niej odrobinę ładniejsza. Miała więcej kobiecości, gdyż Erminia za bardzo przypominała niedoroślą dziewczynkę, i też zadbana, o rękach, które nie znały kuchennej roboty, a zamiast proszków do czyszczenia czy do prania, używały kremów do pielęgnacji skóry. Paznokcie też pokrywała czerwona emalia, a ich kształt odpowiadał wiecznemu ideałowi piękna.

Lidia Bielawska nie była byle kim, ot, jakąś tam żoną bez znaczenia, na co dzień i do garnków, która zazwyczaj pod względem urody i atrakcyjności nie umywała się nawet do tej "drugiej".

To niebezpieczna rywalka i jedynie taka kobieta jak ona mogła usunąć obraz Erminii z pamięci Witolda. Czy jej się to udało?

O danej w Grenoble obietnicy przypomniał list z Rzymu, który nadszedł wkrótce wraz z piękną fotografią: "By pani o mnie nie zapomiała" - tak głosiła dedykacja na odwrocie.

Władek zagarnął podobiznę młodej Włoszki, kupił ramkę i ustawił na stoliku.

- Niech się schowają nasze dziewczyny - stwierdził ponuro - a i pani Bielawska...

- Cóż za zmienność gustów! - zażartowała matka. - Sam wiesz, że mamy moc dziewcząt o wiele piękniejszych od Erminii, tylko biedactwa nie są odpowiednio ubrane. Pamiętaj, cośmy przeszli. A poza tym "nie suknia zdobi człowieka"...

- Ja tam wolę na dziewczynie ładne ciuchy - mruknął Władek.

Choć lipiec był w pełni, pogoda w Warszawie nie dopisywała, za to w Rzymie kwitło prawdziwie upalne lato. Opowiadały o tym listy Erminii pisane piękną francuszczyzną. Władek umiał je chyba na pamięć.

Dziewczyna przysłała, jak to obiecała w Grenoble, wiele fotografii z ostatnich przedwojennych wakacji. Władek był nią coraz bardziej oczarowany.

Z kilku grupowych zdjęć, na których znajdował się i Witold, panna Galdi kazała zrobić powiększenia, mogli więc dobrze przyjrzeć się młodemu człowiekowi. Przez dziesięć lat, nawet lat wojny, nie zmienił się przecież na tyle, by widząc nie rozpoznali go.

Niestety, nic nie wskazywało na to, żeby taka "wizja" doszła kiedykolwiek do skutku.

Władek parę razy odbywał podróż na Jabłońską o różnych porach dnia, zaczynał się wieczorem za krzakami, czekając aż niewidzialny dotąd pan domu ukaże się w ogródku czy na werandzie. Wszystkie jednak usiłowania młodego detektywa spełzyły na niczym.

Pani Konstancja mogła pomagać synowi jedynie radą. W ośrodku brakowało lekarzy - kilka koleżanek było na urlopie - zastępstwa, dyżury w ambulatorium, domowe wizyty zapełniały dzień, absorbowały myśli, nie pozostawiając czasu na czynne włączenie się w sprawy Erminii. A właściwie, czy było to jeszcze potrzebne?

Po rozmowie z Lidią Bielawską pani Konstancja straciła chęć do jakiegokolwiek działania. Starła się nawet jak najrzadziej wspominać pobyt w Grenoble. Kartki z Rzymu nie pozwalały jednak zapomnieć. Pewnego dnia Władek na nowo rozbudził jej ciekawość przytępioną kłopotami powszedniej codzienności.

- Dowiedziałem się, gdzie pracuje. - Trzasnął niechcący drzwiami kuchni.

- Kto?

- Lidia Bielawska! Widziałem ją dziś w Emhazecie.

- Byłeś w Ministerstwie? Po co?

- Doktor Tański nazaczył mi... On tam pracuje, a u nas prowadzi zajęcia z transportu międzynarodowego. Jedzie teraz do Anglii i ma coś załatwić dla naszej grupy.

- No i co? Poznała ciebie?

- Naturalnie. Sama mnie zaczepiła.

- Opowiedz.

- Doktora Tańskiego nie było akurat w gabinecie. Kazano mi czekać. Chodzę więc po korytarzu, aż tu widzę, idzie pani Lidia Bielawska. W jakiejś fantastycznej kreacji, coś z żółtym i beżowym. Makijaż z paryskiego salonu piękności. Nie śmieję się. Naprawdę tak wyglądała.

- Ależ wierzę - pani Konstancja odcedziła makaron. - Zaczekaj. Zabieram zupę. Będziesz opowiadał przy stole.

Należało jak najszybciej udostępnić kuchnię innym "użytkownikom", zajmującym to samo mieszkanie. Wspólna kuchnia to była jeszcze jedna udręka powojennej rzeczywistości. Pani Konstancji zależało na jakich takich stosunkach z sąsiadami, a to nie przychodziło łatwo. Przykry charakter pani Kamińskiej, brak podstawowych zasad dobrego wychowania u małżonków Dorszyckich, bezczelna pewność siebie młodszej córki pani Kotkowej, potrafiły zamienić tak zwane "domowe zacisze" w istne piekło. Lawirowanie wśród tych tak silnie zaznaczonych indywidualności, wysiłki, by nie urazić żadnej ze stron, przypominały czasami taniec na linie.

- No mów, jak było? - zasiedli wreszcie przy swoim własnym stole.

- Zwyczajnie. Gdy przechodziła, ukloniłem się. A ona przystanęła i wyciągnęła do mnie rękę. "Dzień dobry. Co pan tu robi?" Tak zapytała. Więc mówię, dlaczego przyszedłem i że czekam na doktora Tańskiego. Na to ona, że doktor Tański nieprędko przyjdzie, bo jest teraz na konferencji u dyrektora departamentu. Widziała. Wróci najwcześniej za godzinę. Podziękowałem i skierowałem się do wyjścia. A ona szła ze mną. "Czy pan też był w Grenoble?" zapytała w pewnej chwili, gdy znajdowaliśmy się już przy schodach. "Nie - mówię - moja matka tam była. "Więc pan nie zna tej... Włoszki?" "Nie znam, ale mama ma jej fotografię". "Ładna?" "Pani ładniejsza". Tak powiedziałem. Czy dobrze?

- Myślę, że dobrze. A co ona na to?

- Uśmiechnęła się i położyła mi rękę na ramieniu. A potem zapytała, jak mi na imię. Było mi jakoś głupio. A ona patrzy na mnie i mówi: "Bardzo pan miły, panie Władku. Szczęśliwa pana matka. Ja też miałam synka..." Czułem się coraz bardziej głupio, przeprosiłem, że ją zatrzymuję i jak mogłem najszybciej pokusztykałem ze schodów.

- Miała synka - zastanowiła się pani Konstancja. - To znaczy, że dziecko nie żyje. Mój Boże! Same zagadki! Czego się jeszcze dowiemy?

- Mamo - Władek odstawił talerz. - Od paru dni obmyślam pewien plan...

- Dobrze, ale zostaw to na później. Teraz masz wakacje i powinieneś wyjechać. Przecież załatwiłeś sobie miejsce w Czerniawie. Jurek mówi, że tam jest śliczny dom dla studentów...

- Jakoś nie mam ochoty. W sierpniu pojedziemy nad morze.

- Po co masz sterczeć w Warszawie?

- Wolałbym zostać. Zamiast mnie do Czerniawy pojechałby Andrzej.

- Jeżeli tak ci zależy... No, a jakiż to ten plan?

- Właśnie - ożywił się Władek. - Przyszło mi do głowy, że ta jędzka z ulicy Jabłońskiej, u której mieszkają, mogłaby pomóc...

- Pewnie, że by mogła. Ale czy zechce?
- Czy nie udałoby się jej ugłaskać? W każdym razie warto chyba spróbować.
- Dla mnie była bardzo niegrzeczna, ale z tobą może będzie inaczej.
- Pojadę tam rano, gdy ich nie ma w domu. Postaram się z nią pogadać.
- Proszę cię, tylko bądź ostrożny.
- Ostrożny? - zaśmiał się Władek.
- "To może być niebezpieczne" - jakże wyraźnie posłyszła nagle głos Erminii Galdi.

Po śniadaniu wyruszał na Pragę. By nie budzić niepotrzebnych podejrzeń, raz tylko przechodził interesującą go ulicą, krążąc następnie po okolicznych drogach, dopóki nie odzywał się ból w chorej nodze. Przystawał wówczas koło straganów zaimprovizowanego targowiska, gdzie kobiety z całej dzielnicy zaopatrywały się w jarzyny i owoce, zaglądał do jedyne go sklepu spożywczego, jaki obsługiwał liczną klientelę, przypatrywał się zabawom dzieci, których całe gromady hasały po niezabudowanych dotąd terenach. Starał się nie zwracać na siebie uwagi i chyba mu się to udawało, tak wszyscy byli zajęci, spiesząc to do pracy, to po zakupy, zaaferowani czekającą ich żmudną drogą na drugi brzeg Wisły, czyli "do Warszawy".

- Wyobrażam sobie - żartował w domu - że pracuję w detektywistycznej agencji i szef zlecił mi pewne zadanie. Muszę nawiązać kontakt ze starą kobietą, mieszkającą na ulicy Jabłońskiej i wydobyć z niej potrzebne dla naszej klientki informacje.

- Bardzo dobrze - kiwała głową pani Konstancja. - Obawiam się tylko, że szef straci wkrótce cierpliwość i wymówi ci miejsce.

- Nie ma obawy! Gdzie znajdzie takiego drugiego "asa wywiadu"?

Chwilowo cała działalność "asa" sprowadzała się co prawda do zwiedzania Pragi, szczególnie jednego jej krańca, ale pewnego słonecznego poniedziałku zauważył właścicielkę domku z ulicy Jabłońskiej, jak wracała z targowiska. Niosła jak zwykle dwie torby, jedną pełną warzyw, drugą z pieczywem, z której między chlebem i bułkami sterczały szyjki dwóch butelek mleka. Była widać bardzo zmęczona, bo szła wolno, chwilami przystając, pochylona do przodu, z wyrazem beznadziejnego smutku w wyblakłych, może od łez, oczach.

Zobaczywszy z daleka jej przygarbioną postać, Władek poczuł litość, a gdy się przybliżyła, twarz jej wydała mu się mniej odpychająca i nie tak niesympatyczna.

- Dzień dobry pani - pochylił się lekko, a ona przystanęła zdziwiona, nie poznawszy go w pierwszej chwili.

- A, to pan - powiedziała jak zawsze mruklwie. - A gdzie to mama?

- Jestem sam - Władek nie zraził się niezbyt zachęcającym początkiem rozmowy. - Byłem u kolegi, mieszka w tamtej stronie - machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. - Wracam właśnie do domu.

- To pan nie pracuje? - dopytywała się podejrzliwie.

- Mam teraz wakacje. Jestem jeszcze studentem.

- Studentem - powtórzyła, a usta jej zaczęły się poruszać szybko, jak gdyby kończyła zaczęte zdanie już tylko dla siebie.

- Te torby bardzo ciężkie - Władek wyciągnął rękę. - Niech pani da, pomogę.

Podniosła na niego oczy i nic nie mówiąc pozwoliła wziąć ciężar.

Szli w stronę Jabłońskiej w milczeniu. Kobieta patrzyła w ziemię, jak gdyby nie zauważając towarzysza drogi. Przed furtką stanęła.

- Dziękuję - powiedziała poważnie. - Oddał mi pan przysługę.

- Drobnostka. Do widzenia pani.



Odszedł szybko, by nie posądziła, że ją śledzi, że pragnie wkręcić się do środka, przestąpić próg tak zaciekle broniony przez dwie nieszczęśliwe kobiety.

Pani Konstancja uznała detektywistyczne zasługi syna w "nawiązaniu kontaktu" z gospodynią w interesie "klientki", zaleciła jednakże rozwagę i cierpliwość w dalszych poczynaniach.

Odtąd Władek miał już wyraźny cel w swych wędrówkach na krańce Pragi: wyglądał mianowicie okazji przysłużenia się staruszce, by pozyskać - jeśli to w ogóle było możliwe - jej przychylność, a następnie zaufanie.

I tak powoli Leonka zaczęła przyzwyczajać się do widoku szczupłej postaci kulawego chłopca, który utykając na jedną nogę wyłaniał się zza rogu, gdzie był sklep spożywczy i po przywitaniu brał od niej ciężkie torby i zanosił pod furtkę.

Szli przeważnie w milczeniu, wymieniając niekiedy uwagi o pogodzie, o mijanych ogródkach, o dzieciach kręcących się między straganami. Ich wesołe, krzykliwe głosy wypełniały podmiejską nieledwie ciszę, tak odległa wydawała się Warszawa, tramwaje i gwar uliczny.

Władek tłumaczył swoją obecność w tych stronach wspólną nauką u kolegi, z którym, mimo wakacji, szykowali się - rzekomo - do jakiegoś nieistniejącego w planie zajęć egzaminu.

W dniu, w którym chłopiec nie pojawił się przy sklepie, Leonka odczuła niepokój. A stało się tak dlatego, że miał przyjść hydraulik i ktoś musiał zostać w domu. Naturalnie jedynie Władek dysponował teraz wolnym przedpołudniem, na niego więc spadł obowiązek przypilnowania koniecznej naprawy.

Nazajutrz zobaczył ją z daleka, jak rozglądała się, wypatrując kogoś wśród tłoczącej się przy stoiskach ciżby.

Pewnie mnie szuka - pomyślał zadowolony i pospieszył na spotkanie.

- Co się stało? - przywitała go burkliwie jak dawniej. - Taka byłem niespokojna... - dodała ciszej.

- Przykro mi - Władek spojrzał serdecznie w wyblakłe oczy. - Trzeba było zostać w domu i przyjąć hydraulika. Wszyscy pracują i wychodzą rano, ja jeden mam teraz czas... Myślałem o pani. Te torby za ciężkie. Ktoś powinien pani pomagać.

- Nie ma nikogo - przerwała. - U mnie też wszyscy pracują.

Dzień był pochmurny, a gdy doszli do domku na Jabłońskiej, zaczęło padać.

- Niech pan wejdzie - zaprosiła, odwracając twarz, by nie widział łez, jakie nagle wypełniły jej oczy. - Zaraz może lunąć, a po drodze nie ma gdzie się skryć.

- Dziękuję, nie chcę pani przeszkadzać.

- Proszę wejść - nalegała otwierając szeroko furtkę i pierwsza podreptała ku werandzie.

Władek po raz drugi znalazł się w ogródku, który dziś wydał mu się jeszcze bardziej smutny i zaniedbany.

- Kiedyś tu było ładnie - wskazała zachwaszczony teren - odziedziczyłam ten dom po szwagrze, po śmierci siostry prowadziłam mu gospodarstwo, ale i on biedaczek... - westchnęła. - Teraz to ja nie mam już siły, na ziemi trzeba robić - dodała wyciągając klucz ze zniszczonej portmonetki.

Władek postawił torby na werandzie i zabierał się do wyjścia, gdy deszcz, który jak gdyby czekał aż znajdą się pod dachem, rozpadał się na dobre.

Kobieta zamknęła drzwi i wskazała gościowi krzesło.

- Niech pan siada. Napijemy się herbaty. Pan pewnie jadł śniadanie, prawda, ale ja nic jeszcze w ustach nie miałam. Gdy zniknęła w głębi domku, Władek rozejrzał się po werandzie.

O dach dudniła teraz ulewa, spływała strumieniami po kolorowych szybkach, przesłaniając świat. Zrobiło się niemal ciemno, gęste krzewy tuliły się do ścian, szukając jak gdyby osłony przed ciosami deszczu; z rynny buchnęła nagle woda, rozlewając się szeroko w olbrzymią kałużę.

Leonka wróciła z wiadrami i z dziurawym parasolem.

- Nałapię deszczówki - powiedziała podchodząc do wyjścia - będzie do mycia głowy dla mojej pani.

- Ja wyniosę - zerwał się Władek i chwycił wiadra.

- Zmoknie pan - usiłowała protestować, ale oczy jej wyrażały wdzięczność.

- Wezmę pani parasol - uśmiechnął się.

Po chwili do szumu ulewy dołączył się metaliczny stukot wody uderzającej o dno wiader.

- Nazbieram do kociołka, będzie i do prania - Leonka dreptała między kuchnią a werandą, rada z pomocnika.

Gdy napełniono kociołek i raz jeszcze wystawiono wiadra, zagotowała się woda. Gospodyni nakryła do stołu, przyniosła chleb, masło, dżem.

- Proszę spróbować - przysunęła gościowi salaterkę - zrobiłam z opadków, mamy smaczne papierówki.

- Pani tu wszystko sama robi - stwierdził Władek, zabierając się do jedzenia.

- A kto zrobiłby za mnie? - powiedziała to bez goryczy. Nas tu tylko troje.

- No, a... pan Bielawski? - zaryzykował.

Zakryła twarz rękami i po chwili usłyszał, że płacze.

- Co pani?

- To nic, to nic - uspokajała się powoli. - Ale tak smutno i ciężko... Pan też student, taki sam młody... jak oni... Moje chłopaki... Wituś i Danek... Dwóch ich było... Dwóch... Jednego już nie ma... Zabili... A drugi... - Znowu rozplakała się, kryjąc twarz w spracowanych rękach.

- Niech pani nie płacze... to przecież była wojna. I mój ojciec zginął w Powstaniu... dziadek w obozie... Mamy brata zamordowało gestapo... Nie mamy nikogo... Wszyscy zginęli... Nawet grobów...

- Wojna - powtórzyła machinalnie, jak gdyby nie rozumiejąc dobrze znaczenia tego straszego słowa. - Tak, wojna... - dodała pewniejszym głosem. - A mój Wituś... Co z nim zrobili?

W tej prostej skardze zabrzmiał ból tak przejmujący, że Władek z chęcią odgryzłby sobie język.

Płacz Leonki przeszedł w ciche pochlipywanie. Wreszcie i to ustało. Widać było, że co dzień nie mogła sobie pozwalać na podobne słabości, musiała być opanowana, twarda i nieczuła na wspomnienia, żyć chwilą obecną, wprzęgnięta w kierat, obracający się z rozpaczliwą monotonią ciężkiej pracy, trudu, który o wiele już przerastał jej siły.

- Niech pan na mnie nie zważa - kobieta głośno wytarła nos. - Ot, coś takiego naszło ni stąd ni zowąd. Ale to pana wina - uśmiechnęła się z dziwną u niej cichą pokorą. - Podobny pan do nich... do moich chłopaków... Też taki wysoki i zgrabny... A ta noga? - zatrzymała się.

- Z Powstania - dokończył Władek.

- Z Powstania - powtórzyła. - Ale teraz pan student... Oni też studiowali... na Politechnice... - zapatrzyła się w zlewane deszczem szyby, szukając może za nimi twarzy, których nigdy już nie miała zobaczyć.

Władek wstrzymał oddech, tak lekka, tak zwiewna była wizja owych osób i dni bezpowrotnie utraconych, minionych, przeszłych.

- Przyjechałam do siostry ze wsi. - Głos mówiącej przypominał jakieś tragiczne w swej prostocie recitativo. - My z Oszmiańskiego powiatu... z Wileńszczyzny... Pierwszy raz zobaczyłam wielkie miasto. Siostra wyszła za mąż do Warszawy i zaprosiła mnie. I zaczęłam szukać służby.

Zamilkła zapatrzona w przeszłość.

Wieś w Oszmiańskim powiecie... pierwsza podróż do Warszawy, dom siostry, ten sam, z tą samą werandą, tylko wówczas jeszcze w dobrym stanie i ogród uprawiony, własne młode kartofelki... dużo kwiatów...

Szwagier pracował w drukarni, nieźle zarabiał, starczało im na skromne życie, tylko, niestety, nie mieli dzieci. Olesia, to znaczy siostra, po wszystkich doktorach jeździła. I nic. Może to lepiej, bo przecież wojna... Z rodzinnego domu w Oszmiańskim powiecie nikt nie ocalał. I też nie ma ich grobów. Chyba gdzieś tam, za Uralem, na końcu świata.

Siostra wcale nie pędziła jej do pracy u obcych, odwrotnie, rada jej była w domu, bo w ogrodzie roboty nie brakło. Ale ona była ciekawa... Ciekawa ludzi i życia... Innego życia. Nic dziwnego, była przecież młoda!

Dżem jabłkowy, czyli "pur~ee z jabłek", jak je nazywała Leonka, pachniał latem i sadem. Deszcz ustał, ale najłżejszy powiew strącał z mokrych gałęzi ulewę roztańczonych kropel.

- Późno już - zerwał się Władek. - Dziękuję za pyszne śniadanie i za wszystko to, co mi pani powiedziała.

- To ja dziękuję - głos miała cichy, a ręce leżące na serwecie drżały. - Znudziłam pana - dodała po chwili, zaciskając zniekształcone artretyzmem palce. - Nigdy nie mówię o przeszłości, bo i po co? Prawda? A dziś...

- Czasem chyba dobrze podzielić się z kimś choćby najsmutniejszym wspomnieniem. Za pierwszym razem, jak tu byliśmy, mama powiedziała, że pani jest nieszczęśliwa.

- Powiedziała tak?

- O pani Bielawskiej powiedziała to samo.

- Bo to prawda. Wszyscy my nieszczęśliwi. Jak może być inaczej, skoro Wituś...? Zmienił się od śmierci brata - dodała szybko. - Z bliźniakami tak podobno bywa.

Po deszczu cały ogród pachniał, najmniejsze źdźbło trawy wydzielało woń godną bukietu rzadkich kwiatów.

Patrząc od drzwi werandy, wszystko wyglądało dziwnie pięknie, wymyte, wyświeżone, lśniące jeszcze od wody. Chwasty przypominały szlachetne pędy, a pniące się na ścieżce zielsko naśladowało z powodzeniem gładką jedwabistość murawy.

Władek przystanął w progu, obejmując wzrokiem zieloną gmatwaninę gałęzi, oplatającą stary domek. Tyle ziemi, aż szkoda, że wszystko marnieje z braku jednej pary rąk! Może Witold Bielawski znalazłby właśnie tu lekarstwo na swoją chorobę. Przecież toczy ona duszę, nie ciało.

- Wie pani co? - pochylił się nad zdziczałym krzewem różanym - jeżeli jest tu jaka łopata i grabie, to chętnie popracowałbym... Ten ogród należałoby doprowadzić do porządku...

- Zechciałby pan? - oczy utkwione w chłopcu rozbłyły jak u młodej dziewczyny.

Nazajutrz wyrzało słońce, a przemoczona ulewą ziemia z przyjemnością chyba poddawała się łopacie Władka, który pracując niezmordowanie skopał dwie niewielkie grządki i klomb przed werandą.

Dopiero gdy skończył to pierwsze zadanie, jakie sobie postanowił na ten dzień, zasiadł do drugiego śniadania. Leonka oburzyła się, gdy podał jej torebkę z kanapkami.

- Kto to widział? - burczała długą chwilę. - Pracuje pan dla mnie i jeszcze śniadanie ze sobą przynosi...

- Niech się pani nie gniewa - prosił - ale mama uważa, że nie może być inaczej.

Siedzieli więc i pili herbatę, spoglądając na ciemniejący świeżą ziemią klomb, na którym wyobraźnia Leonki sadziła już najzodobniejsze kwiaty.

- Przed wojną rosły tu peonie - wspominała - a dokoła pełno było różnokolorowych goździków. Jak Olesia co posadziła, to wszystko szło w górę, taką miała szczęśliwą rękę. Żeby pan widział doniczki na oknach! Wszystko chciała mieć, co tylko u kogo zobaczyła, zaraz prosiła o flance, wsadziła do ziemi i raz dwa, a tu już nowa roślina na oknie! Szwagier to nie mógł się nadziwić. On też lubił kwiaty, dużo pomagał w ogrodzie. Dobry był z niego człowiek... - zamyśliła się, wracając pamięcią do swoich umarłych.

Po tygodniu ogród był nie do poznania.

- Wie pan co - Leonka pochyliła się nad stołem. - Moja pani nie wie, że to pan. Nie byłaby rada. Boi się wszystkiego, biedulka. Nie można jej potępiać, dużo przeszła... - dodała usprawiedliwiająco.

- Co jej pani powiedziała?

- Powiedziałam, że to jeden mój znajomy - spojrzała na Władka, jak gdyby przepraszając go za to kłamstwo.

- Bardzo słusznie, jestem pani znajomym. Wszystko się więc zgadza. A... co powiedział... pan Bielawski? - Nie mógł się powstrzymać od tego pytania, choć wiedział, że każda wzmianka o mężu pani Lidii była dla niej bolesna.

- Wituś... - zaczęła - no cóż, chyba go to mało obeszło. Ale on chory. Jemu trzeba wszystko wybaczyć. - Popatrzyła na Władka, a oczy jej prosiły o pobłażanie i wyrozumiałość dla ukochanego "chłopaka".

Mimo spóźnionej pory na grządkach posiali sałatę, koperek, rzodkiewkę i pietruszkę. Na klombie - chwilowo tylko nasturcje, ale sąsiad obiecał dać kilka krzaków peonii.

Władek pracował z zapamiętaniem. Gracował ścieżki, wywoził pełne taczki zielska dla królików sąsiada, wycinał suche gałęzie, okopywał drzewka. Roboty jak gdyby wciąż przybywało.

- Im głębiej w las, tym więcej drzew - powtarzała Leonka, szczęśliwa, że oto zachwaszczony, niepodobny już do siebie ogród wracał do nowego życia, co dzień piękniejszy, wdzięczny za starania i pielęgnację.

Ona też była inna. Niepodobna ani trochę do "jędzy" i "megiery". I coraz chętniej wspominała przeszłość.

Dom rodziców Witusia i Danka był pierwszą i jedyną "służbą" Leonki.

Państwu Bielawskim urodziły się właśnie bliźnięta i szukali dziewczyny do pomocy matce, służąca bowiem "do wszystkiego" nie mogła teraz wystarczyć.

Mąż Olesi przyniósł do domu tę wiadomość wraz z adresem, a Leonka, lubiąca dzieci, zapaliła się do nowej dla niej i nieznannej "przygody".

Spodobała się rodzicom, przyjęli ją, a gdy po pierwszym tygodniu, w niedzielne wolne popołudnie zjawiła się u siostry, z wypiekami na twarzy opowiadała o wrażeniach nowego "miejsca".

Władek zazwyczaj nie przerywał jej wspomnień pytaniami. Słuchał chciwie, wciągnięty w przeszłość tych obcych przecież ludzi, którzy z każdym dniem stawali się jakoś bliżsi, coraz lepiej znani, nieledwie jak członkowie rodziny, o których życiu dzieciom opowiadają mamy czy babunie.

Dobrze jej tam było. Stanowili prawie jej własną rodzinę. Za mąż przecież nie poszła, mimo starających się, jakich na wsi nie brakło. Ale po co jej to było, kiedy miała ich do kochania?

Wituś i Danek od pieluszek poprzez krótkie spodenki, wreszcie szkolny mundurek, aż po studencką czapkę, kiedy to upodobnili się do jego kolegów, tyle że z innej uczelni, byli już dobrymi znajomymi Władka.

- Nigdy się tyle nie naśmiałam, co z moimi chłopakami - wspominała Leonka. - Nie można ich było nie lubić. Koledzy przepadali wprost za nimi, stale było w domu pełno młodzieży, ale chłopcy mieli swój pokój i nie przeszkadzali rodzicom. Ja tylko szykowałam tace z kanapkami i dzbanki kakao na podwieczorek.

Biedny pan Bielawski porządnie musiał się napracować, żeby na wszystko starczyło. Był głównym księgowym w banku, a gdy chłopcy poszli do szkoły, pani Bielawska odprawiała służącą, przychodziła tylko praczka raz w miesiącu. Resztę to już robiłyśmy same. Ja nie bałam się roboty, od dziecka zaprawiona do wszelkiego trudu, robiłabym zresztą dla nich dużo więcej, gdyby było potrzeba. Dziś jestem do niczego, ale wówczas... młoda i zdrowa... Człowiek sam nawet nie wie, ile potrafi znieść. Ta wojna dopiero nam otworzyła oczy i pokazała jacy jesteśmy silni i odporni. Na najgorsze. Czy ja kiedy myślałam, że tego dożyję? Takich okropności? Że przeżyję śmierć Danka, a Wituś... Wituś już nie ten, nie ten... A co będzie dalej? Bogu jednemu wiadomo... - zamilkła i pochyliła głowę.

Każde wspomnienie dawnych dobrych dni miało tragiczny epilog. Stanowił on jak gdyby barierę, której Leonka bała się przekroczyć. Cała wylewna szczerość, naturalna dla jej charakteru, kończyła się z chwilą dojścia do owej zakreślonej losem granicy. Odtąd Wituś, pozbawiony brata, przestawał być sobą, stając się jakimś tajemniczym, niewyraźnym cieniem, mającym mało co wspólnego z dawnym chłopcem.

Erminii o tych szczegółach nie pisali. Bo i po co? Nie dowiedzieli się przecież nic nowego. Upewnili się co najwyżej, że Witold rzeczywiście był żonaty. Kiedy to się jednak stało i dlaczego, pozostawało nadal tajemnicą.

Co do dalszych losów "chłopaków" należało czekać, aż Leonka sama zacznie mówić, aż odkryje przed Władkiem przyczyny owego dramatu, jaki rozegrał się podczas wojny tu, w Warszawie, i zniszczył obu braci.

Tyle czasu milczała, nic więc dziwnego, że nagromadzony w niej smutek znajdował teraz ujście w tej beładnej często opowieści, gardzącej niekiedy porządkiem i chronologią.

Pewnego dnia nie przyszła do sklepu. Władek czekał na próżno, po czym zaniepokojony, pospieszył na Jabłońską. Drzwi werandy stały otworem, a gdy wszedł usłyszał jej głos z głębi domu.

- Panie Władku, tu jestem, źle się czuję i pani kazała leżeć!

Znalazł ją w niewielkim pokoiku przytykającym do kuchni. Wydawała się tak mała, chuda i mizerna, jak dziecko, łóżko było o wiele za duże dla jej nikłej postaci.

- Co pani?

- Ot, sama nie wiem, co. Słabość i tyle. Głowa mi się tak kręciła, że rano mała nie upadłam. I pani kazała położyć się.

- Co dziś kupić? - Chłpiec rozglądał się za torbami. - Zaraz pójde do sklepu.

- Boże, Boże - zaszepotała wzruszona. - Przyniesie pan chleb, bułki, mleko?

- Przyniosę. Kartofle też. A co jeszcze potrzeba?

- Może kilogram mąki? - Powiedziała to pytająco, jak gdyby niepewna, czy ma prawo obarczać gościa tyloma sprawunkami.

- Dobrze. Wezmę i mąkę.

Wręczyła mu portmonetkę i patrzyła za nim, jak szedł do drzwi.

Po powrocie zrobił jej herbaty i pożegnał się wcześniej, zdecydowany prosić matkę, by zbadała chorą.

Pani Konstancja tylko co weszła do domu i miała zamiar wykończyć prawie już gotowy obiad. Ale Władek pozwolił jej wejść do kuchni jedynie po jedzenie dla chorej.

- Leonka leży. Chciałbym, żebyś ją zbadała.

- Myślisz, że byłaby zadowolona?

- Pani Bielawska w biurze, wróci po południu, chyba już za późno na wzywaniu lekarza.

Może tylko pogotowie...

- No cóż, chodźmy. - Pani Konstancja wzięła swój lekarski neseserek. - Ale o czwartej muszę być w ambulatorium. Zastępuję dziś koleżankę...

Dochodziła druga, gdy dobrnęli na Jabłońską.

Drzwi werandy były ciągle otwarte, tak jak je zostawił Władek. Leonka drzemała, skulona pod kołdrą, blada ową ziemistą szarością krańcowego wyczerpania.

Ujrawszy matkę Władka, przestraszyła się.

- Władek powiedział, że pani źle się czuje - pani Konstancja uspokoiła ją uśmiechem. -

Przyszłam więc zobaczyć. Jestem lekarzem...

Leonka pozwoliła się zbadać, zażenowana wobec "pani doktor" nędzą swoich wypracowanych członków. W oczach miała przestach i niepokój.

- Wyzdrowieję, prawda? Poprawię się? - pytała niespokojnie, przesuwając wzrokiem po aparacie do mierzenia ciśnienia i po słuchawkach. - Jestem im bardzo potrzebna. Nie mogę jeszcze umrzeć...

- Będzie pani żyła - oświadczyła pani Konstancja. - Trzeba tylko trochę odpocząć i lepiej się odżywiać. Przyniosłam dziś rosółu i kawałek mięsa... Zaraz to zagrzejemy.

- Nie, nie - broniła się. - Moja pani, jak wróci, zgotuje obiad. Wtedy i ja zjem.

- Doskonale. Zje pani po raz drugi. Trzeba teraz jeść po trochu, ale często, i wszystko będzie dobrze.

Władek z dwiema receptami pobiegł na poszukiwanie apteki, a przez ten czas pani Konstancja nakarmiła chorą.

- Wpadnę jutro mniej więcej o tej samej porze - powiedziała na pożegnanie.

- No i co? - Władek w obawie, by Leonka nie usłyszała, dopiero za furtką zadał to pytanie.

- Jest bardzo wycieńczona. Wzięliśmy ją za staruszkę, pamiętasz? Wygląda rzeczywiście co najmniej na siedemdziesiątkę, a ma dopiero sześćdziesiąt lat. Nie dziwmy się jednak, przeszła wojnę i teraz ciężko pracuje. Organizm wyniszczony, nie ma chwili wytchnienia. To, co robi, nie jest już na jej siły. Powinna by wyjechać do sanatorium. Mogłabym załatwić. Ale czy zechce?

- Chyba nie. Nie będzie chciała ich zostawić.

- Obawiam się tego. A czy oni doceniają jej poświęcenie?

Władek westchnął.

- Nie wiem... Trudno powiedzieć...

Wracali przygnębieni niedolą, na którą niełatwo im było zaradzić.

Witold (cd.)

Nazajutrz Władek zabrał z domu dwie siatki i po drodze kupił mleko i pieczywo.

Leonka oczekiwała jego przyścia z wypiekami na twarzy.

- Pani Bielawska kazała państwu podziękować - zaczęła z zakłopotaniem. - Powiedziałam jej... musiałam... że państwo przyszli... Bardzo się zdenerwowała. Mówiła, że nie rozumie, czego jeszcze pana mama tu szuka. Ona przecież wyjaśniła, że to pomyłka... że Wituś nie miał żadnej zagranicznej narzeczonej... A potem zaczęła płakać, ale tak, żeby mąż nie widział. Jemu nic nie powiedziała. Nie wolno go niepokoić.

Władkowi zrobiło się niewymownie przykro. Co sobie o nim myśli pani Bielawska? Oto wkręcił się do tego domu nieproszony. Wyrzucony drzwiami, wrócił oknem.

- Niech się pan nie martwi - Leonka zauważyła wrazenie, jakie na chłopcu sprawiły jej słowa.

- Nic więcej nie powiedziałam...

- Za kogo mnie ma pani Bielawska? - Wybuchnął, niezdolny zapanować nad wzburzeniem. - A moja mama... Co ma z tym wszystkim wspólnego? Za jej dobre serce... wstyd mi, gdy o tym myślę. Nie powinienem był tu przychodzić.

- Panie Władku? Co pan? - Leonka usiadła na łóżku, a po jej policzkach spływały łzy. - Panie Władku! Czy ja powiedziałam co złego? Pan się gniewa! Mój Boże! Co ja zrobiłabym bez pana? A ogród? Przecież ożył... i ja... co dzień pana czekałam... a jak piliśmy herbatę, wie pan, to były najlepsze chwile w moim życiu... Wyłumaczę mojej pani, powiem, że to pan... I ogród i wszystko... Niech pan się nie gniewa... Boże mój, Boże! - załamywała chude ręce, a łzy plamiły wyblakłą kołdrę.

Rozpacz jej zaskoczyła Władka. Ale jednocześnie odezwało się poczucie winy.

- Pani Leonko - zawahał się chwilę. - Pani wszystkiego nie wie. Moja mama była w czerwcu we Francji na zjeździe lekarskim. I tam poznała młodą Włoszkę z Rzymu, prawie tak ładną, jak pani Bielawska. Też lekarkę. To było w Grenoble. I gdy Włoszka dowiedziała się, że mama jest Polką, opowiedziała jej swoje życie i prosiła o pomoc. Ostatnie przedwojenne wakacje spędziła właśnie w Grenoble, gdzie odbywał się ten zjazd. Wówczas przyjechał tam młody Polak z Warszawy, Witold Bielawski. I zakochał się we Włoszce, a ona także w nim się zakochała. A gdy on został wezwany telegraficznie do domu - wojna była tuż tuż - przed jego odjazdem zaręczyli się i przysięgli sobie, że połączą się, gdy minie zawierucha. Powtarzam to, co ta Włoszka opowiedziała mamie. Podczas wojny dostała od niego dwanaście listów, przesłanych przez jakąś okazję, podpisał je "zawsze na zawsze twój". Niestety, po wojnie nie odezwał się ani razu. Ona pisała do Warszawy, ale jego adres przestał być aktualny. Zwróciła się nawet do naszej ambasady w Rzymie, też bez skutku. W takich warunkach trudno było kogoś odnaleźć. Wreszcie pani Bielawska - przez znajomego urzędnika - dowiedziała się o tych poszukiwaniach. Jej siostra pracowała w polskiej ambasadzie w Rzymie, prawda?

- Prawda - przytaknęła Leonka, nie spuszczać wzroku z twarzy opowiadającego.

- Pani Bielawska napisała do Erminii Galdi, tak się nazywa owa Włoszka. Stwierdziła, że to musi być jakaś pomyłka, że jej mąż jest chory i prosiła, żeby go zostawić w spokoju. Dla Włoszki był to cios, pani rozumie... Nie mogła wprost uwierzyć, ufała mu przecież, a on tak bez jednego słowa... I wówczas spotkanie z mamą potraktowała jako jakiś znak z nieba i prosiła, żeby mama dowiedziała się, czy to ten sam Witold. Pani Bielawska upierała się od początku, że chodzi o kogoś innego. Mama obiecała pomoc, współczuła tej dziewczynie. Ona nie wyszła za mąż, jeszcze czekała. I kochała go. Pani Bielawska nie powinna mieć do mamy pretensji. Każdy zgodziłby się pomóc, nie uważa pani?

Leonka słuchała z szeroko otwartymi oczami.

- Tak, to wszystko prawda - powiedziała wreszcie. - Wituś był przed wojną we Francji. Całe lato. Wrócił, bo dostał wezwanie do wojska. Sama nadawałam do niego telegram, pan mnie posłał na główną pocztę, na plac Napoleona. Jak dziś pamiętam. Nawet adres: Grenoble, willa Teresa, tylko jakoś tak trochę inaczej, po francusku. I wrócił też jakiś inny, odmieniony,

chyba szczęśliwy, mimo wojny, co wisiła na włosku. Zauważyłam to od razu. Było w nim coś takiego, jakby jakiś promień. Od środka...

- Wobec tego nie ma już żadnych wątpliwości - westchnął Władek. - To ten sam Witold Bielawski. Ten sam tam i tu...

- Ten sam - potwierdziła Leonka. - Ale teraz już inny. A co ta Włoszka?

- Nic. Chce tylko poznać prawdę, wiedzieć na pewno, że Witold dla niej stracony. Z czasem uspokoi się. Obiecała mamie. Ona szczęśliwa, ma rodziców i dom. Nie straciła nikogo, tylko Witolda... Przystała nam zdjęcia z tamtych wakacji.

- Zdjęcia? - zainteresowała się Leonka. - Panie Władku, pokaże mnie pan, dobrze?

- Pokażę. Jutro przyniosę. Ale pani też mi pomoże, pani Leonko. Mama przecież musi coś jej napisać.

- Tak. Biedny mój Wituś. Taki był szczęśliwy. Zbyt szczęśliwy. Nie na naszą ziemię.

Nie powiedziała nic więcej. Nie chciała już rozmawiać. Zostawił ją wyciągniętą na wznak, z zapadłą twarzą i z omotanym na rękach różańcem.

- Co dzień modłę się za żywego i za umarłego - powiedziała nagle, gdy odchodził. -

Odmawiam różaniec za Danka i za Witusia. Za obu. Jeden bez drugiego nie może żyć, tak z nimi zawsze było. Jak Wituś wyjechał do Francji, Danek nie mógł sobie miejsca znaleźć, a przecież cieszył się, rad był, że brat zwiedzi kawał świata. Mimo to czuł się nieszczęśliwy. Nie wiedzieliśmy już, co robić. Pan wyprawił go do stryja - brat pana Bielawskiego posiadał mały folwarczek pod Radomiem. I tygodnia nie wysiedział na wsi. Snuł się, jak dusza pokutująca. Pani była aż chora z irytacji. A Danek zmienił się zupełnie, nie ten chłopiec. Dawniej zawsze wesóły, teraz ponury jak noc. Milczący. Ze wszystkiego niezadowolony. "Daneczku - mówiłam - dziecko drogie, masz wakacje, odpocznij, zabaw się, na wsi przyjemnie, u stryja dużo młodzieży". Nic go nie cieszyło, niczym się nie interesował. Wituś teraz zachowuje się podobnie, tylko że on chory, bardzo chory... Niech pan już idzie. Ot, rozgadałam się, jak głupia.

- Za tydzień zaczynamy wakacje - oznajmiła któregoś wieczoru pani Konstancja. - Pomyśl o biletach. Najwyższy już czas.

- Żal mi Leonki. Oni też mają urlop i wyjeżdżają. Nic ich nie obchodzi. A biedna Leonka martwi się, że nie może pani sukien wyprasować.

Następnego dnia Leonka wstała po raz pierwszy i siedziała na werandzie, wpatrzona we wskrzeszony do życia ogród.

- Może i ze mną będzie to samo? - wskazała równiutko skopane grządki. - Może i ja odżyję?

- patrzyła przy tym pilnie w twarz Władka, szukając zdawałoby się w oczach chłopca potwierdzenia lub unicestwienia swoich nadziei.

- Lepiej pani wygląda - pochwalił nieszczercze, wydobywając z siatek butelki z mlekiem i pieczywo.

Ta uwaga jednak jej nie ucieszyła.

- Wyjeżdżają - stwierdziła ponuro. - Już za trzy dni. Doktor mówi, że Witusiowi dobrze zrobi morskie powietrze.

- Był doktor? - zainteresował się Władek.

- Był. U Witusia. To ich znajomy.

- A czy panią też zbadał?

- Ee, nie chciałam zawracać głowy. Ja już przecież lepiej i była pańska mama, też doktor.

- I pan Witold Bielawski wyjeżdża, widząc, że pani chora.

- To on chory... mówiłam panu. On nic nie wie. Nic go nie interesuje. Zginąłby bez żony.



- Nie bez żony, a bez pani - wybuchnął. - Oboje zginęliby bez pani! Pani ich obsługuje, wszystko im robi, a oni co? Wyjeżdżają na wakacje!

- Panie Władku! Jak pan może? Ich tylko mam na świecie, tylko ich oboje, a pan tak na nich!...

- Pani jest zaślepiona. Pozwala się pani wyzyskiwać. Żeby pan Bielawski chwycił za łopatę i po powrocie z biura popracował w ogrodzie, choroba szybko wywietrzałaby mu z głowy. A te zakupy? Czy nie można rozłożyć ich na trzy osoby? Nie dlatego to mówię - zreflektował się - żeby pani wymawiać. Ale wydaje mi się, że za bardzo wleźli pani na głowę i za wiele wymagają. Pasożyty!

- Mój Boże! Nie wymagają niczego. To ja, wszystko ja, z własnej woli...

- Jeżeli pan Bielawski może pracować, równie dobrze może coś zrobić w domu. Ale wygodniej chorować. Skrzywdził już jedną dziewczynę, a teraz pani...

- Wituś nikogo nie skrzywdził - oburzyła się. - To ta wojna i śmierć Danka zrobiły z niego to, czym jest. A tamta dziewczyna...

- Właśnie, tamta dziewczyna... - Władek zapomniał o względach należnych chorej. - Czy takich dziewczyn nie było więcej w jego życiu?

- Dziewczyn? Co też pan? Wituś mało zważał na dziewczyny. One pierwsze zwracały na niego uwagę. Ale on, ze wszystkimi jednakowo grzeczny, uprzejmy, wesoły... I nic więcej. Ale we Francji... Powiedział mi kiedyś, już podczas wojny. "Leonko, jeżeli przeżyję, czeka mnie szczęście, o jakim nie śmiałybym nawet marzyć". Ot, jaki był Wituś. Rycerz. O niej pewnie myślał, o tej pańskiej Włoszce.

- Więć pani wiedziała, a mimo to...

- Jest teraz żonaty - przerwała szorstko. - Co miałam robić? Jeżeli o tamtej zapomniał...

- Jeżeli zapomniał - powtórzył wolno Władek.

- Małżeństwo to sakrament. Nikt nie ma prawa rozrywać, co Bóg złączył. Na wszystko już za późno. Zresztą on teraz nie do życia, nie do życia...

Dopiero w powrotnej drodze Władek przypomniał sobie o fotografiach. W ferworze rozmowy wyszła mu z pamięci obietnica dana poprzedniego dnia. Przyniósł wszystkie przysłane przez Erminię zdjęcia, ale zamiast zrobić przyjemność Leonce, zdenerwował ją głupim gadaniem.

- Zachowałem się jak cham - wyznał matce. - Ale nie mogłem wytrzymać. Wygarnąłem wszystko, co myślę o Witusiu i pięknej pani Lidii.

- Władku! Władku! - zaczęła pani Konstancja, ale nie dał jej dokończyć.

- Nie nadaję się na detektywa! Detektyw musi być opanowany, powinien w każdej sytuacji zachować zimną krew. A ja co? Wyszedłem z siebie. Jak głupiec. Biedna Leonka!

- Uspokój się. Jutro do niej pojedziesz, pokażesz zdjęcia, będziesz uśmiechnięty i pełen dobrych chęci. Ona już nie pamięta, co jej nagadałeś! Zresztą też potrafi być przykra.

Przypomnij sobie nasze pierwsze z nią kontakty. Nie byłeś wówczas dobrze do niej usposobiony. Wszystko, jak widzisz, jest względne.

Nazajutrz Leonka przywitała gościa z nieśmiałym uśmiechem.

- Taki pan dobry - zaczęła - tak się o mnie troszczy... Nie wiem wprost, jak dziękować...

- Cieszę się, że mnie pani źle nie zrozumiała - Władek poczuł wyraźną ulgę. - Mimo wszystko jednak przepraszam.

- Nie ma za co, nie ma za co! - ożywiła się. - Niech pan spojrzy, jak pięknie wschodzi.

Coś, niczym zielona rzęsa na powierzchni jeziora pokrywało grządkę. Leonka promieniała, spoglądając na to wschodzące życie.

- Prawda, jak ślicznie?

- Ślicznie - przytaknął.

- Czuję się dziś o wiele silniejsza, wie pan? Spacerowałam rano po ogrodzie, jak tylko moi państwo wyszli. Ale zakupy, to jeszcze się boję...

- Nie wolno pani opuszczać ogrodu - upomniał. - Nie ma potrzeby. Wszystko przecież przyniosłem.

- Pani Bielawska myśli, że to ten znajomy, ten sam, co skopał ogród - spuściła oczy z zakłopotaniem. - I nawet zostawiła pieniądze... Jutro nie idzie już do biura, na noc wyjeżdżają.

- Przyjdę więc pojutrze - uspokoił ją uśmiechem. - Pieniądze przydadzą się pani. A teraz obejrzymy fotografie.

- Nie zapomniał pan! - ucieszyła się.

- Miałem je już wczoraj. O, widzi pani, pełniutka koperta. Erminia Galdi przysłała nam parę zdjęć w każdym liście.

Pochylili się nad stołem, a Władek rozkładał lśniące kartoniki, z których śmiał się do nich jakże inny świat, młody, pełen radości i życia, daleki od tej odrapanej werandy, ciężkich siatek z zakupami i pochmurnego nieba.

Tam było słońce, jasność, przydająca ostrości wywołanym obrazom, ośnieżone szczyty Belladonny, kopulasta głowa Nerona nad Izerą, grupki roześmianej młodzieży oraz ich dwoje: Erminia i Witold, Witold i Erminia.

Patrzący musieli od razu skierować wzrok ku tej ślicznej dziewczynie, ku temu chłopcu, którego uśmiechnięte usta i poważne oczy zapowiadały - jakże w tym przypadku kłamliwie - przysłego mężczyznę o niezłomnym sercu.

Leonka podreptała po okulary i drżącymi palcami ujmowała jednego po drugim tych świadków przeszłości.

- Wituś - szeptała chwilami. - Jaki tu wesoły! Mój chłopak najdroższy! - a łzy niepowstrzymane spływały po policzkach, pokrywając szkła wilgotną mgłą.

Ogromnie spodobała jej się Erminia.

- Jaka elegancka! Śliczna z nich para... Wituś wpatrzony w nią, że i o świecie zapomniał. Nic dziwnego. Biedny on, biedny...

Władek pozostawił na koniec zdjęcie z Warszawy, gdzie uliczny fotograf uchwycił obiektywem obu braci.

- O, i Danek z Witusiem! - zdumiała się. - To przecież Warszawa, Plac Zamkowy. To zdjęcie kiedyś widziałam. Skąd je pan ma?

- Witold ofiarował je Erminii w Grenoble, a ona kazała zrobić z tego powiększenie.

- Tak, to oni. Moje chłopaki. Tu jest Wituś, ten z lewej strony, a ten z prawej to Danek.

- Wyszedł tu nie bardzo wyraźnie.

- To nic, ale ja wiem, że to Danek. Trzeba ich było znać tak jak ja, od urodzenia, widzieć, jak rośli, jak się zmieniali, jak dorastali, każdy inaczej, każdy na swój sposób, bo usposobieniem różnili się bardzo. - Podniosła głowę znad zdjęć - to dziwne, ale Wituś po powrocie z Francji nikomu nie pokazał tych fotografii. Obaj zresztą od razu poszli do wojska, no i wojna... Ale i potem, jak już byli w domu... Nigdy ich nie pokazał.

Tak, Władek rozumiał go. To nie była pora na miłość.

Leonka nie mogła oderwać się od wizerunku swoich chłopaków, aż musiał obiecać, że poprosi fotografa o zrobienie odbitki.

- Ale to już po powrocie - dodał - my też wyjeżdżamy.

- Wiem - przytaknęła - mówił pan. Wszyscy wyjeżdżają. Moi państwo już jutro. Może Wituś poprawi się, morskie powietrze... - w splakanych oczach nie było jednak żadnej nadziei.

- Na pewno wróci do równowagi. - Władek wiedział, że na jej ból nie było pociechy. - Przecież nie jest stary, mama mówi, że to wstrząs spowodowany śmiercią brata.

Nie słyszała chyba tych słów, gdyż raptem zasępiła się i z niechęcią odsunęła od siebie fotografie.

- Gdyby Wituś wiedział - powiedziała - gdyby wiedział, że oglądam teraz te zdjęcia... on mi ich nigdy nie pokazał, a teraz pan, obcy, ma je u siebie jak swoje. A Wituś nic o tym nie wie. On wszystko stracił, nie zostało nic, dom spalony i te jego zdjęcia... Nie, nie, ja nie mogę na to patrzeć, ja nie chcę, to tak, jakbym podglądała go, wdzierając się w jego tajemnice. Wstyd mi. Przepraszam - zwróciła się do Władka - nie chciałam pana urazić, ale proszę zrozumieć... Dla pana to obcy człowiek, nieznajomy, ot jakiś Witold Bielawski, są miliony takich jak on. Ale dla mnie to Wituś, dziecko moje. Od małości z mną. To z mojej strony nieładnie, bardzo nieładnie. Proszę to zabrać i nie gniewać się na mnie.

Władek zmartwiony jej przykrością zebrał zdjęcia i po chwili śladu już nie było po tych ostatnich wakacjach w Grenoble.

- Niech pani nie robi sobie wyrzutów - powiedział serdecznie, zdumiony tą delikatnością uczuć. - Przecież dla obecnego Witolda to już nie ma znaczenia. Zerwał z przeszłością, rozpoczął nowe życie z inną. Miał z nią nawet dziecko...

- Dziecko? - poderwała się od stołu. - Co pan? Wituś nie miał żadnego dziecka. Kto panu to nagadał?

- Proszę mnie posłuchać, pani Leonko - Władek posadził ją z powrotem przy stole. - Byłem któregoś dnia w Ministerstwie Handlu Zagranicznego i spotkałem panią Bielawską. Zupełnie przypadkowo, nie wiedziałem przecież, że tam pracuje. Ona pierwsza mnie zaczęła i zaczęła ze mną rozmawiać. Zdziwiłem się nawet, że mnie poznała, widziała mnie tylko raz. Powiedziała, że zazdrości mojej mamie i że ona też miała synka. Wywnioskowałem z tego, że dziecko nie żyje. Więc jeżeli pani Bielawska tak twierdzi, to dlaczego pani zaprzecza? Co w tym złego? Przecież to już niczego i tak nie zmieni. Dla Erminii Galdi Witold jest stracony, stracony na zawsze.

- Nic pan nie wie! - głos Leonki łamał się, a chude ręce złożone na stole drżały. - Pani Bielawska miała synka, to prawda, ale dziecko zmarło w niemowlęctwie na zapalenie opon mózgowych. To było podczas wojny. Wituś jest jej drugim mężem. Ożenił się z nią po śmierci brata. Była żoną Danki. - Wyrzucała te słowa jednym tchem, jak gdyby paliły jej usta. - Nie powinnam tego mówić. To wbrew mojej woli. Niech pan już o nic nie pyta, nic więcej nie powiem. Nie mogę szkodzić Witusiowi. Ja jak Judasz, za plecami... Proszę już iść i nie męczyć mnie. Nie chcę pana widzieć. Wyciągnął pan ze mnie te wiadomości powolutku, po trochu, a ja głupia... Po co to panu potrzebne? Napisze pan do tej Włoszki, tak? Intryg narobi, nieszczęście sprowadzi. Mało my tu wycierpieliśmy, jeszcze pan... Rację miała moja pani, że bała się... Niech pan już idzie, niech pan idzie i więcej nie wraca! - potrząsała chudymi rękami, a na twarzy miała dwie czerwone plamy zamiast policzków.

Władka tak zaskoczyła nowina o podwójnym małżeństwie pani Lidii, tak przeraziły go oskarżenia Leonki i jej nagła wrogość, że dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że oto został wyrzucony jak intruz, bez możliwości powrotu. Co się stało? Czym ją uraził? Co spowodowało tę niespodziewaną zmianę nastroju?

- Pani Leonko - zaczął, ale przerwała mu gwałtownie, wskazując drzwi.

Wybiegł do ogródka i siedł w stronę furtki, czekając aż go zawoła, wytłumaczy swoje dziwne zachowanie, przeprosi za niegrzeczność. Ale czekał na próżno. Domek był cichy i milczący, jak gdyby zamarło w nim wszelkie życie, jak gdyby nie zostało tam żadne serce, dręczone niepokojem i bezpodstawnymi wyrzutami sumienia.

Matki już nie zastał.

Karteczka przyczepiona do serwety zawiadamiła, że zupa pewnie jeszcze nie ostygła, a resztę należy postawić na gazie. Nie miał żadnej chęci do jedzenia.

Rzucił kopertę z fotografiami - przyczynę całego zajścia - na stół, a sam wyciągnął się na tapczanie.

Pani Konstancja zastała syna leżącego w ciemności. Gdy zapaliła lampę, przeraził ją wyraz jego twarzy.

- Co z tobą? Stało się coś?

- Stało się - wymamrotał. - Wyrzuciła mnie jak psa.

- Kto cię wyrzucił? pani Bielawska?

- Leonka.

- Dlaczego?

- Żebym to wiedział! Nic nie rozumiem. Nie mogę dojść powodów...

Pani Konstancja powiesiła żakiet i usiadła przy leżącym.

- Przede wszystkim opowiedz mi po kolei, jak do tego doszło. Poszedłeś do niej rano?

- Poszedłem. Jak co dzień. Z zakupami. I wziąłem te cholerne fotografie...

- I to był powód?

- Nie wiem. Chyba tak. Od tego się zaczęło. Z początku ucieszyła się, wzruszyło ją szczególnie to zdjęcie, gdzie chłopcy są razem. Obiecałem, że dam do zrobienia odbitki, właściwie to mogłem oddać jej tę naszą fotografię, bo przecież nam nie będzie już potrzebna. Obejrzała wszystko, a potem mówi, że skoro Wituś po powrocie z Francji nie pokazał jej tych zdjęć - okazuje się, że nie pokazał ich nikomu - znaczy, że nie chciał, aby ktokolwiek je oglądał. Więc ona poczuła się winna wobec niego, nadużyła jego zaufania, zachowała się jak intruz, wdzierając się w cudze tajemnice.

- Chwalebna i rzadka delikatność - zauważyła pani Konstancja. - I co dalej?

- Dalej miałem nieostrożność wspomnieć o dziecku pani Bielawskiej. Myślałem, że to syn Witolda, okazało się, że nie. Otóż pani Lidia była przedtem żoną Bohdana, a po jego śmierci wyszła za Witolda.

- Co ty mówisz?

- Tak było. Powiedziałem jej, że o dziecku dowiedziałem się od samej pani Bielawskiej, wówczas w Ministerstwie, ale nie wiem nawet, czy mnie słyszała. Rozzłościła się okropnie, oskarżyła mnie o intryganctwo. Wreszcie kazała iść i więcej nie wracać. To wszystko.

- Słuchaj Władku, cała ta sprawa robi się coraz bardziej tajemnicza. Zamiast wyjaśnienia - nowe komplikacje. A my nawet nie wiemy, kiedy zginął Bohdan i w jakich okolicznościach, i kiedy Witold ożenił się z wdową. Dlaczego to zrobił? Może uczynił to wbrew swojej woli? Ale dlaczego? Co go zmusiło? Na to nie mamy dotąd odpowiedzi.

- Może kochał się w niej? Bracia byli rywalami... Wybrała Bohdana, a po jego śmierci wyszła za Witolda. Tak bardzo przecież przypominał zmarłego.

Pani Konstancja kręciła głową.

- Za dużo tu niewiadomych - zauważyła wreszcie. - Teraz właściwie już nic nie wiemy. Trzeba zaczynać wszystko od początku. I nie mamy sprzymierzeńca! Co prawda mało nam ona pomogła, skąpa była w informacje. No, trudno. Państwo Bielawscy wyjeżdżają jutro?

- Tak, nocnym pociągiem.

- Doskonale. My także przygotowujemy się teraz do drogi.

Zaprzestanie wizyt u Leonki zmusiło Władka do powrotu we własne życie.

Chłopiec poczuł się nagle jak bezpański pies, porzucony na ludnej, a wrogiej ulicy.

Dlaczego tak się stało? Czy to kara za to, że się zmienił? Bo zmienił się. Oto bez żadnego widocznego powodu zerwał z dotychczasową egzystencją. Przestały go interesować sprawy dotąd bardzo ważne, studia, koleżeńskie spotkania, nawet Kasia... Coś go od nich oddzieliło, wciągając w dziwny świat, do niedawna nieznaną, a leżącą tuż za progiem jakże swojskich ulic Warszawy. Nie podejrzewał jego istnienia, nie przypuszczał, że właśnie tam kryło się owo tajemnicze a fascynujące "cudze życie". Błądły przy nim wszystkie otaczające go rzeczy i osoby. Koledzy nudni. Ale Kasia? Co z Kasią? Przecież Kasia to zupełnie coś innego. To tak jak Erminia Galdi. On i Kasia, jak Witold i Erminia. Czy to możliwe?

Kasia na lipiec wyjechała do dziadków do Jeleniej Góry. Przysłała już parę kartek, a on napisał tylko raz. Naprawdę nie miał czasu. Coś go przecież opętało, zmuszając do pracy w ogrodzie Leonki. Był opętany. Najzupełniej. Teraz to rozumie. Koledzy w Czerniawie - pierwszy turnus dobiega końca - bawią się wyśmianiem, Andrzej pieje w listach, taki zachwycony towarzystwem i miejscowością. A on jak ten dureń kopie grządki i podlewa sałatę! Zupełny idiota! Nie ma na to innego określenia. Ale to już koniec. Dość ma Pragi i starej wariatki. Nad morzem sflucze z siebie całe to szaleństwo. Było i minęło. I już nie wróci.

Tym razem nie pojechali do domu wypoczynkowego dla lekarzy. Pani Konstancja na czas urlopu pragnęła wyłączyć się całkowicie ze środowiska, z którym wiązała ją wspólnota zawodu.

Znajomi z Sopotu sierpień spędzali w górach i na ten miesiąc odstąpili im swoje mieszkanie. Właściwie nie odstąpili im całego lokalu, tylko jeden pokój, drugi bowiem, na tej samej zasadzie, zajęli krewni właścicieli.

Współlokatorów prawie nie widzieli i nie słyszeli. Kuchnię rano i wieczorem mieli do dyspozycji, a stołowali się u wdowy latarnika, słynącej z prawdziwych domowych obiadów.

Po śniadaniu szli na plażę. Władek spotkał paru kolegów, miał więc towarzystwo do pływania. Pani Konstancja zasiadała w parku z książką i z torbą pełną smakołyków.

Czasem po południu razem chodzili na spacer, ale Władka coraz bardziej absorbował koledzy. Pani Konstancja nalegała, aby syn jak najwięcej przebywał z rówieśnikami. Musi mieć przecież normalne życie. Trochę utyka - jedna noga jest krótsza - ostatecznie nie jest to takie wielkie kalectwo... Nie może tańczyć... No to i co? Krępuje go wszystko, co ma związek z tą nieszczęsną nogą. Kiedyś się z tego otrząśnie... Jest bardzo lubiany, a dziewczęta okazują mu więcej niż zwykle zainteresowanie.

Nigdy nie rozmawiali o Erminii Galdi. Unikali poruszania spraw, którymi żyli przez ostatni miesiąc. To zgodne milczenie stanowiło jeden z punktów wakacyjnego programu.

Niestety, pani Konstancja przekonała się wkrótce, że nie zawsze można uciec od tego, co nam przeznaczone, a jej przeznaczone było spełnienie obietnicy danej w Grenoble.

Przy końcu drugiego tygodnia pobytu w Sopocie, pierwszą osobą, jaką napotkała wczesnym popołudniem na molo, był inżynier Rakowski, dawny sąsiad jej rodziców. Z córką inżyniera, Marysią, łączyła ją niegdyś serdeczna przyjaźń. Marysia zmarła mając dwadzieścia lat na dziedziczną w rodzinie matki gruźlicę, "galopującą suchotę", jak to wówczas określano, których nic, najlepsze warunki, lekarze i starania ojca nie zdołały powstrzymać.

- Kogo ja widzę! - ten powitalny okrzyk cofnął panią Konstancję trzydzieści lat wstecz. Znowu była młoda, jak niegdyś, młoda i szczęśliwa. Zniknęła wojna, sześć potwornych lat okupacji, straszliwa śmierć, wpędzająca przedwcześnie do grobu jej najbliższych.

Stali naprzeciw siebie, pan Rakowski posiwiaty, a ona młoda dziewczyna, Kocia, jak ją wtedy nazywano.

Obok nich płynęły dwa ludzkie nurty, rozbijające się o zatopionych w przeszłości, zapatrzonych w minione lata i we własną młodość.

Usunęli się z drogi spacerowiczom i usiedli na niezajętej jeszcze ławce.

Pan Rakowski nie mieszkał już w Warszawie, ale cóż to miało za znaczenie? Nie rozmawiali przecież o chwili obecnej, wspominali tych, co padli ofiarą zbrodni - syn pana Rakowskiego też zginął w Powstaniu, był w batalionie jej Witka.

- Wiesz, Kociu - głos starego przyjaciela zamknął ją w jakimś specyficznym mikroklimacie, miękkim jak wata i szczelnym, bo niedopuszczającym żadnych odgłosów z zewnątrz. - Wyglądasz, moje dziecko, prześlicznie. Nic się nie zmieniłaś.

Jak dobrze, że jest jeszcze ktoś, kto może powiedzieć do niej "moje dziecko". Niestety, oprócz pana Rakowskiego nie pozostał nikt, kto znowu nazywałby ją Kocią.

Pani Konstancja przymyka oczy. W dole woda uderza rytmicznie o wbite w dno morskie pale. Łatwo sobie wyobrazić, że się siedzi na pokładzie parowca i płynie się gdzieś daleko, w jakąś cudowną podróż dokoła świata. Opływa się kulę ziemską, by znowu powrócić do punktu wyjścia, do tych lat, kiedy był dom i rodzice.

- Spotkałem niedawno Rudnickich, pamiętasz, tych z drugiego piętra. Mieszkają w Szczecinie. Syn ożenił się z Angielką i wyemigrował...

Tak, pamięta, wszystkich pamięta. I Rudnickich i Barczów z parteru i dozorcę Walucha, któremu pułkownik Maciejewicz, inny ich sąsiad, zawdzięczał życie.

Gdzie oni teraz? Gdzie te wszystkie osoby, złączone niegdyś wspólnym dachem warszawskiej kamienicy?

Jak trudno powstrzymać łzy. Same wypływają spod opuszczonych powiek!

- Takie spotkanie! - dziwi się głośno po raz chyba czwarty pan Rakowski. - Co prawda molo w Sopocie tylko po to wybudowano, by ludzie mieli gdzie się spotykać. Widziałem już tu paru znajomych.

Spędzili na pogawędce całe popołudnie, a rozstając się umówili się na następny dzień, na tej samej ławce.

Widok starego sąsiada, rozmowa o dawnych czasach, rozstroiły panią Konstancję. Poczula się nieledwie chora i bardzo nieszczęśliwa. Samotny wieczór w domu był jej na rękę - Władek, choć sam nie tańczył, wybrał się z kolegami na jakieś tańce - nie chciała, żeby syn zobaczył ją w stanie takiej depresji.

Nazajutrz słońce i odprężeniowa atmosfera wakacji poprawiły samopoczucie. Na molo wybrała się już uspokojona, uzbrojona w jaką taką odporność na wzruszenia.

I znowu siedzieli "na pokładzie", jak sobie wyobraziła, a pan Rakowski opowiadał o losach sąsiadów i wspólnych znajomych, z którymi zetknął się po wojnie.

W dole, "za burtą", błyskała marszczona lekkim wiatrem powierzchnia wody. Głosy spacerujących mieszały się z ciągłym szemraniem morza, z tym samym szumem, tak cudownie nagrany na jakąś tajemniczą taśmę, zamkniętą później w sercu głębinowej muszli.

W pewnej chwili pani Konstancja przestała słuchać tego, co mówił jej towarzysz. Oto w nadchodzącej od strony morza grupie osób dojrzała znajomą twarz. Czy to możliwe? Ależ tak, to ona, pani Lidia Bielawska! Ożywiona i uśmiechnięta i elegancka jak zawsze. Nosiła białą płócienną suknię z granatowym paskiem i granatowe pantofle.

Gdy całe towarzystwo znalazło się niedaleko ich ławki, pan Rakowski uniósł się, jak gdyby pragnął pozdrowić kogoś znajomego, ale oni właśnie minęli ich, tak zajęci rozmową, że nie zwrócili uwagi na siedzących.

- Pan ją zna? - pani Konstancja chwyciła starego przyjaciela za ramię.

- Kogo?

- Panią Bielawską.

- Lidię Bielawską? - powtórzył. - Naturalnie, że ją znam. Znałem jeszcze jej rodziców.

Pani Konstancja odetchnęła głęboko, zanim zadała następne pytanie.

- A jej męża? Czy jego też pan zna?

- O którego męża Lidii tobie chodzi? - pan Rakowski odchylił się na oparcie ławki. - Była dwa razy zamężna. Krótka żyła we wdowieństwie. Wkrótce wyszła za bliźniego brata pierwszego męża. Wszystko to działo się już podczas wojny.

- Więc zna pan Witolda Bielawskiego? - nalegała, ledwie panując nad ogarniającym ją podnieceniem.

- Widziałem go parę razy. To ruina człowieka. Podobno załamał się po tragicznej śmierci brata. Z bliźniakami tak czasem bywa. Pisano kiedyś o dwóch siostrach. Gdy jedna rodziła, druga odczuwała te same bóle, choć wcale nie spodziewała się dziecka.

Rzeczywiście, z bliźniakami tak bywało. Co to za dziwna siła, która każe im czuć podobnie i razem umierać? W takim razie i Witold...

- W jakich okolicznościach zginął Bohdan?

- Nie wiem. Słyszałem tylko o jego tragicznej śmierci. Podczas wojny o to nie było trudno.

Pani Konstancja odszukuje wzrokiem białą postać, ledwie już widoczną wśród różnokolorowej ciżby.

- Czy Witold Bielawski towarzyszył żonie? Nie zauważył pan?

- Nie było go. - Pan Rakowski przyknuął oczy, porażone blaskiem. - A dlaczego, Kociu, tak się nim interesujesz?

- Właściwie interesuje mnie Bohdan. Chciałabym dowiedzieć się, jak i kiedy zginął.

- Jeżeli o to chodzi, mogę zaspokoić twoją ciekawość. - Pan Rakowski otworzył oczy i spojrzał na siedzącą obok kobietę. - A ty, Kociu, znałaś tę rodzinę?

- Tylko ze słyszenia. Ale proszono mnie...

- Jest tu dawny kolega obu Bielawskich, niejaki Bukowiecki. Spotkałem go przed paroma dniami w kawiarni. Jeżeli tak ci zależy...

- Byłabym panu wdzięczna.

Zależało jej tak bardzo, że ledwie zdołała opanować podniecenie. Nareszcie! Aż trudno uwierzyć, że oto zbliża się może do decydujących wyjaśnień.

Pan Bukowiecki okazał się źródłem wielu, choć nie najważniejszych informacji. Spotkali go nazajutrz na molo, gdzie czekał już, uprzedzony poprzedniego dnia przez usłużnego sąsiada.

Był to młody inżynier, pracujący w kopalni, gdzieś na dalekim Śląsku, który przed wojną odbywał razem z obu braćmi służbę wojskową.

- Doskonale ich pamiętam - uśmiechał się przy tym, chyba do własnych wspomnień. - Równie jak i ja byli świeżo po dyplomie. Przydzielono nas do piętnastego pułku piechoty do podchorążówki w Dęblinie. Bracia Bielawscy urozmaicali nam monotonię wojskowej egzystencji. Cóż to byli za chłopcy! Z nimi nikt nie mógł się nudzić. Wie pani, Dęblin jest nawet malowniczy, ładnie położony przy ujściu Wieprza do Wisły, a miasteczko nazywa się poetycznie Irena. Ale to dziura. Wszystkie tamtejsze panny potraciły dla nich głowy, zarówno te miasteczkowe jak i córki okolicznego ziemiaństwa. Gdy wychodzili na przepustkę, opędzić się nie mogli od wielbicielek. My żółkliśmy z zazdrości. A oni nic. Dla wszystkich jednakowo szarmanccy. Bez żadnego wyjątku. Raz Witold naraził się dowódcy. Przygotowaliśmy rewiew na Jedenastego Listopada. Zaproszono sąsiednich mieszkańców, a on tam takie wierszyki satyryczne powypisywał, że dowódcę diabli wzięli. Miał chłopak talent, choć inżynier - dodał z uśmiechem. - Za karę przez kilka miesięcy nie dostawał przepustki. Dopiero potem

dowiedzieliśmy się, że autorem tych najgorszych śpiewek, które najbardziej rozwścieczyły majora, był Bohdan. Ale Witold całą winę wziął na siebie. Taki już miał charakter. Zawsze bronił brata. Wówczas to, kiedy on nie wychodził z koszar, Bohdan wygłupiał się w Irenie. I może pani wierzyć, że pomysłów mu nie brakowało!

Inżynier Bukowiecki zamilkł, zapatrzony w morze, a pan Rakowski śmiał się cicho, pełen podziwu dla inwencji ówczesnej młodzieży.

- To byli chłopcy - powiedział wreszcie, ocierając zwilgotniałe nagle oczy. - Dziś takich nie ma. Sam kwiat poległ w Powstaniu, a to, co zostało...

- Proszę tak nie mówić - zachnęła się pani Konstancja. - Ci, co zostali, to nasz skarb.

Pan Rakowski nie wydawał się przekonany, nic jednak nie odpowiedział, przypomniawszy sobie o istnieniu Władka, jedynej istoty, jaka pozostała Koci z całej rodziny.

- Niewielu z nas ocalało - inżynier Bukowiecki pochylił głowę. - Witold Bielawski i ja to nieliczni z dużej grupy kolegów z podchorążówki. Widziałem paru z siedemdziesiątego drugiego pułku z Radomia i z dwudziestego szóstego z Warszawy. Ot, niedobitki.

- Nie jestem pewna, czy panu wiadomo, że Witold Bielawski spędził ostatnie przedwojenne wakacje we Francji. Wezwano go do kraju telegraficznie dwudziestego piątego sierpnia.

- Tak, dostał tak samo jak i ja kartę mobilizacyjną. Należało stawić się w Dęblinie. Tam właśnie znowu ich spotkałem, bo przyjechali jak zwykle razem. Stamtąd już nastąpił wymarsz na front.

- I co potem?

- Potem?... Wie pani. - Ożywił się. - Gdyby Francuzi od razu przystąpili do akcji, nie byłoby tych straszliwych sześciu lat i milionów ofiar.

Ale im się nie spieszyło "umierać za Danzig", jak to u nich wówczas mówiono. Hitler całe swoje siły rzucił na Polskę, granica z Francją nie była tak mocno obsadzona, jak się wszystkim wydawało. F~uhrer zafascynował świat potęgą niemieckiej armii, liczebnością czołgów, samolotów. Ale podczas gdy lotnictwo bombardowało Warszawę oraz inne polskie miasta, z Zachodu można było... ech - machnął ręką - żaden ze mnie polityk, ale słyszałem to i owo, rozmawiałem z ludźmi. Nie mogę znieść myśli, że Francuzi, bohaterowie z pierwszej wojny, zachowali się tak haniebnie, że utworzyli rząd w Vichy i gdyby nie de Gaulle... To on uratował ich honor, on i siły "Wolnej Francji", a dopiero potem partyzanci i zorganizowany już Ruch Oporu.

- Niech pan o tym nie myśli - pan Rakowski poruszył się na ławce. - Oszaleć można. Co się stało, tego się nie odwróci. A najgorsze to Jałta. Niestety! Trzeba jednak patrzeć w przyszłość, zbierać, co ocalało.

- Czy Witold i Bohdan razem przeszli kampanię wrześniową? - pani Konstancja nie chciała zbaczać z raz podjętego tematu.

- Razem. Witold niańczył Bohdana, osłaniał go i właściwie stale ratował mu życie. O siebie zupełnie nie dbał.

- A Bohdan?

- Bohdan? Nie mogę powiedzieć o nim nic złego, na pewno nie był tchórzem, ale sam mi wyznał, że myśli o śmierci przyprawia go o szaleństwo. Po prostu bał się umierania, nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Nie mógł na przykład patrzeć na poległych.

- Czy Witold czuł podobnie?

- O nie, Witold myślał wyłącznie o bracie. Dobrze go wówczas poznałem. Raz staliśmy we wsi, zwanej Kobiałka, a byliśmy tak pomęczeni, że lecieliśmy z nóg. I zaskoczył nas oddział Niemców. Z czołgami. Zaczęliśmy ostrzeliwać ich z karabinów maszynowych, a tu nadlatują samoloty. Co tam się działo! Piekło dantejskie! Wrzask... Ludzie, było i trupy. Cała ziemia we



krwi. Kosili nas z góry jak żyto. W pewnej chwili doczołgał się do mnie Witold i krzyczy: "Gdzie Bohdan? Widziałeś go?" Twarz miał tak straszną, że mnie przeraził nie mniej niż niemieckie samoloty. "Nie wiem - odkrzykuję. - Widziałem go już chwilę temu. Nie mogę zorientować się w czasie. Tyle okropności na raz". Rzucił się na otwartą przestrzeń, biegnąc do leżących niedaleko naszych. Już nie żyli. Ale wśród nich nie znalazł Bohdana. Witold wówczas nie był chyba przytomny. Nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wreszcie natknął się na brata. Bohdan leżał ogłuszony granatem, przysypany ziemią, ale nietknięty. Dopadłem do nich, gdy Witold ładował go na plecy i pchnąłem tak, że runął. To nas uratowało. Gdy potem opowiadałem Bohdanowi o szaleństwie Witolda, ten tylko na mnie popatrzył i powiedział: "Naturalnie, przecież my to jedno. Ja to samo zrobiłbym dla niego".

- A czy zrobił? Czy zachował się kiedy podobnie?

- Nie miałem okazji już zobaczyć. Wtedy każdy ratował własną skórę. Spotkałem go dopiero w Warszawie, podczas okupacji. Chyba w czterdziestym pierwszym roku, zimą. Na rogu Marszałkowskiej i Śniadeckich. Doskonale pamiętam. Szedł z bardzo ładną dziewczyną.

- Ożenił się z nią - wtrącił pan Rakowski. - Jakoś na początku czterdziestego drugiego roku. Mieli synka, ale dziecko wkrótce zmarło na zapalenie opon mózgowych. Nie było warunków na ratunek.

- Tak, słyszałem o tym. Ja sam ugrzązłem po uszy w konspiracji. I wówczas znowu spotkałem Bohdana. A potem nagle dowiedziałem się, że zginął.

- Jak zginął? - Pani Konstancja nie spuszczała oczu z opalonej twarzy młodego człowieka. - Czy zna pan okoliczności?

Inżynier Bukowiecki pokręcił głową.

- Nie wiem nic konkretnego. Nikomu właściwie z naszych nie udało się dowiedzieć... Bohdana aresztowało Gestapo. Pewnie zatłukli go na Szucha. Witolda pytać nie śmiałem. Śmierć brata załamała go zupełnie. Jednemu z kolegów powiedział tylko, że Bohdan zginął jak bohater.

- Czy Witold brał udział w Powstaniu?

- Na to też pani nie odpowiem. Słyszałem, że był bardzo chory, chory psychicznie. To przecież bliźniacy i pani zapewne wie, jak im trudno rozstać się nawet po śmierci. Znałem takich dwóch, którzy umarli jednego dnia, a znajdowali się na przeciwległych krańcach Polski. Umarli na serce. To bardzo dziwne i ja tego nie rozumiem. Nie jestem lekarzem ani psychologiem, wiem tylko, że coś takiego istnieje.

- Istnieje - przytaknęła pani Konstancja. - I jest to już naukowo stwierdzone. Prowadzi się odpowiednie badania. Właśnie w Rzymie powstaje specjalny instytut, który zajmuje się tym zagadnieniem.

- W takim razie nie można się dziwić chorobie Witolda. Przeżył brata tylko częściowo, bo nie jest już taki, jak był. Aż trudno uwierzyć...

- Widział go pan w Sopocie?

- Owszem. On, taki niegdyś towarzyski, teraz unika ludzi. Pierwszy go zaczepiłem. Ledwie mnie poznał. Szedł z żoną, to ta sama dziewczyna Bohdana. Potem cały czas milczał, wreszcie coś tam bąknął na pożegnanie. Chyba już się z tego nie podniesie.

- Nie wiadomo. Ma przecież żonę.

- Wyjątkowo urodziwa. Zajmuje się nim jak dzieckiem. Dla niego to szczęście, że wdowa po Bohdanie zechciała obarczyć się takim ludzkim wrakiem. On wewnątrz zupełnie pusty. Nic nie zostało z dawnego Witolda. No cóż, jeszcze jedna z ofiar tej wojny. Przy milionach, które pochłonęła...

- Wszyscy jesteśmy ofiarami wojny - przerwał pan Rakowski.

- Szczęśliwi, że choć uszliśmy z życiem i zachowaliśmy jaką taką równowagę psychiczną. Cóż ma powiedzieć taki Witold? Młody, a już do niczego.

- Słyszałam, że pracuje - wtrąciła pani Konstancja. - Nie musi być z nim aż tak źle.

- Połowa pracujących, to inwalidzi - oświadczył pan Rakowski.

- I czyż można się dziwić? Po tym, cośmy przeszli?

Tej nocy pani Konstancja nie zmrużyła oka.

Władek wrócił późno, rozbawiony, rad, że może z matką podzielić się wrażeniami. W pewnej chwili zastanowiło go jej milczenie, dziwna obojętność dla jego osoby. Zauważył, że płakała.

- Co się stało?

- Nic, nic - przerwała. - To przeszłość. Jutro ci opowiem. Znowu otarłam się o wojnę.

- Po co spotykasz się z tym starym ramolem?

- To nie jego wina. Tragedia Witolda i Bohdana przypomniała mi moje własne bóle.

- Witolda i Bohdana? - przysiadł na brzegu łóżka. - Więc dowiedziałaś się...

- Dowiedziałam się niewiele, ale i to pomaga zrozumieć. Muszę go wreszcie zobaczyć.

- Kogo?

- Witolda. Jest tu razem z żoną. Poznałam dziś dawnego kolegę obu braci. Z wojska.

Opowiedział to i owo. Inżynier Bukowiecki, ten kolega, wie na jakiej ulicy mieszkają, nie zna tylko numeru. Trzeba by tam popilnować...

Niestety. Dyskretna inwigilacja ulicy Wyspiańskiego nie dała rezultatu. Władek, który porzucił towarzystwo kolegów i wrócił do funkcji detektywa raz tylko zobaczył panią Lidę. Mąż jej był niewidzialny.

- Musi przecież coś jeść - zżymał się chłopiec. - Mieszkają tak jak i my w wynajętym pokoju. Przestraszył się tego inżyniera, czy co u licha?

- Może się i przestraszył. Pewnie unika wspomnień, a spotkanie z kolegą przywiodło na myśl wojnę, Bohdana i jego nieszczęście.

- Co więc zrobimy?

- Nic. Czekajmy na jakiś nowy uśmiech losu.

Los uśmiechnął się, owszem, ale dopiero przy wyjeździe.

Ostatni tydzień w Sopocie Władek spędził we władzy Erminii Galdi i jej spraw. Łańcuch skuwający go z cudzą przeszłością okazał się zbyt mocny, a jego siły za słabe. Znowu rozkładał zabrane z Warszawy fotografie i listy Włoszki i wyobraźnią przenosił się do Grenoble, w owe wakacje sprzed dziesięciu lat.

Pogoda zepsuła się. Co dzień wieczorem padało. Plaża opustoszała. Spacer w grubym swetrze zastąpiły opalanie się na gorącym piasku, a zimny wicher stał wszelki ślad po ciepłym dotyku słońca, chłuszcząc twarz porywistym podmuchem.

- Szesnastego lipca - odczytywał Władek napisy na odwrotnej stronie fotografii - wycieczka na lodowiec Bionassey. Wieczny śnieg, a Erminia w lekkich pantofelkach. A tu Witold. Zawsze obok niej. Opisała tę wycieczkę, pamiętasz?

Ułożył zdjęcia chronologicznie, według zaznaczonych przez Erminię dat. W sierpniu było wiele fotografii z wycieczki do Nicei.

- Czternastego sierpnia wyjazd autokarem z Grenoble.

- Erminia opowiadała mi, jakie przygody mieli w drodze - zauważyła pani Konstancja. - Coś się zepsuło w autokarze. Ledwie dojechali do Digne, musieli tam poczekać na nowy wóz. Siedzieli w restauracji i słuchali płyt. Modna wówczas Józefina Baker śpiewała "J'ai deux amours"...

- Znałaś tę piosenkę?

- Doskonale, była przecież modnym przebojem. Ty też słyszałeś ją w dzieciństwie. Tylko nie pamiętasz.

- Nie pamiętam - powtórzył z żalem.

- Droga łącząca Grenoble z morzem nosi dziś nazwę "Traktu Napoleona", tędy bowiem cesarz wracał z Elby. Zamiast słupków znaczących kilometry, stoją wzdłuż szosy napoleońskie orły z rozwiniętymi skrzydłami. O tu, widzisz? Do Nicei przybyli późnym wieczorem. Na wycieczkowiczów czekały pokoje zamówione w hotelu, ale Witold mimo zmęczenia pobiegł nad morze. Prosił, by Erminia towarzyszyła mu na tym spacerze. Była akurat pełnia. Witold coś szeptał po polsku. Zapytała, co mówi. "Morze Śródziemne - odparł. - Trudno mi uwierzyć, że tu jestem, że to widzę i że ty stoisz przy mnie".

Władek słuchał z zamkniętymi oczami. W tej chwili czuł się Witoldem, który kiedyś stanął twarzą w twarz ze Śródziemnym Morzem. On też, tak samo jak tamten, pobiegłby na plażę, gdy biało obrzeżone fale nadlatywały z mroku, umierając u stóp zakochanego chłopca.

- Erminia - szemrał głos matki - była wtedy "nadludźką szczęśliwą", jak się wyraziła. I ona i Witold czuli, że łączy ich miłość, najpiękniejsza jaka istnieje, bo prawdziwa. I chociaż nie oblekli jej dotąd w żadne wyznania, wiedzieli, że się kochają, że ich uczucie jest odwzajemnione tak, jak na to zasługuje. "Za miłość płaci się wyłącznie miłością" - ta stara dewiza stała się odtąd ich dewizą. Biedni! Jak mało mieli czasu! Nie zdążyli wypowiedzieć i usłyszeć tych wszystkich cudownych słów, jakich nie zagłuszy najcięższe nawet życie. Pozostają na zawsze i jeszcze po śmierci...

Działo się z nimi coś dziwnego. Te czyjeś wakacje sprzed dziesięciu lat, wakacje "cudze", przeżycia osób do niedawna zupełnie nieznanymi, stawały się jak gdyby ich własnymi wakacjami, wspomnieniem z jakiejś nieokreślonej bliżej przeszłości, które z niezrozumiałych przyczyn wypływało z głębi pamięci tak wyraźne i dotykalne jak rzeczywistość.

Dla pani Konstancji był to powrót do dawnych lat, a więc do szczęścia. Do życia z Witkiem. Do wielu wakacji spędzonych wspólnie z najbliższymi, których już nie ma.

Dla Władka stało się to objawieniem rzeczy i spraw dotąd nawet nie przeczuwanych, bólów i doznań, które czas odmierza człowiekowi, znacząc w ten sposób stacje jego krzyżowej drogi.

Grenoblijskie wakacje młodego Polaka i włoskiej dziewczyny nabierały znaczenia symbolu, podobnie jak odwieczna "gra miłości i śmierci" nierozzerwalnie złączona z ludzką egzystencją.

- Znamy te wszystkie wypadki z owego lata w relacji Erminii Galdi - mówił Władek, wpatrując się w rozłożony plan miasta Grenoble i mapę Delfinatu. - Szkoda, że nie możemy poznać tych samych wydarzeń tak, jak je wówczas przeżył Witold. Aż trudno uwierzyć, że zapomniał.

- Nie wiadomo, czy zapomniał. Co właściwie o nim wiemy? - Pani Konstancja rozłożyła ręce. - Prawie nic. Jest chory i tyle. Wymaga spokoju. Unika ludzi. Żona i wierna służąca pilnują go jak smoki, tłumią najcichszy nawet szeptał z tamtych lat. Nic więc dziwnego, że głos Erminii do niego nie dotarł. Zdziwiał natomiast bierność, z jaką poddaje się owej "miłosiernej tyranii". Czy to znaczy, że pragnie zapomnieć, że zerwał z dawnym życiem, że przeszłość dla niego umarła? Ale dlaczego?

- Śmierć brata...

- Właśnie. Tu kryje się tajemnica. Według mnie, zrozumiemy przyczynę choroby Witolda i jego stanu, gdy poznamy prawdę o śmierci Bohdana. Dotąd nikt nie potrafił nas oświecić. Nikt nic nie wie. Chociażby ten inżynier Bukowiecki. Coś słyszał, ale to wszystko jest tak ogólnikowe, że właściwie nie daje nic konkretnego. Czy to nie dziwne?

- Dlaczego przywiązujesz tak wielką wagę do tego faktu? Przecież podczas tej wojny większość ludzi ginęła nie na froncie. Tak samo Bohdan. Tym bardziej, jeśli pracował w konspiracji.

- W konspiracji pracowali prawie wszyscy, a przede wszystkim młodzi.

- I zapominasz, że był bliźnim bratem Witolda, a jak wiemy...

- Tak, tak, o tym się już zbyt wiele słyszy. To bardzo wygodna wymówka. Pretekst i nic więcej.

- Pretekst? Do czego?

- Wiesz, co mnie się wydaje? Jeżeli śmierć brata do tego stopnia wstrząsnęła Witoldem, że stał się on niezdolny do normalnego życia, oznacza to tylko jedno: Witold w jakiś sposób, naturalnie mimo woli, przyczynił się do tego. Jest winien, a raczej sam siebie oskarża o tę śmierć. Dopóki nie uwolni się od wyrzutów sumienia, nie zdobędzie pewności, że to nie on, że nie miał nic wspólnego z tragicznym wydarzeniem, nie wróci do zdrowia, na zawsze pozostanie wykolejńcem. Psychiatra postawiłby zapewne identyczną diagnozę.

- Nigdy o tym nie myślałem.

- A warto się zastanowić. To już jednak nie nasza rzecz. Potrzebny tu detektyw z prawdziwego zdarzenia lub ktoś z kręgu bliskich znajomych obu braci, ktoś, kto pogrzebałby w ich okupacyjnej przeszłości i dotarł do prawdy. Działo się to przecież tak niedawno temu i wielu ludzi jeszcze żyje. Niestety, my się do tego nie nadajemy. Moglibyśmy zostać posądzeni o wścibstwo, a nawet o coś gorszego. Zresztą dla Erminii Witold i tak stracony. Nie mamy więc po co zajmować się dłużej tą sprawą. Wiemy, że Witold poślubił żonę zmarłego brata i na tym należy poprzestać. O Erminii zapomniał lub nie chce o niej pamiętać. Nie zmusisz go przecież, żeby sam napisał i wyjaśnił. Jeśli dotąd tego nie uczynił, nie zdobędzie się na to nigdy, a im dalej, tym będzie trudniej. Pamiętaj, jak podpisywał swoje listy: "Zawsze, na zawsze twój". A teraz co? Jakby to wytłumaczyć? Miłością od pierwszego wejrzenia do żony brata?

- A jeżeli tak było? Przecież to możliwe. Zdarzają się chyba takie rzeczy...

- Wszystko się zdarza i wszystko jest możliwe. Nawet zbrodnia.

- Zbrodnia?

- A co byś powiedział, gdyby na przykład Witold, opętany miłością do bratowej, zabił Bohdana?

- Mamo, przypuszczasz...?

- Ech... Władku, nic nie przypuszczam. Mam tylko wyobraźnię, a wyobrażać sobie można przeróżne sytuacje, które przecież, jak sam powiedziałeś, zdarzają się w życiu.

- Witold miałby zabić Bohdana?

- Wcale nie twierdzę, że go zabił - zniecierpliwiała się pani Konstancja. - Rozpatruję jedynie różne możliwości, szukam przyczyn, które doprowadziły Witolda do tragicznego stanu. Jedną z nich jest właśnie zabójstwo brata. Podczas wojny nie było to trudne. Ludzie wychodzili z domu i już nie wracali, przepadali bez wieści, a w ruinach łatwo ukryć trupa. Niemcy przysłużyli się niejednemu mordercy, ich można było oskarżać o wszelką zbrodnię. Czy myślisz, że wśród Polaków nie znaleźli się wówczas złodzieje i zabójcy? Wojna nie tylko rodzi bohaterów, wyzwała także najgorsze instynkty. Lęk to nierzadko powód do zdrady, a Judasze są zawsze chciwi na srebrniki.

- Trudno mi uwierzyć...

- Nie patrz tak na mnie. Nie jestem żadną Lady Macbeth. Po prostu nie wzięliśmy dotąd pod uwagę wszystkich okoliczności. Badam przyczyny milczenia Witolda, prawda? A wiemy, że im głębiej w las, tym więcej drzew.

- Więc według ciebie Witold jest mordercą?
- Skądże! To tylko jedno z moich przypuszczeń. Równie dobrze myśl o zbrodni mogła wylęgnąć się w głowie Lidii Bielawskiej. A może to ona zapalała występłą miłość do mężowskiego brata i uknuła spisek przeciwko Bohdanowi? Witold był jedynie ślepym narzędziem albo w ogóle nie był świadomy krwawych planów bratowej. Miłość do Bohdana okazała się jednak silniejsza. Nic nie potrafiło zagłuszyć głosu sumienia, stąd wyrzuty, poczucie winy, jednym słowem nieszczęście.
- I sądzisz, że Lidia Bielawska wie o tym?
- Słuchaj, Władku, czy nie rozumiesz, że ja po prostu fantazjuję? Jesteśmy pozbawieni jakiegokolwiek punktu zaczepienia, a chciałoby się wreszcie ruszyć z miejsca i dowiedzieć się czegoś. Dotąd właściwie nic się nam nie powiodło, a przecież podjęłam się wyjaśnienia tej zagadkowej bądź co bądź sprawy. Od tego ciągłego rozmyślania, doszłam do wniosku, że gdyby Bohdana najzwyczajniej zabili Niemcy, w mniej lub bardziej dramatycznych okolicznościach, Witold z czasem pogodziłby się z tragiczną śmiercią brata i już teraz powróciłby do równowagi. Jeżeli tak nie jest, to znaczy, że okoliczności śmierci Bohdana nie były normalne na ówczesne warunki polskiego bytowania. Nikt się przecież nie dziwił, gdy Niemcy kogoś aresztowali, osadzili na Szucha, wysłali do obozu lub po prostu zastrzelili. To były zwykłe, codzienne rzecz można, praktyki okupanta. Każdemu wówczas groziła śmierć, tym bardziej ludziom pracującym w konspiracji.
- Chyba masz rację.
- Nie wiem. Weź jednak pod uwagę to dziwne małżeństwo. Witold jest zaręczony z Erminią Galdi, kochają, listy, jakie przysyłał do Rzymu już podczas wojny, podpisał "sempre tuo", "zawsze twój". I raptem po śmierci brata, z pewnością tragicznej i bohaterskiej, jak powiedział inżynierowi Bukowieckiemu, żeni się z wdową. Po co? Czy Erminia nagle przestaje dla niego istnieć? Dlaczego między nią a sobą kładzie przeszkodę nie do przebycia: swoje małżeństwo z inną? Czemu to zrobił? Co kazało mu postąpić w ten sposób, choć wiedział, że unieszczęśliwia Włoszkę i łamie jej życie? Czy to Lidia wymagała od niego tej ofiary, czy też on sam czuł się za coś odpowiedzialny, miał obowiązek wynagrodzić jej jakąś krzywdę? A w jaki sposób mógł ją skrzywdzić, jeśli nie był chociażby mimowolnym sprawcą śmierci Bohdana? Należałoby dobrze przeanalizować wszystkie aspekty tej coraz bardziej zagmatwanej sprawy. Może wówczas doszlibyśmy do jakiegoś wniosku. Choć to wątpliwe. Za mało mamy danych i nie znamy ludzi.
- Ciekaw jestem, czy Leonka wie?
- Może się domyśla...
- Może bała się, bym nie odkrył prawdy? Za bardzo interesowałem się rodziną jej chlebodawców. Ale Lidia Bielawska...
- Co takiego?
- Wiedziała przecież o Erminii - wybuchnął. - Jak mogła zgodzić się na małżeństwo?
- Mylisz się. O istnieniu Erminii Galdi pani Bielawska dowiedziała się dopiero po wojnie, a więc gdy już była żoną Witolda. Dowiedziała się zaś o tym wówczas, gdy Włoszka zwróciła się do naszej ambasady w Rzymie. Gdyby siostra jej tam nie pracowała i gdyby pani Lidia nie przebywała wówczas w Italii, przypuszczalnie do dziś dnia nie wiedziałaby o niczym.
- Ale potem, gdy w Rzymie pokazano jej pismo Erminii, dlaczego ukryła ten fakt przed mężem?
- Przede wszystkim nie wiemy, czy ukryła. Jeżeli to zrobiła, bała się pewnie o Witolda. Jest przecież w strasznym stanie. A ona kocha go, tak bardzo przypomina jej Bohdana, i drży o jego spokój i życie. Wiemy przecież, jak chorował i jeśli moje przypuszczenia zawierają choć

źdźbło prawdy, rzeczywiście należy chronić go przed każdym wstrząsem. On widocznie sądzi, że to Erminia o nim zapomniała i tak chyba dla niego jest najlepiej.

- Więc uważasz sprawę za zakończoną?

- W pewnym sensie tak.

- A jeżeli rzeczywiście została popełniona zbrodnia?

- No to co?

- Czy wiedząc o tym, mamy prawo milczeć? I pozwolić, by morderca cieszył się bezkarnością?

- Przede wszystkim jakie masz dowody stwierdzające, że zbrodnia została popełniona?

Ponadto jeżeli nawet dokonano zbrodni, w co osobiście nie wierzę, nie do nas należy karanie winnego. On i tak jest już dostatecznie ukarany. Skłonna natomiast jestem przypuszczać, że wskutek okoliczności towarzyszących śmierci Bohdana, Witold w jakiś sposób uznał się odpowiedzialnym za zgon brata i choć niewinny, sobie przypisuje winę za to, co się stało. Nie zapominaj, że jak stwierdzili wszyscy, którzy ich znali, Witold zawsze bronił i ochraniał Bohdana. Ratował mu przecież życie. Jeżeli więc czuje się winny jego tragicznego końca, to możemy sobie wyobrazić, jak dręczy się tą wymyśloną winą. Każdy, kto go znał przed wojną mówił, że to nie ten sam człowiek. Biedny, gdybym dalej zajmowała się tą całą historią, nie robiłabym tego dla Erminii, dla niej i tak wszystko się skończyło, ale ze względu na niego, na tego nieszczęśliwego człowieka, któremu wykrycie prawdy przywróciłoby prawdopodobnie spokój i chęć do życia.

- Więc dlaczego rezygnujesz?

- Nie rezygnuję. Po prostu nie widzę możliwości jakiegokolwiek działania. Żebym jeszcze obracała się w tym samym towarzystwie, w jakim on się obraca, miała z nim wspólnych znajomych, to może w dalszym ciągu szukałabym rozwiązania zagadki. Ale w tych warunkach...

- No to nie ma dla niego ratunku. W najlepszym przypadku czekają go Tworki. I tak dziw, że dotąd nie zwariował.

- Pani Lidia z pewnością zna prawdę, wie, co dolega jej mężowi. Tylko dlaczego nic nie robi, żeby mu pomóc?

- Może nie zdaje sobie sprawy.

- O nie, to nie jest głupia kobieta. Ona wyraźnie boi się czegoś.

- Boi się go utracić. I dlatego chroni go przed wspomnieniami.

- To jeszcze za mało. Jeżeli zna powód choroby, należałoby działać inaczej. A ona postępuje tak, jak gdyby obawiała się jedynie rywalki, choć i tak wie, że przeszłość nie interesuje już Witolda. Zerwał z nią raz na zawsze. Może właśnie w ten sposób ukarał się za przypisywaną sobie winę? Nie wiadomo. Z drugiej jednak strony, dlaczego on, taki szlachetny, poświęcił Erminię, niewinną ofiarę jego błędu? Sam widzisz, ile tu pytań bez odpowiedzi. Gdziekolwiek się zwrócić, wszędzie mur nie do przebycia.

- To co robić?

- Nie wiem. Gdyby udało się porozmawiać z panią Lidią...

- To byłaby najprostsza droga.

- Najprostsza, ale raczej niemożliwa.

- Czemu?

- Od początku postawiłam sprawę jasno. Od pierwszej naszej wizyty na Jabłońskiej byłam z nią szczerą. Ona jednak nie odpłaciła mi tym samym. Przestraszyła się.

- Po powrocie schowam dumę w kieszeń i pójdę do Leonki. Drugi raz mnie chyba nie wyrzuci.

- Nie wiadomo.

- A może powie jej o naszych podejrzeniach?

- Nie daj Boże!

- Dlaczego?

- Nie rozumiałaby dobrych intencji. Wzięłaby to za jeszcze jedno wrogie wystąpienie przeciwko jej ukochanemu "chłopakowi". Wydaje mi się, że z tej strony nie wskóramy niczego.

- To jakie z tego wyjście?

- Nie ma żadnego. Mówiłam ci już, należy zaprzestać badań. Niepotrzebnie tak się tym przejmujesz. To moja wina. Tyle ci nagadałam głupstw...

- Głupstw? Więc wszystkie te teorie nazywasz głupstwami?

- Tak. To przecież zwykła myślowa spekulacja oparta wyłącznie na bezpodstawnych podejrzeniach, a może po prostu melodramatyczne obrazy, jakie podsuwa wyobraźnia? Prawda jest zapewne o wiele mniej skomplikowana. Biedny Witold! Dużo bym dała, żeby pomóc mu wyjść z tego impasu!

Władek jednak nie zrezygnował.

Koledzy początkowo wpadali, by wyciągnąć go z domu. Zniechęceni ciągłą odmową, zaprzestali wizyt.

Pani Konstancja na próżno gderła na syna, wysyłając go na wspólne z młodzieżą spacerować. Władek nie potrafił oderwać się od towarzystwa "cieni", jak nazywał Erminię i dawnego Witolda, przenosząc je nad przebywanie z rówieśnikami.

- O czym bym teraz z nimi gadał? - zadawał matce pytanie.

- Jak to o czym? - oburzała się pani Konstancja. - Spędzaliście całe dni razem i jakoś nie narzekałeś na nudy.

- Tak, ale wówczas nie chciałem myśleć o tamtych.

- O tamtych należy zapomnieć. Dla nas ta sprawa skończyła się, rozumiesz? Raz na zawsze.

Pani Konstancja naturalnie nie miała racji. Na tym świecie, mimo pozorów, nic nie kończy się "raz na zawsze".

Pociąg do Warszawy był jak zwykle przepełniony i gdyby nie miejscówki, nie mieliby nadziei dostać się do wagonu. Zostało już mało czasu do odjazdu, a oni stali jeszcze na peronie żegnając się z panem Rakowskim, któremu emerytalny wiek pozwalał przedłużać wakacje.

Potem okazało się, że Władek pomylił wagony i do swoich miejsc musieli przemierzyć pół pociągu. Gdy wreszcie zmęczeni i zdenerwowani dotarli do celu, wśród sześciu osób siedzących w przedziale, dwie, ich vis-à-vis, przynajmniej w połowie były im znajome.

Pani Lidia miała na sobie granatowy kostium, którego szyk raził wobec powojennej lichoty strojów reszty pasażerów. To samo można było powiedzieć o garniturze jej męża, a takich koszul i krawatów po wojnie jeszcze w Polsce nie noszono.

Władek uklonił się niezgrabnie, panie pochylając głowy wymieniły zażenowane uśmiechy.

Atmosfera w przedziale stała się nagle trudna do wytrzymania, jak gdyby chłodne dotąd powietrze płynące z otwartego jeszcze okna zaczęło prażyć iście tropikalnym żarem.

Pani Konstancja czuła całą niezręczność sytuacji. Władek, czerwony z emocji, kręcił się, nie wiedząc jak ustawić stopy, by nie przeszkadzać współtowarzyszom podróży. Na panią Lidie także podziałało niepożądane sąsiedztwo. Tylko Witold Bielawski zdawał się obojętny na otoczenie. Daleki i nieruchomy omiatał wzrokiem przesuwający się za oknem pejzaż.

Więc to był ukochany Erminii Galdi. Zobaczyła go. Nareszcie. Dobrze znana z licznych fotografii twarz wydała się pani Konstancji martwa jak maska antycznego aktora. Martwa, inna, bez wyrazu. Prawdziwie twarz umarłego.

Wyglądał przy tym szalenie młodo. Zupełnie jak ten chłopiec sprzed dziesięciu lat. Jedyne włosy gęste i lekko falujące odbijały mleczną nieledwie bielą od opalonego czoła.

Ta siwizna tak doskonała, że robiła wrażenie sztucznej, otaczała głowę na kształt lśniącej aureoli, przydając owej tragicznej twarzy niepokojącego uroku.

Tak mało właściwie się zmienił, że poznałaby go od razu, nawet bez towarzystwa żony, której czujne spojrzenie przesunęło się z matki i syna na nieruchomą postać męża.

Rzeczywiście. Gdyby nie siwizna, byłby taki sam jak na zdjęciach. Tylko teraz wyglądał jak posąg ustawiony na cmentarzu, na grobie kryjącym żywego niegdyś człowieka.

Co było przyczyną?

Z twarzy siedzącego naprzeciw niej mężczyzny pani Konstancja przenosiła wzrok na jego ręce, złożone na kolanach, równie martwe i bezosobowe, niezdolne zdawałoby się do jakiegokolwiek wysiłku czy aktu woli.

Lidia Bielawska całą mocą odpychała oczami ten dociekliwy wzrok, badający nieruchomą postać, a usta jej poruszały się niekiedy niewypowiedzianą głośno prośbą.

"Sempre tuo" - huczało w głowie Władka. - Zawsze twój. Czy to możliwe, by ten milczący facet, który w ciągu paru godzin ani razu nie zmienił pozycji, napisał kiedyś te najpiękniejsze miłosne listy, jak mówiła Erminia?

Ten sam człowiek na fotografiach, a więc na papierze, uśmiechał się, patrzył i kochał śliczną, tulącą się do niego dziewczynę, był bardziej żywy niż pasażer miejsca numer sześć, spoglądający obojętnie w okno, zawieszony teraz firanką ciemności.

Co z nim zrobiono? Co z niego zrobiło życie? Życie i wojna? I czy to tylko wina wojny?

- Sempre tuo - wystukiwały koła pociągu, a Władek całą siłą woli starał się przelać te włoskie słowa w pustą jak gdyby czaszkę tego, który był niegdyś Witoldem Bielawskim.

Bohdan

Ulica Jabłońska wyglądała zupełnie tak samo jak przed miesiącem. Była równie cicha, może jeszcze bardziej podobna do polnej drogi, wijącej się poza opłotkami, wyludniona jak wieś, gdy mieszkańcy wyjdą do pracy przy żniwach.

Władek nigdy nie odważyłby się na ten krok, gdyby nie list Leonki, oczekujący cierpliwie w ich skrzynce na powrót adresata.

Koperta była trochę przybrudzona, pismo jednak czytelne, choć prowadzone drżącą widać ręką. Data na stemplu pocztowym wskazywała, że wysłano go przed tygodniem.

"Kochany Panie Władku - pisała Leonka - proszę nie gniewać się, że tak Pana nazywam. Ale po Witusiu jest Pan dla mnie najbliższy. Smutno mi bardzo, że Pana obraziłam, boję się, że nie zechce Pan więcej do mnie przyjść. A mnie bez Pana bardzo źle. Chyba ja już długo nie pożyję, bo jakoś sił mi brak i nic się nie chce robić. O, leń ze mnie na starość, aż wstyd. Jeżeli może Pan przebaczyć, to proszę przyjść. Co dzień Pana wyglądam, ale wiem, że dopiero we wrześniu mogę się spodziewać wizyty Pana, drogi, kochany Panie Władku. I ogród też stęsknił się za Panem. Trudno go teraz poznać, taki piękny. Sąsiad, za zielsko dla królików, pomógł opleć grządki. Na klombie posadziliśmy peonie. Już kwitną. Jeszcze raz za wszystko przepraszam i pozostaję w nadziei, że mnie Pan przebaczy".



- Biedactwo - pani Konstancja wzięła list z rąk syna. - Zaraz jutro musisz do niej pojechać. Ja postaram się odwiedzić ją pojutrze. Z tego co pisze, widać, że zdrowie jej wcale się nie poprawiło.

Nazajutrz wyszli razem, gdyż pani Konstancja pragnęła sama zaopatrzyć Leonkę w niezbędne wiktuały, Władek więc dotarł na Jabłońską z dobrze wypchaną siatką.

Ogród rzeczywiście trudny był do poznania. Ujęty w zielone ramy drzew i krzewów, oczyszczoną z zielska ścieżką prowadził do starego domku, okrywając jego nędzę i zniszczenie uszlachetniającą wszystko patyną sędziwości.

Władek przystanął przy furtce, jak gdyby niepewny, czy dobrze trafił, tak tu wszystko inaczej wyglądało. Obawiał się, że przez miesiąc jego nieobecności ogród znowu popadł w opuszczenie, a oto zastawał go w pełnym rozkwicie wczesnej jesieni, o bujnie rozrosłych krzewach i jabłkach czerwieniących się wśród gałęzi.

Drzwi werandy były szeroko otwarte, a na progu siedział biały kot, z różowym nosem i pięknymi oczami.

Na widok obcego kot czmychnął w krzaki, a na jego miejscu ukazała się Leonka.

Chyba była jeszcze chudsza i mizerniejsza, ale spódnicę okrywał czysty jak zawsze fartuch obszyty wzorzystym szlakiem.

- Jestem, pani Leonko - wołał chłopiec spiesząc dróżką. - Wczoraj wróciłem. Dziękuję za list. Cieszę się, że panią znowu widzę.

Gdy chciał pocałować ją w rękę, zaczęła się bronić.

- Co też pan - w oczach błyszczało wzruszenie. - Mnie tak nie trzeba.

Ale Władek nie ustąpił.

Usiedli na werandzie, a kot wyrżał ostrożnie zza krzaka i posunął się na poprzednie miejsce w słońcu.

- Ma pani współlokatora.

- Błąkał się po ulicy, taki biedny, zagłodzony, zastraszone. Popytałam sąsiadów. Ale to jakiś obcy. Ktoś pewnie, chcąc się go pozbyć, przyniósł w naszą okolicę. Ludzie są podli.

Przygarnęłam. On spokojny, szkody żadnej nie robi, tylko myszy polne znosi mnie na łóżko. Ale co ja, głupia, o kocie... Ładnie pan wygląda, opalony...

- A pani jak się czuje?

- Teraz już dobrze. Trochę jeszcze słabo, ale będzie lepiej. Już wszyscy w domu. Wrócili wczoraj wieczorem.

- Wiem. Razem jechaliśmy w tym samym przedziale.

- Razem? - przestraszyła się. - I widział pan Witusia?

- Widziałem. Doskonale wygląda.

- Tak, poprawił się. - Powiedziała to jakoś bez przekonania. - Ale on chory...

- Chory - skinął głową Władek. - Rzeczywiście jest chory.

- Więc pan go widział... A czy on widział pana?

- On nikogo nie widzi. Nie obchodzi go, co się wokół niego dzieje. Jest obojętny. Nawet dla żony...

- Ona go kocha, bardzo kocha...

- A on nie kocha już nikogo. Pewnie nie potrafi.

- Dlaczego pan tak mówi? On dobry, a ona biedna. Taka przyjechała zdenerwowana. "Jak tu ładnie" - powiedziała na przywitanie. Bo ogród śliczny, a i dom jak mogłam wysprzątałam, bukietów nastawiałam w pokojach i na werandzie, żeby było przyjemnie. Ale on niczego nie zauważył. Smutny jak zawsze. Powiedział tylko, że cieszy się, że jest w domu. Tu jemu najlepiej, z dala od ludzi.

- Nie wiedzieliśmy, że i oni spędzą urlop w Sopocie. Pani mówiła, że wybierają się nad morze, nie podała jednak miejscowości. A przypadek wyznaczył nam miejsca powrotne w tym samym przedziale, naprzeciwko siebie.

- Czy rozmawiali?

- Przez całą drogę nie zamieniliśmy z nimi ani słówka. Oni też milczeli. To była bardzo dziwna, ale i bardzo przykra podróż. Tyle chciałoby się powiedzieć, wyjaśnić, spytać o wiele spraw. A tu nic. Milcz jak zaklęty. Pani Bielawska też to odczuwała. Było mi jej szczerze żal.

- A Wituś? Jak się zachowywał?

- Jak kamień. To znaczy siedział i patrzył w okno. Współpasażerowie dla niego nie istnieli. Nie spodziewałem się, że tak młodo wygląda. Nic się chyba nie zmienił. Co prawda mogłem to stwierdzić wyłącznie na podstawie fotografii.

- Nic się nie zmienił. Z wyjątkiem włosów. Osiwiał jednej nocy. Po śmierci Danka.

- Czy pani wówczas u nich była, gdy to się stało?

- Nie. Danek z żoną mieszkali już oddzielnie. Pana Bielawskiego Niemcy zabrali zaraz w pierwszym roku. Rozstrzelali razem z innymi z banku jako zakładnika. Potem panią sparaliżowało. Byłam przy niej do końca. Nie męczyła się długo. Cała prawa strona bezwładna, że i mówić nie mogła. Tylko patrzyła. A potem to i oczy zamykała, nie chciała patrzeć. Umarła cichutko. Witusia nie było wówczas w domu. Ja sama... Po śmierci siostry przyszedłam tu do szwagra, a gdy i jego pochowałam, zostałam jak ta sierota. Chodziłam do Witusia, ale on dużo czasu spędzał u brata. Pan wie, oni zawsze razem. Nawet jak Danek ożenił się, to i tak mało co się zmieniło. Tyle, że wyniósł się z domu. Ona miała mieszkanie po rodzicach i chciała tam się urządzić. Coś po roku żałoby, tuż przed Powstaniem Wituś ożenił się z wdową. Chyba dobrze zrobił, nie wiem, pan co prawda mówił o tej włoskiej dziewczynie. Ale gdzie jemu, w takim stanie, z cudzoziemką? On sam potrzebował opieki. A ona dla niego jak matka. Wszystko zniesie, wszystko wybaczy. Ma chęć i cierpliwość. A taka obca, to nic nie wiadomo. Zresztą już na wszystko za późno. Nie ma co i myśleć. Skończyło się. Wszystko się skończyło, została sama niedola. - Leonka trzęsła głową przygnieciona beznadziejnością sytuacji.

- Może znalazłoby się lekarstwo? - zaryzykował.

- Lekarstwo? Jakie?

- Nie wiem. Chyba powinna być jakaś rada.

- Co też pan? - wlepiła oczy w twarz chłopca. - Czy może być najmniejsza nadzieja?

- Póki się żyje, zawsze jest nadzieja.

- Młody pan, to i ma nadzieję. Ale ja... Za dużo już widziałam... Boże mój, gadam i gadam, a jeszcze herbaty nie nastawiłam!

- Nie trzeba. Proszę się nie trudzić.

- Co to nie trzeba? Przyniósł pan pełną siatkę smakołyków, a ja nie poczęstowałam pana herbatą?

Ożywienie starło z twarzy smutek i ciężar lat. Znowu była pogodna, cieszyła się gościem, wprawnie nakrywała do stołu, krążąc między kuchnią a werandą.

- Proszę teraz opowiadać, jak było nad morzem - podsuwała ciasto, które upiekła na przyjazd swoich "państwa".

- Przyjemnie, jak zwykle na wakacjach. Martwiłem się tylko o panią.

- Myślał pan o mnie?

- Często. Rozmawialiśmy z mamą.

- Dobre ma pan serce, że o mnie pamiętał. A ja tu... - wskazała ręką ogród.

- Właśnie widzę. Taki piękny, że trudno poznać.

- Po herbacie pójdziemy. Wszystko panu pokażę. A Witusia tam pan widział?

- Nie. Raz tylko mignęła mi pani Bielawska. Szła sama.

- Wituś teraz nie lubi towarzystwa. Jak przyjechał i wszedł do domu, to powiedział do mnie: "Nigdzie więcej nie pojedę. Zostanę z tobą, Leonko. W domu przynajmniej spokój. Nie trzeba z nikim gadać".

- Myślę, że jego choroba wymaga innego lekarstwa. Pani Bielawska przypuszczalnie mogłaby mu pomóc. A nawet pani...

- Ja? Cóż ja?

- Wie pani, dużo z mamą rozmawialiśmy. Żal nam bardzo Witolda i w ogóle ich obojga... bo jeśli chodzi o tę Włoszkę, to dla niej sprawa jest zakończona. Ale jego, Witolda, trzeba by ratować.

- Ratować? Jak ratować, jeśli doktorzy...

- To nie jest przypadek dla doktorów. Wszystko zaczęło się od śmierci Danka, prawda?

- Tak - westchnęła.

- Ale podczas wojny moc ludzi zginęło. Rozstrzelano pana Bielawskiego, matka umarła sparaliżowana, a jednak Witold przeżył te wszystkie nieszczęścia. Dopiero śmierć brata...

- Pan przecież wie, oni bliźniacy, nierozłączni od urodzenia.

- Jednak rozstali się podczas tych ostatnich wakacji, gdy Witold był w Grenoble.

- Owszem, ale co Danek wówczas wyprawiał, to niech Bóg zachowa!

- Czy pani zna dokładnie okoliczności, w jakich zginął Bohdan? - zadał to pytanie i przestraszył się, widząc, jak uciekła z niej cała pogoda, a na twarz powróciła codzienna szarość żałoby.

- Zabili... Niemcy zabili...

Zrozumiał, że nie wiedziała nic więcej, była nieświadoma przebiegu wydarzeń, znała jedynie "dramatis personae" tej krwawej tragedii z okupacyjnej sceny.

Krążąc między grządkami powoli odzyskiwali równowagę. Leonka wskazywała owocujące pięknie drzewa, dumna z peonii na klombie i z kolorowych georginii.

- Wie pan, kupiłam leżak - powiedziała w pewnej chwili. - Były w naszym sklepie. Chłopiec jeden przyniósł mnie do domu. Po obiedzie Wituś posiedzi sobie pod drzewem, póki ładna pogoda. On zawsze lubił zieleń i świeże powietrze. - Stała tak w słońcu, pośród splendoru wskrzeszonego ogrodu, wynędziała, ale uśmiechnięta, z kotem, który przysiadł przy jej spódnicy. - Pan ma jeszcze cały miesiąc wakacji, pamiętam, do października... Wstąpi pan do mnie czasem?

- Przyjdę jak dawniej - obiecał skwapliwie.

- Doprawdy? - Znowu była rozpromieniona, odmłodzona, szczęśliwa.

Odprowadziła go do furtki, radosna jak matka, która odzyskała utraconego niegdyś syna. Biały kot szedł za nią, przystanął jednak w pewnej odległości od parkanu. Może bał się, by nie wygnano go znowu na bezpańską i bezdomną ulicę?

Wśród oczekującej na ich powrót poczty, oprócz listu Leonki, była jeszcze piękna karta od Erminii Galdi. "Na przywitanie w Warszawie" - głosiły króciutkie pozdrowienia. Z Sopotu wysłali do niej kilka kart z widokiem morza, teraz jednak należało napisać obszerniej o tym wszystkim, czego się dowiedzieli o małżeństwie Witolda, a także podać szczegóły z owej niesamowitej powrotnej podróży, podczas której mieli nareszcie okazję przyjrzeć się bezskutecznie dotąd poszukiwanemu człowiekowi.

Pani Konstancja odetchnęła, gdy wróciła z poczty, dopełniwszy przykrego obowiązku.

- Dla Erminii to nie żadna niespodzianka - mówiła w domu, jak gdyby pragnęła uspokoić raczej samą siebie, niż młodą Włoszkę. - Szkoda tylko, że nie mamy pełnego obrazu wydarzeń, nie wiemy jak było naprawdę ze śmiercią Bohdana.

- Leonka nic nam nie pomoże. Wie tyle, co i my, a przeżywa te wspomnienia tak silnie, że nie mam odwagi dręczyć ją pytaniami.

- Tak - przyznała niechętnie matka. - Stan jej nie pozwala na podobne wstrząsy.

Poprzedniego dnia złożyła na Jabłońskiej "lekarską wizytę" i wcale nie była zadowolona.

- Serce jest bardzo osłabione - stwierdziła - należałoby zrobić elektrokardiogram. Ale ona o niczym słyszeć nie chce. Wszystkiego się boi. To chora kobieta, przedwcześnie postarzała, zniszczona ciężką pracą, nie dla niej już prowadzenie gospodarstwa dla trzech osób.

- Czy pani Bielawska tego nie rozumie?

- Pamiętaj, że Leonka jest uparta. Poza tym ma nadmierne poczucie obowiązku. Póki może, zrobi dla nich wszystko. Zastanawia mnie tylko jedno. Czego się obawia pani Lidia? Przecież nie Erminii Galdi. A więc czego? Ona coś ukrywa, musi coś wiedzieć, coś, co ma związek ze śmiercią Bohdana. Widzi jednak, co dzieje się z Witoldem, a mimo to milczy. Dlaczego?

Znowu porwała go przeszłość. Nie jego własna, cudza. Kasi na szczęście nie było w domu, tym razem bawiła u ciotki w Krakowie. Wiadomość ta sprawiła mu ulgę, ale jednocześnie i zasmuciła. Może Kasia, gdyby była w Warszawie, nie pozwoliłaby mu pograć się w te niepokojące odmęty, w które wciągała go jakaś niedobra ciekawość?

Witold i Bohdan znowu usunęli z jego życia Andrzeja, Jurka i resztę kolegów, a odrapany domek na krańcach Pragi znowu stał się jedynym celem, do którego dążył.

Każdego ranka Leonka oczekiwała Władka na werandzie i razem szli po sprawunki. Po tym pili herbatę, ona odpoczywała, a on zajmował się ogrodem. Zawsze było tam coś do zrobienia. Jednego dnia gdy padało, siedzieli przy herbacie radzi, że "Pan Bóg podlewa kwiaty" i Władek nie musi używać konewki.

- Wie pan co - powiedziała nagle - tak samo padało wówczas, gdy poszłam do Witusia. Chodziłam trzy dni z rzędu i nie mogłam zastać go w domu. Wtedy poszłam na Mazowiecką, do Danki. I tam dowiedziałam się... - Zamilkła, tuląc do piersi leżącego na jej kolanach kota. - Wituś siedział przy stole i powtarzał: "Zabili go... zabili...". "Kogo"? krzyknęłam nieprzytomna z przerażenia. "Bohdana" odpowiedziała pani Bielawska, która stała przy siedzącym. "Boh... Co pani mówi?" Nie mogłam uwierzyć. "Danek nie żyje? Mój Daneczek? Dziecko moje najmilsze?" "Zabili" powtarzał Wituś i pewnie nic innego nie potrafił wówczas powiedzieć. - Znowu zamilkła, wsłuchana w echo owego tragicznego "zabili", które tamtego dnia rozdarło jej serce.

Cichy szmer padających coraz rzadziej kropli był najwłaściwszym akompaniamentem tej żałosnej powieści.

- Zostałam u nich na noc - szeptała Leonka, bojąc się głośniejszym słowem spłoszyć pojawiające się przed nią obrazy. - Wituś dostał wysokiej gorączki. Bredził... Pani Bielawska kazała mnie położyć się, a sama przesiadła przy nim do rana. Gdy można już było wyjść, pobięłam po doktora. Uratowano mu życie, ale dusza poszła za Dankiem... Oni nierozłączni. Gdy wybuchło Powstanie, Wituś był tylko cieniem. Siwy jak gołąb. Takiego zastałam. "Nie patrz na mnie, Leonko, wołał, niech nikt na mnie nie patrzy. Mnie już nie ma." I mówił prawdę. Nie było go już...

- Co robił w Powstanie? - Władek przestraszył się własnego głosu.

- Cóż mógł zrobić? Nic takiemu jak on do Powstania. Nie miał przecież duszy. A pani Bielawska wiedziała o wszystkim, znała termin rozpoczęcia walki. Poprzedniego dnia przyszli

tu do mnie. "Leonko, zostawiam Witusia pod twoją opieką. Ja będę teraz bardzo zajęta" tak powiedziała. Nazajutrz zaczęło się. My tu, w odległym kącie Pragi, patrzyliśmy bezsilni na to, co działo się za Wisłą. Co wieczór łuny. Dzień i noc bomby i samoloty. Huk i dym. A Wituś zamknięty w pokoju mówił bez przerwy "zabili go... zabili...". Pani Bielawska to dzielna kobieta, pracowała jako sanitariuszka batalionu "Zośka". Przedostała się do nas, gdy już było po wszystkim, nie wiem nawet jak jej się udało, nie mówiła. Wyglądała tak, że ledwo ją poznałam.

Władek przymknął oczy. Jak doskonale pamięta. Wszystko. I tych z batalionu "Zośka" i tych innych. Miał piętnaście lat. Biegał pod kulami, przedzierał się przez gęsty, gryzący dym, ogłuszony hukami czołgał się wśród ruin. Spełniał swój obowiązek. Jak wszyscy. Może i zetknął się wówczas z panią Lidią? Był przecież łącznikiem. Posyłano go do różnych osób, w różne strony miasta. Nosił meldunki i rozkazy.

- Panie Władku, co panu?

- Nic... Wiem, co tam się działo. Piekło.

- To samo mówiła i pani Bielawska. A to przecież nie dla ludzi, nie dla ludzi... - Trzęsła głową, zaciskając chude ręce. - Ach, jak się Wituś ucieszył, wtedy, gdy wróciła! Widziałam to wyraźnie. Nie siedział już zamknięty i nie jęczał "zabili go". Nie opuszczał jej na chwilę, chodził za nią jak pies, taki jakiś inny, odmieniony, z tą siwiutką głową i młodą twarzą. Wieczorem siadywali na werandzie, trzymali się za ręce. Jak zakochani. Ona pewnie pierwsza zaproponowała mu to małżeństwo. Taki podobny do Danki. A on, cóż miał począć? Chory... sam... Do niczego. Nieledwie kaleka. Dobrze, że teraz do pracy poszedł... Już drugi rok. Doktor powiedział, że to konieczne. No i pieniędzy potrzebowali. Siostra jej z Rzymu ubranie przysłała. Ona też tam była. Witusiowi wtedy pogorszyło się. Nie może bez niej wytrzymać. Musiałam pisać jak jest, żeby prędzej wracała. On znowu wariacji dostał. Jęczał i płakał. I ciągle to samo "zabili" powtarzał. Słuchać już nie mogłam, myślałam, że i ja zwariuję. Jak wróciła, znów było lepiej. I tak zostali u mnie. Po mojej śmierci będą mieli cały domek dla siebie. Rudera to co prawda straszna, ale dach nad głową jest. A w zimie, jak palić w piecach, to i ciepło. Wygód tylko żadnych nie ma. Zainstalowali taką prowizoryczną łazienkę i ubikację w jednym małym pokoiku. Gdy się pali pod kuchnią, jest gorąca woda. Pompę to jeszcze szwagier nieboszczyk założył, motorek elektryczny kupił. Do dziś funkcjonuje. Tylko ja już siły na wszystko nie mam. Stary grat do niczego.

- Pani Leonko, wcale nie jest pani taka stara!

- Co też pan... Za parę lat siedemdziesiątka. Czy to mało? I tyle smutków... Od początku wojny same nieszczęścia. A co nas jeszcze czeka...

- A właśnie, że czekają nas dobre rzeczy - zapewnił gorąco. - Koniec z nieszczęściami.

- A Wituś?

- Wyzdrowieje. Zobacz pani.

- Wituś nie jest sobą - powiedziała, a potem zaczęła wybierać z koszyka jabłka, które Władek miał zanieść matce w prezencie.

List jaki dostali wkrótce od Erminii Galdi był zaskakującym potwierdzeniem ich własnych podejrzeń.

Młoda Włoszka przede wszystkim dziękowała za informacje, które choć odarły ją z resztek nadziei, położyły jednak kres jakże męczącej niepewności.

"Ojciec przeczytał pani list i również jest bardzo wdzięczny - pisała. - Zrobił ciekawą uwagę. Oto sądzi, że śmierć Bohdana nie była "normalna" w ówczesnym znaczeniu tego słowa. Pani mnie rozumie, prawda? Twierdzi, że gdyby Witold w jakiś sposób nie był zamieszany w tę

tragedię, nie wywołałaby ona u niego tak katastrofalnych następstw. Był przecież żołnierzem, w czasie wojny otarł się o różne okropności, stracił rodziców. Do śmierci Danką trzymał się dzielnie, działał w konspiracji. A potem nagle załamał się. Witold sobie przypisuje winę, czy tylko oskarża się o niedbalstwo, dręczy go myśl, że nie uratował Bohdana, on, który dotąd ratował go z każdej opresji? Te pytania chwilowo są bez odpowiedzi. Pewne jednak jest, że był w jakiś sposób wmieszany w ten tragiczny zgon. Co do tego ojciec nie ma wątpliwości. Twierdzi też, że w swojej długoletniej praktyce adwokackiej spotkał się już raz z podobnym przypadkiem. Człowieka uratowało wówczas wyświetlenie zagadki, wykazanie jego absolutnej niewinności, co tak ulżyło jego sumieniu, że wrócił do równowagi. A był już bliski obłędu. Biedny Witold! Co robić, by go ratować? Widzę go takim, jak mi pani opisała, podobnym do dawnego Witolda, tylko z siwymi włosami. I bez życia. Wszystko więc jest skończone. Jaką siłę musiał mieć ów huragan, który nim wstrząsnął, jeśli zdołał wymieść z jego pamięci całą przeszłość, nawet moje imię".

List ten na resztę dnia wytrącił panią Konstancję z równowagi, tym bardziej, że przy końcu Erminia opisywała sen, jaki nawiedził ją ostatniej nocy.

"Miałam dziwny sen i długo potem nie mogłam otrząsnąć się z przykrego wrażenia. Śniłam, że znajdowałam się w jakimś gmachu. Szłam bardzo długim korytarzem, po obu stronach były drzwi opatrzone tabliczkami. Raptem z jednych z tych drzwi wyszedł Witold. Mimo siwych włosów poznałam go od razu. Zawołałam "Witold", ale on nawet się nie odwrócił i wszedł do przeciwległego pokoju. Pobiegłam szybko i nie pukając nacisnęłam klamkę. Był to zwykły biurowy pokój, a przy szafie pełnej akt stał Witold. Popatrzył na mnie jak na nieznaną. "Witold" powiedziałam "nie poznajesz mnie?" A on bardzo grzecznie odpowiedział: "Przykro mi, ale nie mam przyjemności..." We śnie ogarnęła mnie rozpacz. Nie poznaje mnie! Dlaczego? Jak to możliwe? "Witold, czy coś się zmieniło?" "Pani mnie bierze za kogoś innego" brzmiała odpowiedź. Przeprosiłam i zdruzgotana opuściłam pokój. Wówczas zobaczyłam Carlę, przedwojenną koleżankę, z którą razem byłyśmy w Grenoble. Carla mnie nie widziała, a ja widziałam wyraźnie, jak weszła do pokoju Witolda, słyszałam, jak się czule witali i umawiali się na wspólny spacer. Z Carlą, a mnie nie poznał! Co to znaczy?

Może sobie pani wyobrazić, jak ten sen na mnie podziałał. Właściwie wszystko było zgodne z rzeczywistością. Zamiast Carli jest pani Lidia, jego żona. Ojca zastanawia jednak to małżeństwo. Powtarza: "Co skłoniło Witolda do tego kroku? Dlaczego musiał ożenić się z wdową? Jakie były powody tej decyzji?" Ojciec uważa, że dla fachowca nie trudno byłoby ustalić fakty, wyświetlić zagadkę, poczynając od okoliczności, w jakich zginął Bohdan. To bowiem, według niego, jest kluczem do całej tajemnicy. Niestety, w Polsce nie ma prywatnych detektywów, a tu ojciec zna taką agencję, z której usług nieraz korzystał przy bardziej skomplikowanych sprawach. Nie wątpię jednak, że Władek z powodzeniem spełni to zadanie nie gorzej od rutynowanego detektywa. Jestem pani niewymownie wdzięczna za tyle trudu, jaki pani sobie zadała. Władkowi ślę specjalne podziękowania. Wierzę w jego intuicję i zdolności. Czekajmy więc na szczęśliwy przypadek. To często decyduje o powodzeniu."

- Obawiam się, że nie wykryjemy niczego więcej - pani Konstancja odsunęła filiżankę.

Siedzieli właśnie przy kolacji i po raz nie wiadomo który omawiali list Erminii.

- W każdym razie pan Galdi upewnił nas co do słuszności naszych przypuszczeń. Jego rozumowanie poszło tym samym torem. Gdy dowiemy się, jak zginął Bohdan, zrozumiemy wszystko.

- I uratujemy Witolda. - Dokończyła matka. - To chciałeś powiedzieć, prawda? Ale do tego happy endu długa droga. A pani Bielawska, która przypuszczalnie zna prawdę, zrobi wszystko, aby nam przeszkodzić.

- Czyżby?

- Naturalnie. Świadczy o tym jej wroga postawa, lęk, nieufność. Wszystkie te objawy niechęci. Czegóż innego mogłaby się obecnie obawiać, jak nie wykrycia prawdy? Tym bardziej jeżeli ta prawda uratowałaby Witolda?

- W takim razie ona też jest winna. Przecież to jasne. A może właśnie ona...

- Trzymaj, chłopcze, na wodzy wyobraźnię. Tu trzeba mocnej głowy, nie wolno dać się ponieść mniej lub bardziej fantastycznym hipotezom.

- Ona też maczała palce w czymś, za co Witold siebie obwinia. Na pewno tak było - upierał się Władek. - W ogóle jest podejrzana.

- Pamiętaj, co Leonka o niej powiedziała. Zdobyła się przecież na bohaterstwo, wzięła udział w Powstaniu, nie oszczędziła siebie. Mogła razem z Witoldem przesiedzieć bezpiecznie te straszne dni na Pradze. Ona jednak wybrała walkę.

- Może był to akt ekspiacji za jakiś zły czyn przed tym popełniony?

- I to możliwe. Ale po co przypuszczać najgorsze? Leonka wystawiła jej jak najlepsze świadectwo. A jej poświęcenie dla chorego, czy o tym zapomniawszy? Czy pomyślałeś, ile musi mieć siły i odporności, żeby zachować pogodną twarz? I mimo goryczy uśmiechać się do męża, w którym nie zostało już dla niej nic, cienia uczucia? Bo on jej przecież nie kocha. Poza tym, co właściwie wiemy? Możemy tylko przypuszczać, a ja opierając się na znajomości życia i stosunków między ludźmi mogę najwyżej z drobnych faktów wyprowadzać jakie takie wnioski, czy jednak słuszne? To jeszcze za mało, żeby sądzić. Do tego potrzeba dowodów i pewności. A nam brak zarówno jednych jak i drugiej.

- Ale ojciec Erminii jest tego samego zdania...

- Owszem, tak on jak i my nie mylimy się. Nie możemy jednak przyjść do państwa Bielawskich i powiedzieć: "Wiemy, że w jakiś sposób jesteście zamieszani w tragiczny zgon Bohdana. Stąd pochodzi choroba Witolda. Czuje się winny, a może nawet odpowiedzialny za śmierć brata. Co pani ma w tej sprawie do powiedzenia?"

- To byłoby najlepsze wyjście. Kawę na ławę, bez żadnego kręcenia.

- I zostałbyś grzecznie, a może niegrzecznie wyproszony z domu. I nie miałbyś więcej prawa wstępu na Jabłońską. Sama Leonka byłaby przeciwko tobie.

- Więc co robić?

- Nic. Czekać. Zdarzają się różne nieprzewidziane zbiegi okoliczności. Jesteś na tyle zorientowany w sytuacji, że, jak zajdzie potrzeba, potrafisz wysnuć odpowiednie wnioski.

- Wie pan co - powiedziała raz Leonka - wczoraj Wituś zauważył, że źle wyglądam. "Jaka ty, Leonko, mizerna - tak powiedział. - Bardzo schudłaś. Czy nie masz apetytu?" Wtedy pani Bielawska zaczęła mówić, że ja za ciężko pracuję, że wszystko dla nich robię i że na zimę tak nie może zostać. A potem dodała: "Wiesz, Witku, przestaniemy stołować się w domu. Będziesz przychodził do mojej stołówki. A potem razem wrócimy". Jemu to się nie podobało. On biedny, boi się obcych. Więc musiałam zaprzeczyć i powiedzieć, że wcale mnie nie męczy gotowanie, tylko zakupy, bo ciężko nosić. "Trzeba kogoś umówić - postanowił Wituś. - Jak ci przyniosą wszystko, co potrzeba, zrobisz nam obiad, a potem położysz się i będziesz odpoczywać. Musisz się koniecznie poprawić." Widzi pan, jacy oni dla mnie dobrzy, dbają o swoją starą Leonkę.

- A czy rzeczywiście znajdą kogoś, kto zrobi zakupy?

- Jest tu taka jedna... Może i zgodziłaby się...

- To bardzo ważne, pani Leonko. Od pierwszego zaczynam zajęcia na uczelni.

- Wiem - przerwała. - Pierwszego października moje chłopaki szli do Politechniki. Oni zawsze razem i chyba nie mieli przed sobą tajemnic.

- A ta włoska dziewczyna?

- Tak, wiem, to musiało być coś zupełnie innego. Zresztą Danek może i wiedział, tylko ja... Może Wituś prosił brata o sekret. Nic przecież nie wiadomo. Jeżeli tak było, to Danek dotrzymał obietnicy, nie pisał o tym nikomu, nawet żonie.

- Rozumiem. Dla pani Lidii stało się to przysłowiową cegłą spadającą na głowę.

- Niech się pan tak nie dziwi, panie Władku. Pani Bielawska była już żoną Witusia, kochała go pewnie, on jeden pozostał jej po Danku. Trzeba ją zrozumieć i nie potępiać.

- Wcale jej nie potępiam - zaprotestował - nie mogę tylko pojąć, czego się jeszcze obawia. Włoszka już niegroźna, zna prawdę, nie rości do osoby Witolda żadnych pretensji. Wszystko więc wyjaśnione, a pani Bielawska zachowuje się wręcz dziwnie.

- Bo ona biedna! Czy pan zapomniał, co przeszła? Śmierć Danko to dla niej większy cios, niż dla Witusia. A przed tym straciła synka. Pomimo wojny byli szczęśliwi. Widziałam. A potem taka katastrofa. Ale ona mocna jak skała. Zniosła, wszystko zniosła, a Wituś... ruina. Gdyby nie ona, zginąłby, stoczyłby się na dno. Może nawet skończyłby u wariatów - dodała, zniżając głos. - Każdy człowiek inny, każdy inaczej patrzy na życie i na śmierć. Żeby pan wówczas widział Witusia, żeby pan słyszał jak jęczał i płakał... Tylko ona potrafiła do niego przemówić. Mnie wcale nie chciał słuchać. Ja swoje, a on swoje. "Zabili go, a ja żyję... Ale to już nie ja... Mnie nie ma... Nie ma... ". I tak w kółko. O nie, panie Władku, pan nie wie, co wycierpiała ta kobieta. Pan zbyt młody. Ale Bóg jej to policzy. A że boi się, nic w tym dziwnego. Przychodzili tu różni ludzie, czegoś chcieli... tak samo i ta dziewczyna. Nie wiadomo, co może zrobić taka Włoszka, jakie przykrości...

- Nie będzie żadnych przykrości - zaproponował. - Powiedziałem już pani. Panna Galdi wie o wszystkim. Mama napisała, że jest żonaty, że jest chory, że śmierć brata tak silnie na niego podziałała...

- Otóż to - pokiwała głową. - Śmierć brata. Śmierć pewnie straszna, bo od najgorszego wroga.

- Czy pani pytała?...

- Kogo miałam pytać? - podniosła głowę i spojrzała na Władka. - Wituś tylko płakał, a ona wiedziała tyle, co i ja. Owszem, raz zapytałam. "Niemcy zabili" - odpowiedziała, bo i co innego mogło być? Niemcy zabijali na prawo i na lewo, każdy Polak dla nich wart był śmierci. Gdyby zdążyli wymordowaliby cały naród. To dzicz, gorzej pogan. Dlaczego pan mnie znowu o to pyta?

- Ciągle myślę, jak to się stało - wyznał.

- Co tu myśleć? Wiadomo, jak się stało. Zabili i koniec. W okupację moc ludzi zginęło.

- Tak, ale...

- Niech pan wszystko mówi.

- Nie, to nic ważnego - wycofywał się, przestraszony rumieńcem, jaki powoli opływał chude policzki Leonki. - Myślałam, że dobrze byłoby znać szczegóły...

- Raz już pan pytał mnie. A potem powiedział, że przecież Wituś stracił przedwcześnie rodziców z winy tych szatanów, a jednak to przeżył. Myślałam o tym, po pana wyjściu. Tak, to może wydawać się dziwne, ale ja wiem, jak było naprawdę. Obecność brata pomogła Witusiowi znieść tamte nieszczęścia. Razem płakali, razem czuwali przy zwłokach pani. Ale póki mieli siebie, nie czuli sieroctwa. Jeden drugiemu był i ojcem i matką. Wszystkim. Niech mi pan wierzy, znałam ich od urodzenia, od pierwszego dnia. Im właściwie nikt nie był potrzebny. Dopiero potem, gdy zabrakło Danko, Wituś poczuł się sam na świecie. I pewnie



wtedy zrozumiał, że nie ma nikogo, że stracił tych wszystkich, którzy go kochali. O mnie pewnie nawet nie pomyślał, bo cóż ja... stara i głupia, ot baba do niczego... Ale brat... Opiekował się nim zawsze, a tym razem nie ocalił...

- Pani Leonko - Władek pochylił się ku staruszce. - Doszła pani wreszcie do sedna sprawy.

- Do jakiego sedna? O czym pan mówi?

- Mówię o tym, co spowodowało chorobę Witolda.

- Więc zna pan przyczynę?

- Sama pani powiedziała, że Witold zawsze opiekował się Bohdanem, a w ostatniej chwili nie ocalił mu życia.

- Bo nie mógł! To przecież Niemcy! - właściwym sobie ruchem zacisnęła ręce. - Ja tylko tak przypuszczam... Wituś pewnie rozpacział i dotąd nie może przeboleć, darować sobie nie może, że nie potrafił uratować Danki.

- Mama jest tego samego zdania. - Zapomniał o jakiegokolwiek ostrożności.

- Rozmawiał pan o tym z mamą?

- Bardzo często. To, widzi pani, jest właśnie ta zagadka, która po rozwiązaniu wyjaśni powody dziwnej choroby Witolda.

- Pan znowu swoje - zaciśnięte ręce zaczęły drżeć. - Cóż w tym dziwnego? Jeżeli tracąc brata, ostatniego z najbliższych, stracił wszystko?

- Nie wszystko, pani Leonko, nie wszystko. Zapomina pani o Erminii Galdi, o dziewczynie, którą kochał. Bo on ją kochał, naprawdę. Nie był to żaden wakacyjny flirt, czy zagraniczna przygoda. To była wielka miłość. Na zawsze. Na całe życie. Pani przecież najlepiej zna Witolda. To poważny chłopiec, prawda? Do swojej włoskiej narzeczonej wysłał z Warszawy dwanaście listów, już podczas okupacji. I wie pani, jak je podpisał? "Zawsze twój". "Zawsze na zawsze twój". Taki człowiek, jak Witold Bielawski, nie rzucał słów na wiatr. Poznaliśmy go na tyle, by wierzyć jego zakłębionym. Zarówno panna Galdi jak i pani dostarczyły nam dość informacji o jego charakterze, usposobieniu, upodobaniach i szlachetnym sercu. A także o miłości i przywiązaniu do brata. Dlatego oboje z mamą sądzimy, że jeżeli tak się załamał po śmierci Bohdana, oznacza to, że w jakiś sposób jest w tę śmierć zamieszany.

- Co też pan!... Wituś zamieszany w śmierć Danki? - Zerwała się z krzesła i oparta o stół patrzyła na Władka, nie mogąc opanować coraz silniejszego drżenia. - Co panu przyszło do głowy? I to pańska mama?...

- Pani Leonko - łagodził. - Tak mama jak i ja pragnęlibyśmy pomóc panu Witoldowi, wyrwać go z tego straszego stanu. Przecież kochał i był kochany. Sam pani wyznał, że czeka go szczęście. A potem nagle wszystko dla niego straciło znaczenie, dziewczyna, miłość... Dlaczego? Czy dlatego, że brat zginął tragicznie? Jego ukochana żyła. Czekwała na niego. A on nie odezwał się do niej słówkiem, nie zawiadomiwszy o niczym, ożenił się z wdową po bracie. Drugi raz muszę zapytać: Dlaczego?

- Nie wiem, nie wiem - Leonka ścisnęła głowę. - Proszę mnie nie pytać. Nigdy. Ja nic nie wiem.

Tego dnia Władek znowu wracał do domu niezadowolony z siebie. Leonkę zostawił na pozór spokojną, ale znał ją dostatecznie, by wiedzieć, że jego rewelacje dostarczyły nowej udręki jej i tak już dość udręczonemu sercu.

Pani Konstancja głośno zgałowała syna.

- Nie mogłem się powstrzymać - tłumaczył - poniosło mnie.

- Ale ona jest chora, nie ma już na to wszystko odporności. Nie zapominaj, że oni nie są dla niej obcy i obojętni, że wszystko, co dotyczy ukochanego Witusia obchodzi ją bardziej, niż jej własne życie.

- Do licha!

- Jutro już o tym nie gadaj. Postaraj się ją rozerwać, żeby zapomniała. Leonka jednak nie zapomniała.

Następnego dnia, gdy wrócili z zakupami i zasiedli na werandzie do drugiego śniadania, pierwsza przerwała milczenie.

- Całą noc myślałam o tym, co mnie pan wczoraj powiedział.

- Zupełnie niepotrzebnie - przerwał gwałtownie. - To wszystko są tylko nasze przypuszczenia, nie mające być może żadnych podstaw. Po co pani się tym dręczy?

- Pańska mama ma rację - chyba nie słyszała jego słów. - Tak musiało być, jak pan powiedział. Na pewno. Ale o tym nie trzeba mówić. Nikomu. To Witusiowi nic nie pomoże. Z czasem, Bóg da, uspokoi się. Ma żonę, ona go nie opuści, zostanie przy nim do końca, gdy mnie już nie będzie. Dlatego umrę spokojna. Jemu nic więcej nie potrzeba, tylko cichego kąta, a ten ma tutaj zapewniony. Zresztą ona nie pozwoli go skrzywdzić.

- Nikt nie ma takiego zamiaru.

- Najlepiej zostawić go w spokoju. Pan mnie rozumie, prawda, panie Władku?

- Ma pani na myśli mnie i moją mamę? Czy zgadłem?

- Zgadł pan. Państwo są bardzo dobrzy i ja jestem wdzięczna. Za wszystko. A pan... Pan dla mnie jak Wituś... - wyrzuciła z nagłą jakąś determinacją. - Ale ja nic więcej nie wiem. Przecież pan widzi, że ja nie wiem. Nie było mnie wtedy z nimi, to skąd mogę wiedzieć? Nikt pewnie nie wie, jeden Bóg... Tak widać musi być, człowiek na to nie poradzi. Ani pan, ani ja... To po co? Po co pan tym sobie głowę zaprzęta? Czy to teraz ważne, jak go zabili? Zabili i koniec. Stało się. Raz na zawsze. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać, dobrze? Przyrzeknie mi pan? I nie będzie się pan gniewał na starą, głupią Leonkę?

- Dlaczego pani tak brzydko o sobie mówi?

- Bo to prawda. A dla pana to ja szczęście wymodłę, bo pan wart. Jaki student chciałby tak przychodzić do starej baby, w ogrodzie pracować, zakupy jej robić? Żeby tu jeszcze jaka młoda panienka czy inna rozrywka... złote serce to nawet Mruczek w panu wyczuł, choć wszystkich się boi.

Po przelotnych deszczach ostatnie dni września błysnęły resztką lata, zarzuciły ogród bogactwem barw.

Władek rozkoszował się tym przedłużeniem wakacji w zupełnie nie miejskich warunkach, korzystając z witusiowego leżaka, z nieodłącznym teraz kotem na kolanach, który tylko czekał, aby chłopiec usadowił się w słońcu.

Trzydziestego Leonka oznajmiła, że krewniaczka sąsiadki zgodziła się robić za nią zakupy.

Pożegnanie więc nie było tak smutne, jak się obawiał, niespokojny o zdrowie starej przyjaciółki.

Leonka jak zwykle odprowadziła go do furtki, przeżegnała i patrzyła za nim, jak szedł ulicą.

Umówili się, że chłopiec wpadnie któregoś ranka, gdy plan zajęć zostanie ustalony.

Władek wracał jednak do domu z ciężkim sercem.

Coś się oto skończyło. Jakaś dziwna przygoda, która wciągnęła go w życie innych ludzi, w sprawy zupełnie dla niego obce i dalekie.

Całe lato znajdował się pod czyimś czarem. Czyim? Tego sam dobrze nie wiedział. Erminii Galdi, Witolda czy pięknej pani Bielawskiej, a może nieżyjącego już Bohdana, którego przecież nie sposób zapomnieć.

Gdyby mu przed rokiem powiedziano, że większą część wakacji spędzi w towarzystwie starej służącej w zachwaszczonym ogrodzie na krańcach Pragi, nigdy by w to nie uwierzył.

A przecież tak się stało. I sam, własną pracą przeistoczył ten zdziczały kawałek ziemi w prześliczny zakątek, a rozmowa ze starą służącą dostarczyła mu wiele nieznanym dotąd wzruszeń i emocji.

I wszystko się zmieniło! Z obcego, wrogiego, stało się bliskie, drogie, prawie własne. I nagle musi rozstać się z tym, czym żył przez ostatnie trzy miesiące.

Dlaczego? I nie będzie mu wolno odwiedzać tego miejsca wówczas, kiedy zechce, jedynie podczas nieobecności gospodarzy. A przecież to on, nie oni, wygnał śmierć z tego cmentarzyska.

Ogród kochał go. Wiedział o tym. Każde drzewo znało jego rękę, każda gruda ziemi poczuła dotknięcie jego łopaty. Poił ją wodą w czasie suszy, karmił tłustym nawozem. A potem patrzył i cieszył się, że ziemia żyje.

A teraz musi odejść.

Tak, smutna była ta powrotna droga z Jabłońskiej do domu, smutna jak po pogrzebie.

Jak teraz potrafi żyć? Czym zapełni myśli i marzenia? Przecież nie ekonomią!

A najgorsze, że matki nie było w domu. Zostawiła karteczkę, wezwano ją nagle do chorego dziecka. Właśnie wówczas, gdy była mu najbardziej potrzebna!

- Nie mógł siedzieć sam. Zjadł naszykowany obiad i wyszedł na miasto. Na rogu Hożej natknął się na panią Konstancję.

- Władek!

- O, mama!

Trudno mu nawet było wypowiedzieć to wszystko, co czuł tego ostatniego dnia wakacji.

Ale pani Konstancja rozumiała. Ona też przeżyła coś podobnego.

W ośrodku, jak zwykle jesienią, było coraz więcej pracy. Grypa, angina, bronchit nie oszczędzały najmłodszych pacjentów. Pani Konstancja wiele czasu spędzała teraz poza domem, przyjmując chorych w ambulatorium, w poważniejszych wypadkach wzywana na domowe wizyty.

Słoneczna wizja grenoblijskiej przygody, zasnuta ciemnymi chmurami północnego nieba, traciła powoli blask i koloryt alpejskiego krajobrazu.

Szary dzień powszedni wymagał nowych wysiłków, podporządkowania się koniecznej rzeczywistości, w niezwykle i jakże ciężkich warunkach po to, aby z okaleczonych ruin wprowadzać nowe życie.

Praca lekarza i obowiązki pani domu trudne były do pogodzenia, niemniej należało dbać zarówno o jedną jak i o drugie. Codzienne zdobywanie żywności, przygotowywanie obiadu, kolacji zajmowały te nieliczne chwile, jakie pani Konstancji pozostawały do jej wyłącznej dyspozycji. Na tak zwane "przyjemności", czy "rozrywki kulturalne" nie było czasu, a nawet i chęci, tak wielkie zmęczenie rzucało ją co wieczór na niezbyt wygodny tapczan.

Mimo braku ostatecznego wyjaśnienia, sprawa Erminii Galdi została definitywnie zakończona. Nic więcej zdziałać nie była w stanie, zajęta cały dzień, gdyby jednak dysponowała wolnym czasem, cóżby to właściwie dało?

Młoda Włoszka, wdzięczna za starania, nie przerywała korespondencji. Barwne kartki z dalekiego Rzymu regularnie co tydzień przynosiły panią Konstancję w świat, który na cztery dni przesłonił jej własne życie. Niepotrzebne to były myśli i należało odpędzać je jak najszybciej. Nie tylko niepotrzebne, ale wręcz szkodliwe, a nawet niezdrowe. Zakłócały spokój, osłabiały wolę, budziły jakąś nieokreśloną tęsknotę. Za czym? Za tym, co było nieosiągalne - odpowiadała sobie.

Z Władkiem działo się coś podobnego.

Do obiadu chłopiec był na uczelni, popołudnia miał zajęte przygotowywaniem się do ćwiczeń dnia następnego. Czasem wypadło jakieś zebranie, spotkanie z kolegami, wspólny teatr czy kino. O "tamtych sprawach" starał się nie myśleć, zbyt go to wytrącało z równowagi.

A przecież życie toczyło się jak dawniej i nic nadzwyczajnego nie zaszło w jego jakże uporządkowanej egzystencji. Z wyjątkiem matczynej podróży do Grenoble.

Grenoble...

Władek potrząsa głową jak ktoś, kto opędza się przed natrętnym owadem.

Wielka aula SGH jest zapełniona zaledwie do połowy. Cisza. Słychać tylko głos profesora. O czym myślą ci młodzi, pochyleni teraz nad notatkami? Przecież nie pasjonuje ich statystyka!

Władek bezskutecznie usiłuje skupić się nad problematyką wykładu. Przepisuje z tablicy cyfry kreślone białą kredą, odnotowuje tytuły publikacji, na które powołuje się profesor.

Siedzący obok Stach czyta właśnie liścik, jaki przysłała Krysia z drugiego końca auli, a Rysiek, jak zwykle, zajęty jest rysowaniem swoich samochodów. Czy śledzi przy tym tok wykładu? Nie wiadomo. Niżej, dwie dziewczyny zawzięcie szydełkują, tak ułożywszy książki na pulpicie, by zakrywały ich pracowite ręce przed wzrokiem profesora.

Ostatecznie wykład nie jest żadną rewelacją. Coś tam z niego wpada w ucho, resztę można wyczytać z podręczników. Co innego lektoraty języków obcych. Tam panuje szkolarski nieledwie system i obecność na zajęciach jest obowiązkowa. W tym roku zapisał się na angielski, to jego trzeci język po francuskim i rosyjskim. Do końca studiów ma nadzieję zrobić jakieś takie postępy. Z francuskim zupełnie nieźle sobie radzi. Jeżeli jeszcze otrzyma wakacyjne stypendium i wyjedzie do Grenoble...

Władek przymyka oczy i wywołuje pod powiekami wizję błękitnego nieba i ośnieżonych szczytów, jak na kartach, które pieczołowicie przechowuje w specjalnym albumie.

Po południu wybiera się na Jabłońską.

Jeździł już tam kilkakrotnie. Za każdym razem oświetlone okna wskazywały, że państwo Bielawscy byli w domu.

Kiedyś wstąpił nawet do sąsiada, tego od królików, by zapytać o Leonkę.

- Nietęgo jej się wiedzie - wymruczał małowówny pan Malec. - Marnie coś wygląda. Ale ma pomocnicę. Robi za nią zakupy. Zamiast pana - błysnęła oczami znad okularów.

- A czy pani Leonka wychodzi do ogrodu?

- Czasem ją widuję. Zielska trochę mi przysłała przez tę swoją pomocnicę. Opatrzyłem jej na zimę krzaki peonii. Bardzo była rada. Pogadaliśmy wówczas chwilę. Ale ja nie mam czasu, pan wie, ile to przy domu roboty. A teraz dzień krótki.

Pewnego wieczoru zobaczył na płocie coś białego. Gdy podszedł bliżej, kot dał o sobie znać cichym mruknięciem. Witali się też serdecznie, jak starzy przyjaciele. Kot nawet odprowadził gościa kawalek, ale nie chciał widać za bardzo oddalać się od domu, a Władek wołał, by bezpiecznie wrócił do Leonki. W każdym razie wiedział, że o nim nie zapomniano.

Dopiero w początku grudnia, gdy wypadły tak zwane "dni rektorskie", mógł bez obawy niezręcznego spotkania udać się przed południem do starego domku.

Dzień był pochmurny, zbierało się jak gdyby na śnieg. Opustoszały ogród wyglądał jak dawniej, zaniedbany i smutny. Ale smutek i opuszczenie to były tylko pozory, Władek wiedział doskonale, że z wiosną znowu ożyje i rozkwitnie, nawet jeśli on nie przyłoży ręki do tego zmartwychwstania.

Zaledwie zastukał do drzwi werandy, kot natychmiast zjawił się za szybą. Za nim dopiero przydreptała Leonka, szczęśliwa i uśmiechnięta.

- Co za radość! - powtarzała nalewając herbatę (drugie śniadanie jedli teraz w "dużym pokoju"). - Aniela mnie wyręcza, wie pan, robi zakupy, a dziś rano w piecu napaliła, na cały

dzień będzie ciepło. Ona biedna, nie ma nikogo, daleka krewna dała jej kąpiel u siebie. Pani Bielawska płaci, to i robi co trzeba, rada, że choć trochę grosza swojego ma. A dla mnie to bardzo wielka ulga. Jak brzydka pogoda, w ogóle z domu nie wychodzę. A jak zechcę, to sobie po ogrodzie pospaceruję, świeżego powietrza chwyć. Boże, jak to dobrze, że pan przyszedł! Proszę jeszcze tych borówek... jabłka nasze własne... Mam i dla pańskiej mamy słoiczek.

Opowiadała o różnych domowych sprawach, o tym, że Wituś spokojniejszy, nawet radia czasem posłucha, że pani Bielawska jeździła służbowo do Włoch, że nie było jej dziesięć dni, że w Rzymie spotkała się z siostrą i przywiozła całą walizkę ubrań. Znalazł się nawet ciepły sweter z miękkiej wełny dla Leonki.

- Niech pan spojrzysz - przyniosła ze swego pokoju, by pochwalić się prezentem. - U nas takich nie ma. Szary kolor w sam raz dla mnie.

- Czy zna pani siostrę pani Lidii?

- Widziałam ją na ślubie Danka. A może i potem ze dwa razy... Wiem, że z jakimiś Włochami wyjechała do Rzymu jeszcze podczas okupacji. Bardzo była ładna, ładniejsza od mojej pani. Wanda jej na imię, a nazwisko ma takie dziwne, bo za cudzoziemca wyszła. Podobno już nie pracuje, ma bogatego męża i piękny dom. Ale jest dobra, o siostrze zawsze pamięta.

- I dotąd mieszka w Rzymie?

- Chyba w Rzymie, bo pani Bielawska tam się z nią widziała. To było w zeszłym miesiącu. Bałam się sama zostać z Witusiem, ale on teraz spokojniejszy.

- Wiedział, naturalnie, że jego żona jedzie do Rzymu?

- No pewnie, że wiedział! A pan to ciągle myśli o tamtej dziewczynie - dodała z pretensją w głosie.

- Nie, nie ciągle.

- Trzeba zapomnieć. Wituś przecież zapomniał. Po co to panu?

- Ma pani rację, pani Leonko, do niczego nie jest mi to potrzebne, ale czasem tak jakoś powraca...

- Nie wolno, nie wolno!

- Dobrze - zgodził się z uśmiechem - nie będę więcej o tym myślał, ale za to proszę opowiedzieć, jak to było na ślubie Danka.

- Nie było tak, jak kiedyś wyobrażałam sobie ślub moich chłopaków. Trudno, wojna, smutek, żałoba. Pan Bielawski, ojciec, już nie żył, pani chora, ale cóż, młodość jak zawsze ciągnie do młodości. Danek był szczęśliwy, zakochany, wzięli ślub rano w kościele Zbawiciela, potem przygotowałam skromne śniadanie. Było coś z dziesięć osób. I to wszystko. Danek od razu przeniósł się do żony, ona tak chciała, a my zostaliśmy w domu z Witusiem. Pamiętam, jak Danek wychodząc powiedział: "Myślałem, że ożenimy się jednocześnie, a ty chyba szykujesz się na starego kawalera". "Wcale nie - zaśmiał się Wituś - niech tylko wojna się skończy, a zobaczysz". Tak wyraźnie to pamiętam. Staliśmy wszyscy w przedpokoju, żegnając państwa młodych. Danek chwycił żonę na rękę i zbiegł z nią ze schodów. Śmiali się, jak gdyby nie było wojny, Niemców i niepewnego jutra.

- Więc Witold powiedział...

- Obiecał pan - przerwała. - Dawnego Witolda już nie ma, a ten obecny zapomniał i nie chce wracać do tego, co minęło.

- Nie, nie, ja nic nie mówię. Może pani być pewna, że dotrzymam obietnicy, tak mi się tylko wyrwało... Po prostu zacząłem głośno myśleć.

- Nie trzeba o tym myśleć - upomniała surowo. - Ani głośno, ani cicho.

Udobruchał ją opowiadaniem studenckich przeżyć. Słuchała chciwie, kiwając czasem głową, jak gdyby sprawy te były jej dobrze znane z jakiejś bardzo odległej przeszłości.

Chyba jeszcze wychudła i zmizerniała. Gdy zapytał, czy bierze jakieś lekarstwa, pokazała żółte pudełeczko.

- To proszki na serce - wyjaśniła. - Pani Bielawska wozila mnie do doktora, jeszcze w październiku. Coś tam podobno szwankuje u mnie w środku - wskazała na klatkę piersiową. - Czasem tu boli, a czasem ciężko oddychać. Ale człowiek musi z czegoś umrzeć, prawda? Wszystko się powoli psuje, a ja już stary grat, do niczego.

Rozstali się bardzo serdecznie. Nazajutrz przyjechał znowu.

Pili herbatę i rozmawiali o rzeczach najzupełniej obojętnych. Leonka robiła projekty wiosennych prac w ogrodzie, chciała posadzić parę drzewek, wykopać starą śliwę, która od kilku lat już nie owocowała.

- Pani Leonko - powiedział przed odejściem - niech pani dba o siebie. Zobaczymy się dopiero w okresie świąt, gdy będę miał ferie. Do tego czasu musi się pani poprawić.

- Mówi pan jak Wituś - uśmiechnęła się wyrozumiale. - Jak gdyby można było tak na poczekaniu wyleczyć się z choroby, co człowieka toczy od lat. A ja już nie ta, co dawniej.

Władek minął ogród, nagi i opustoszały, zamknął za sobą furtkę, którą tyle razy otwierał w oczekiwaniu serdecznego przyjęcia. Wyszedł na ulicę brukowaną teraz grudami zamarzonego błota.

Droga do przystanku wydała mu się niepomiaralnie długa. Peryferyjną pustkę ożywiali z rzadka nieliczni przechodnie, anonimowe postacie, zatracające we wczesnym zmierzchu wszelkie cechy człowieczeństwa.

Dopiero za mostem Poniatowskiego, w ulicach najeżonych jeszcze ruinami, poczuł się naprawdę w Warszawie.

- Leonka bierze jakieś proszki na serce - powiedział matce, gdy zasiedli do obiadu. - Pani Bielawska wozila ją do lekarza. Ma bóle zastawkowe i duszności.

- Zwyczajne objawy anginy pectoris - pani Konstancja pokiwala głową. - Jeżeli będą o nią dbali...

Na kilka dni przed świętami, w porze kolacji, dzwonek w przedpokoju zadzwieczał trzy razy. Tak właśnie dzwoniło do doktor Jankowskiej. Lokatorzy "kołchozu" wypisali na drzwiach, ile razy należy dzwonić do każdego z mieszkańców.

Władek poszedł otworzyć. Na słabo oświetlonych schodach stała pani Bielawska.

- Leonka... - W pierwszej chwili chłopiec nie wiedział, co powiedzieć, nie od razu usunął się, by wpuścić nieoczekiwane gościa. - Leonka chora, tak?

Bez słowa skinęła głową.

- Przepraszam za tak późną wizytę - głos pani Lidii był cichy, może stłumiony bólem czy niepokojem. - Ale Leonka prosiła...

- Co z Leonką?

- Źle, bardzo źle...

- Co tam robisz? - zniecierpliwila się w pokoju pani Konstancja. - Czy ktoś do nas przyszedł?

- Proszę, pani pozwoli - Władek opanował się na tyle, by wskazać gościowi właściwe drzwi.

Pani Bielawska była jak zwykle nienagannie elegancka. Połyskliwe futro, modne "mouton dor~e" i twarzowy kapelusz czyniły z niej zjawisko z innego jak gdyby świata. A torebka z krokodyla zupełnie nie pasowała do nazbyt skromnego wnętrza.

- Pani wybacz, przyszedłam na prośbę Leonki. Pan Władek zostawił adres...

- Dobrze pani zrobiła. Czy Leonka czuje się gorzej?

- Jest bardzo chora... - głos mówiącej załamał się i pani Bielawska musiała sięgnąć po chusteczkę do krokodylowej torebki.

- Serce, prawda?

- Tak. Wezwałam lekarza... Rozwinięta choroba wieńcowa, niewydolność krążenia, dusznica... - recytowała nazwy smutnych objawów, z których każdy nosił w sobie groźbę śmierci.

- Nalej pani herbaty.

- Nie, nie, dziękuję, muszę wracać.

- Pojedziemy razem. Po to przecież pani przyszła.

- Leonka prosiła...

- Proszę chwilę odpocząć i wypić herbatę. - Pani Konstancja podsunęła gościowi cukiernicę.

- Władku, pójdziesz do apteki po tlen. Może być potrzebny. Zaraz wypiszę receptę.

Pani Bielawska bez futra wydawała się jakaś prawdziwsza i bardziej na miejscu w "kołchozowym" pokoju. Siedziała z pochyloną głową, z rękami ułożonymi równo na stole. Podniesione z boku rondo kapelusza ukazywało pulsującą na skroni żyłkę.

- Teraz proszę mi powiedzieć, co zapisał lekarz.

- Nie wiem - pogrzebała w torebce i wyjęła dwie recepty. - Spieszyłam do państwa i nie zdążyłam kupić - tłumaczyła się.

- Syn wszystko załatwi - pani Konstancja wręczyła Władkowi recepty. - Czekamy tu na ciebie. Aha, wstąp do doktora Mareckiego. Jeżeli może, chciałabym, żeby pojechał z nami.

Pani Bielawska piła herbatę szybko, małymi łykami, jak niesmaczne lekarstwo. Potem odstawiała pustą szklankę i oparłszy głowę na rękę zaczęła cicho płakać.

Pani Konstancja uszanowała ten zrozumiały wybuch żałości. Ciężki stan Leonki nie był przecież powodem łez.

- Mój mąż jest do niej ogromnie przywiązany - zaczęła swój bolesny monolog pani Lidia. - Była jego niańką, zna ją od urodzenia. Nie zdawał sobie sprawy ze złego stanu jej zdrowia, a i ja... A teraz rozpacza. Boję się o niego. Właściwie nie powinnam była wychodzić, zostawiać go z chorą, ale nie miałam kogo posłać... A Leonka tak lubi pani syna, ciągle o nim mówi... Jest taki dobry, że robił jej zakupy, że uratował ogród od śmierci... Ja nie wiedziałam, że to pan Władek...

Pani Konstancja taktownie nie wtrąciła żadnego słowa pociechy.

- Śmierć brata doprowadziła go do tego stanu. Był bliski obłądu... - Pani Bielawska zapomniiała chyba o słuchaczce. - Ledwie go uratowałyśmy. A teraz, gdy zaczyna uspokajać się, nowe nieszczęście! Zawsze miał ją przy sobie, przywykł do niej, do jej stałej obecności... Jak zniesie rozstanie? Ten cios może go dobić... Znowu wraca do przeszłości, znowu mówi o tamtym... mówi, że gdyby on żył, Leonce nie stałoby się nic złego. Boże, Boże... Co zrobić? Nie zniosę tego dłużej, nie mogę!... Proszę pani, jak ją ratować? Ona umrze, prawda?

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Bo tak być musi! - wyrzuciła. - Dla mnie zawsze wszystko najgorsze, same nieszczęścia... Ale czemu on? Przecież tamten chciał... Sam chciał... To jego wina, tylko jego wina!...

Panią Konstancję ogarnęło nagłe wzruszenie. Więc to już teraz, tak bez przygotowania, ma stanąć oko w oko z tajemnicą? Wystarczy wyciągnąć rękę, a dotknie tego, co przeczuwała, że istnieje, a było nieuchwytnie jak powietrze. I będzie wiedziała... Nareszcie! Czy to możliwe?

- Leonka nigdy nie chorowała - głos pani Bielawskiej podobny był do szmeru modlitwy - dopiero od niedawna niedomaga... Jest taka słaba, że jak mówi - nie ma siły jeść.

Próbowałam ją karmić, ale nie chce. Co mam zrobić? Przecież nie można pozwolić, żeby umarła z głodu!

- Zabierzemy ją do szpitala.

- Do szpitala? - pani Bielawska podniosła głowę. Jej twarz, mokra od łez, rozpogodziła się na chwilę.

- Tylko w szpitalu będzie można sztucznie ją odżywiać. Dostanie kroplówkę i wszystko co potrzeba.

- Tak, tak, do szpitala... Mój mąż nie patrzyłby na jej agonię, nie widziałby tego straszego umierania... Boże, czy to możliwe, żeby umieścić ją w szpitalu?

- Nie tylko możliwe, to wręcz konieczne.

- Jest więc jakaś nadzieja.

- Jeżeli znajduje się w ciężkim stanie, od razu zawezwę karetkę pogotowia. Trzeba ją ratować.

- Ona nie zechce - twarz pani Lidii jak gdyby zgasła i pociemniała. - Boi się szpitala, niczym piekła. Niedawno zapowiedziała, że życzy sobie umrzeć w domu. O nim zupełnie nie myśli, zapomniała chyba... sobie umrzeć w domu. O nim zupełnie nie myśli, zapomniała chyba... "Nie wyrzucajcie mnie do szpitala, jak zdychającego psa". Tak wówczas powiedziała. "Pozwólcie umrzeć w spokoju, na moim łóżku". Nie mogę postąpić wbrew jej woli. To byłoby okrutne. Dlatego muszę być okrutna wobec niego. Nie ma innego wyjścia. A ja muszę wybierać... Właściwie to nie mam prawa wyboru. Jego muszę poświęcić... dla Leonki. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego wszystko działa na jego zgubę? Komu zależy na tym, żeby go zniszczyć? Czy tak już będzie zawsze? Do końca?

Pani Konstancja bała się spojrzeć prawdzie w twarz. Bo chyba to właśnie była prawda. Inaczej być nie mogło... Żona Bohdana i żona Witolda!...

Pani Bielawska milczała, zakrywszy twarz wypielęgowanymi rękami.

Na paznokciach lśniła purpurowa emalia, a na jednym palcu, obok obrączki, połyskiwał niewielki brylant, osadzony w platynie.

W domu panowała dziwna cisza, jak gdyby mieszkańcy opuścili "kołchoz", ułatwiając niejako decydującą rozmowę. O czym? Co miały sobie do powiedzenia te dwie kobiety, ledwie znajome, które w dalekim Grenoble połączyła wola młodej włoskiej lekarki?

Pani Bielawska oderwała wreszcie ręce od twarzy i sięgnęła po krokodylową torebkę.

- Wiem o kim pani myśli - powiedziała głucho. - O Erminii Galdi. To właśnie jest zemsta... a może kara...

- Panna Galdi zna prawdę. Nigdy nie była pani rywalką. Z chwilą gdy poinformowałam ją, że Witold Bielawski jest żonaty, wszystko zostało wyjaśnione. Jej chodziło wyłącznie o poznanie przyczyny milczenia, o nic więcej.

Lidia Bielawska wyjęła z torebki lusterko i pomadkę do ust. Automatycznie, nie zdając sobie pewnie sprawy z tego, co robi, ze zwykłego przyzwyczajenia, pomalowała usta i poprawiła przekrzywiony kapelusz.

- Dziękuję pani - zwróciła się do gospodyni - i przepraszam. Na początku naszej znajomości źle panią osądziłam. Proszę nie mieć mi tego za złe. Żeby pani wiedziała...

- Wiem - skinęła głową pani Konstancja. - I podziwiam panią. - Nie dodała nic więcej, nie zdążyła, bo właśnie wszedł Władek z lekarstwami, ale bez doktora Mareckiego.

- Złapałem taksówkę - powiedział od drzwi - proszę się pospieszyć.

Domek na Jabłońskiej już teraz okrywała przedwczesna jak gdyby żałoba. Drzwi werandy nie były zamknięte na klucz. Leonka leżała cichutko z białym kotem na kołdrze, przytulonym do nóg. Na widok Władka usiłowała uśmiechnąć się, wyciągnąć rękę.

- Jak dobrze, że pan przyszedł - głos miała nadspodziewanie silny. - Dawno pana nie widziałam. Oboje z Mruczkiem stęskniliśmy się za panem.



- Obiecała pani poprawić się - trudno było wydobyć te parę słów ze ściśniętego gardła.  
- Czułam się zupełnie dobrze, dopiero dziś coś się ze mną stało. Ale to minie... - chude palce objęły dłoń chłopca. - Tak się cieszę, że pan tu jest... Pan nie zapomni o ogrodzie, prawda? I o Mruczku....

- Razem będziemy sadić nowalijki. - Kłamstwo nie miało już żadnego znaczenia.

Pani Konstancja pochyliła się nad chorą.

- Pani Leonko, chciałabym panią zbadać.

- Po co, pani doktor? To przecież niepotrzebne. Mnie zostało mało czasu. Rada jestem, że państwo przyszli, im będzie lżej... Biedny Wituś, taki smutny. Siedział przy mnie, jak pani wyszła, rozmawialiśmy... On musi jeszcze być szczęśliwy.

- Będzie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Jeżeli pani doktor tak mówi... Pani chyba wie najlepiej.

- Pani Leonko, gdyby zgodziła się pani pojechać do szpitala, niedługo wyzdrowiałaby pani.

- Ja i tak wyzdrowieję, a do szpitala nie pojadę, za nic nie pojadę.

- Nawet jeżeli ja tam z panią zostanę?

- Ja chcę być w domu, ze wszystkimi...

- Proszę się nie denerwować, nikt pani gwałtem nie wywiezie. Pragnę tylko wyjaśnić, że w szpitalu są różne urządzenia, które mogłyby pani przynieść ulgę.

- Mnie teraz nic nie boli. Ja chcę być tu, ze swoimi...

- Dobrze, pani Leonko, ale pozwoli się pani zbadać?

- Jeżeli pani doktor każe...

Pani Konstancja wyjęła z neseseru słuchawki i aparat do mierzenia ciśnienia.

Leonka nie okazała najmniejszego zainteresowania tymi przygotowaniami, kot tylko z uwagą śledził ruchy rąk lekarki. Oddech chorej był ciężki i świszczący.

Pani Konstancja sięgnęła po konieczne leki, po czym siadła koło łóżka, zdecydowana pozostać tu całą noc, gdyby stan Leonki nie uległ zmianie.

Po drugiej stronie korytarza, w "dużym pokoju", czuła obecność tamtych dwojga, nasłuchujących w napięciu odgłosów tej ostatniej, z góry skazanej na przegraną, walki.

Wobec formalnej odmowy, chorą - wbrew lekarskiemu sumieniu - należało zostawić w spokoju.

Pani Konstancja nie miała złudzeń, wszystko wskazywało na to, że koniec może nadejść każdej chwili. Jej rola była tu znikoma i choć uważała szpital za najodpowiedniejsze miejsce dla osoby w tym stanie, nie mogła nie przyznać racji Leonce, która wolała "umrzeć u siebie", na własnym łóżku, pod świętymi obrazami, wśród życzliwych i bliskich jej ludzi.

I tak zaczęła się ta długa zimowa noc, której koniec nie zapowiadał, niestety, pogodnego świtu.

Od czasu do czasu do pokoju chorej zaglądała pani Bielawska.

- Nie mogę zostawić męża - usprawiedliwiała się. - Wiem zresztą, że pani najlepiej tu poradzi. W razie potrzeby, proszę mnie zawołać.

- Jak się czuje pan Witold?

- Jest bardzo przygnębiony, ale to zrozumiałe.

Podobny dialog powtórzył się kilkakrotnie.

W "dużym pokoju" słychać było tykanie ściennego zegara i czasem wymienione półgłosem krótkie zdanie. Poza tym, było zupełnie cicho, z ulicy nie dochodził żaden odgłos, o tej porze wszyscy przypuszczalnie już spali.

Leonka zapadła w niespokojną drzemkę, oddech jej stał się tak utrudniony, że pani Konstancja zastosowała tlen. Kot, jakby czując coś złego, posunął się wyżej i przylgnął do ręki chorej.

Władek, skulony na niskim stołeczku, przeżywał raz jeszcze wszystkie etapy swojej znajomości ze starą służącą.

W pewnej chwili chora ocknęła się.

- Wituś... Daneczek...

Na znak dany przez matkę, Władek zapukał do uchylonych drzwi "dużego pokoju".

- Czy pan Bielawski może przyjść? Leonka woła...

Pani Lidia zastąpiła drogę, jak gdyby w obawie, że chłopiec, nieproszony, wtargnie do środka.

- Już idziemy - lekko popchnęła męża w stronę drzwi i Władek po raz drugi ujrzał białowłosą głowę narzeczonego Erminii Galdi.

- Daneczek... Wituś... moje chłopaki najdroższe... - majaczyła umierająca. Straciła chyba przytomność. Wituś i Danek złączyli się w jedną osobę, do której przemawiała najczulszymi słowami.

Witold podszedł do łóżka, nie spojrzawszy nawet na obcych, jak gdyby ich obecność w tym pokoju była zupełnie naturalna.

- Weź mnie za rękę, Daneczku - szepnęła w pewnej chwili chora.

Witold Bielawski posłusznie ujął wychudłą dłoń umierającej.

- Wiesz, co ja myślę? - Leonka szeroko otworzyła oczy. - Ty znowu będziesz szczęśliwy. Zobaczysz. Kogóż ja tu miałam? Tylko was. Wy cała moja rodzina. Wituś i Danek, moje dzieci... Moje chłopaki... - Znowu zapadła w gorączkowy jakiś półsen, w którym dom rodzinny raz znajdował się w kresowej wiosce, a raz na krańcach Pragi.

Witold klęknął przy łóżku i tak nisko pochylił głowę, że czołem dotykał kołdry.

- Wituś, dziecko moje - Leonka znowu otworzyła oczy. Była najzupełniej przytomna. - Pochowasz mnie na Bródnie, dobrze? Koło siostry i szwagra... Tam jest grób... I nie smuć się. Nie zostaniesz sam. Nigdy. Twoja żona to skarb. Ona ciebie kocha. I ja... Nigdy o tobie nie zapomnę. - Wyswobodzając rękę z dłoni Witolda dotknęła twarzy klęczącego. - Pamiętasz, jak kiedyś na wakacjach spadłeś z płotu i złamałeś rączkę? Wieźliśmy ciebie do doktora dziesięć kilometrów... A ty, biedulku, płakałeś i płakałeś...

Biała głowa w milczeniu uczyniła potakujący gest, wtulając się głębiej w pościel.

- Proszę pani - Leonka wzrokiem poszukała pani Lidii. - W szafie jest czarna suknia i pantofle... Proszę mnie w tym do trumny... Przepraszam za kłopot, ale to już ostatni...

Pani Bielawska nie zdołała powstrzymać łez.

Chorą wstrząsnął nowy atak bólów i duszności. Pani Konstancja szybko przygotowała tlen.

Witold nie spuszczał oczu z siniejącej twarzy. Może coś ciągnęło go do tego widoku, może pragnął zmierzyć się z nadchodzącą śmiercią?

- Leonka... - powiedział nagle. - Przecież ty nie umrzesz! Nie zostawisz mnie... Byłaś zawsze z nami, od początku. A teraz... Jakże to możliwe?

Nie wiadomo, czy Leonka słyszała. Była już chyba zajęta czymś znacznie ważniejszym, czymś, co ją bardziej nawet absorbowało niż ukochane "chłopaki". Ułożona wysoko na kilku poduszkach oddychała z coraz większą trudnością.

- Nie, nie mogę, nie mogę! - krzyk Witolda wstrząsnął obecnymi. Leonka otworzyła oczy i popatrzyła przytomnie na swego wychowanka.

- Danek... - Nikt już nie usłyszał tego imienia, raczej można je było odczytać z ułożenia warg. Witoldowi nie starczyło siły, by zostać do końca. Zerwał się i wybiegł z pokoju.

Pani Lidia podążyła za mężem.

Matka i syn znowu byli sami ze śmiercią.

Kot, który zdawał się spać przytulony do boku umierającej, raptem wstał, wygiął grzbiet i miauknął. Po czym posunął się jeszcze wyżej i legł na piersiach Leonki.

- Idź stąd! - Władek chciał pochwycić zwierzę, ale pani Konstancja powstrzymała rękę syna.

- Zostaw go. On już jej nie ciąży.

- Jak to? Czy?...

- Nie żyje. - Powiedziała uroczyście matka i zamknęła lekko uniesione powieki zmarłej.

Leonka leżała tak cicho, jak gdyby spała. Kot wtulił pyszczek w złożone ręce, w które pani Konstancja wsunęła ostrobramski obrazek.

Władek klęknął na tym samym miejscu, gdzie niedawno klęczał Witold. Od czasu Powstania była to pierwsza śmierć, jaka stanęła na jego drodze.

Przez te ostatnie lata otrząsnął się z wojennego koszmaru. Życie znowu było piękne. Znowu nadchodziła wiosna, wakacje, wreszcie zaczynał się rok najpierw szkolny, potem akademicki. Świat powracał do jakiegoś takiego porządku.

I nagle Leonka umiera. A on więcej tu nie wróci. Nie będzie miał prawa. A Mruczek? Jaki los go czeka? Leonka poleciła kota jego opiece, tak samo jak ogród. Ale co na to powiedzą państwo Bielawscy? Przecież to teraz ich własny dom.

W "dużym pokoju" zegar wybił trzecią. Ciszę mącił tylko jękliwy oddech śpiącego kota, którego nawet we śnie nie opuszczał ból po stracie ukochanej opiekunki.

Leonka już nie cierpiała. Zrzuciła z siebie stare, znoszone ubranie, zniszczone ciężką pracą, latami trudów i wyrzeczeń. Zostawiła wszystko, co było jej życiem, jej miłością i przywiązaniem, jej poświęceniem i obowiązkiem. I poszła.

Mały pokój wypełniła cisza, jaka towarzyszy rzeczom ostatecznym.

Jak przedtem Witold, tak teraz Władek oparł czoło o brzeg łóżka. Czuł, że utracił coś bardzo cennego, coś, co stało się w jakiś sposób częścią jego duszy. Ta jego cząstka nigdy nie opuści tego domu, tej sypialni, skąd odeszła Leonka. Wszystko, co tu przeżył pozostanie w nim na zawsze. Bo oto stał się świadkiem czyjś życia i śmierci, trwania i końca.

Do pokoju wsunęła się na palcach pani Bielawska.

- Jak Leonka?... - ujrawszy kota na piersiach zmarłej, zrozumiała.

- Musimy ją ubrać, jak sobie życzyła. - Pani Konstancja umyślnie mówiła jak najbardziej "lekarskim" tonem. - Zanim nastąpi rigor mortis i ciało zeszytywnieje. A ty - zwróciła się do syna - jeśli pani pozwoli, pójdź do kuchni i zrób nam herbaty. Bardzo tu zimno.

- Ależ tak, naturalnie, to ja właściwie powinnam...

- Pani tu będzie potrzebna. Sama nie dam rady.

Kuchnia pełna była jeszcze obecności zmarłej. Wszystko stało w największym porządku, znak, że poprzedniego dnia nikt tu nie gotował. Bez Leonki w tym domu zamierało życie. Władek postawił czajnik na elektrycznej maszynie i siadł obok, grzejąc skostniałe ręce. Pomocnica napaliła w piecach, ale przez noc ciepło wywiało, a na dworze chyba był mróz. Czekał, aż woda zagotuje się, nie mogąc wprost uwierzyć, że Leonka nigdy już nie wejdzie do tej kuchni, nie powie tajemniczo: "Dziś mam dla pana coś dobrego, panie Władku". Przygotował szklanki - doskonale przecież wiedział, gdzie co stoi - wreszcie zapukał do sypialni zmarłej.

Leonka w czarnej sukni i odświętnych pantoflach wydała się dłuższa niż za życia. Kot leżał przy niej, wodząc błyszczącymi oczami po obecnych.

- Herbata gotowa - Władkowi wydało się wysoce niestosowne mówić o herbatce w tym miejscu śmierci.

- Proszę do kuchni - pani Bielawska przypomniała sobie o obowiązku gospodyni. - Państwo wybaczą, że nie proszę dalej, ale mój mąż...

Witold nie był jeszcze poinformowany o nieszczęściu, chyba że posłyszał, o czym rozmawiano w pokoju zmarłej.

Pani Lidia niezręcznie nalewała herbatę, trzęsącymi się rękami kroić chleb, wyjmowała z kredensu talerzyki ze złoconymi brzegami.

- Zjrzyj na chwilę do męża - ustawiła na tacy szklankę i wyszła z kuchni.

- Co teraz zrobimy? - Władek poczuł się nagle dziwnie obco w tym na powrót wrogim domu. Wraz z odejściem Leonki zmieniła się atmosfera tego miejsca. Znowu, jak na początku ich znajomości, było ono niechętnie intruzom, chłodem i milczeniem odpychało niepożądanych gości.

- Pójdziemy stąd, gdy nastanie dzień. Zresztą pewnie będziemy im potrzebni. Należy wystawić świadectwo zgonu... No i formalności pogrzebowe...

- Tak mi ciężko - poskarżył się. - Nie mogę wprost uwierzyć, że Leonki tu nie ma. A oni...

- To ludzie nieszczęśliwi. Widzisz, jak przeżywają jej śmierć. Dla Witolda to cios.

- Co oni tam robią?

W dużym pokoju było równie cicho, jak w sypialni zmarłej. Po dłuższej nieobecności wróciła pani Lidia z opróżnioną tacą. Powieki miała zaczerwienione, z twarzy zeszły resztki makijażu. Wyglądała źle, jak każda przeciętna kobieta zmęczona nieprzespaną nocą i trudami ciężkiego dnia.

Pani Konstancja wysłała ją wraz z Władkiem do Leonki, by zmarła nie leżała sama. Podczas ich nieobecności kot czuwał wiernie przy zwłokach.

Rozpalona spirala elektrycznej maszyny promieniała łagodnym ciepłem. Woda w czajniku szumiała tak uspokajająco, jak gdyby przez ten dom nie przeszła śmierć, okrywając mieszkańców żałobą.

Pani Konstancji wydało się nagle, że oto trzyma w ręku los tych dwojga ludzi, osieroconych odejściem starej służącej, że od niej zależy ich dalsze życie, ich szczęście. Ale żeby im pomóc, musi zdobyć pewność, musi być pewna, że się nie myli, że jej diagnoza jest słuszna.

Uchylone drzwi "dużego pokoju" nawet nie skrzypnęły, gdy je otworzyła. Z sypialni Leonki dobiegał cichy szmer rozmowy, a może modlitwy. Ścienny zegar wskazywał za dziesięć piątą. Światło stojącej na zniszczonym biurku wysokiej lampy, okrytej kremowym abażurem padało na siwą głowę siedzącego pod nią mężczyzny.

Nie zwrócił uwagi na wchodzącą, myślał pewnie, że to żona.

Pani Konstancja zatrzymała się, niezdecydowana, przestraszona własną śmiałością, szaleństwem kroku, na jaki się ważyła.

Bo już rozumiała. Wiedziała, jaka jest prawda. Jak mogła tak długo być ślepa i głucha, gdy wszystko wskazywało na jedno tylko możliwe rozwiązanie.

Tak, istniała tylko jedna możliwość, tłumacząca wszystkie niepojęte dotąd fakty. Tylko jedna, i ona ją znała. A Leonka?... Czy wiedziała?

Postąpiła krok naprzód w stronę białowłosego mężczyzny. Nie odwracał głowy. Nie był widać ciekawy.

Znowu zastygła w bezruchu z mocno bijącym sercem, gotowa do zadania śmiertelnego może ciosu.

Było to jednak konieczne. Tylko w ten sposób zdobędzie pewność, potwierdzi diagnozę, w słuszność której nie wątpiła już. No i uratuje ich...

- Przepraszam pana...

Mężczyzna drgnął i obrócił się twarzą do nieproszonego gościa.

Widziała wyraźnie jego oczy. Szeroko otwarte. Przerażone, a może po prostu zdumione tym nagłym wtargnięciem obcej osoby na teren dla niego tylko przeznaczony.

- Przepraszam pana - powtórzyła głośniejszym głosem i podeszła bliżej siedzącego.

Wpatrywał się w nią, szukając w pamięci, kim mogłaby być i co robiła w tym domu.

- Leonka - zaczęła niepewnie.

- Leonka nie żyje. A ja chciałabym zadać panu jedno pytanie.

Przyglądał się jej z coraz większym zdumieniem.

- Proszę...

- Czy pamięta pan włoski wiersz, którego kiedyś w Grenoble nauczyła pana Erminia Galdi?

Zaczął się tak: "Rondinella pellegrina..."

- Rondinella pellegrina? - powtórzył, a potem nagle wstał.

Pani Konstancja poczuła chłód w sercu. Ale nie wahała się już.

- Zawsze wiedziałem, że w jego życiu była jakaś dziewczyna - powiedział to dziwnie nieswoim głosem. - A więc to ta Włoszka, Erminia Galdi... - i spojrzał prosto w oczy pani Konstancji.

- Tak, Erminia Galdi. A pan...

- Pani wie?

- Wiem.

- Kim pani właściwie jest i co pani tu robi?

- Jestem lekarką. Pańska żona wezwała mnie do Leonki.

- A ... Erminia Galdi?

- Z Erminią Galdi spotkałam się tego lata w Grenoble. Zupełnie przypadkowo. Na zjeździe lekarzy. I od niej dowiedziałam się...

- Nic mi nigdy nie powiedział... raz tylko... i to bardzo ogólnikowo.

- Kochał ją.

Zbladł tak, że twarz zlała się prawie z białą włosów. Patrzył gdzieś wysoko ponad głowę pani Konstancji.

- Był z nią zaręczony. Po wojnie mieli wziąć ślub.

- Kochał ją... A ona?

- Czekala na niego. Podczas wojny wysłał do niej dwanaście listów. Przez jakąś okazję. Dostała je. Podpisał po włosku: "Zawsze, na zawsze twój". Po wojnie nie dał znaku życia. Nie mogła dłużej znieść takiej niepewności i prosiła mnie... Miałam dowiedzieć się, zbadać sprawę na miejscu. Byłam dla niej wysłanniczką Opatrzności. Zwróciła się nawet do polskiej ambasady. Od pańskiej żony, podczas jej pobytu w Rzymie, dostała list z wiadomością, że Witold jest żonaty. Nie chciała wierzyć. To przecież nie było możliwe, żeby on... I miała rację. To nie było możliwe. On nie zapomniałby. Nie mógłby się zmienić. Pan wie. Pan przecież znał go najlepiej.

- Czy ja go znałam? - Pochylił głowę i stał jak winowajca, z opuszczonymi rękami, a światło lampy srebrzyło siwe włosy.

- Teraz wszystko musi być dobrze. - Pani Konstancja usiłowała opanować drżenie głosu. - Powinien pan zapomnieć i zacząć nowe życie. I pan i pani Lidia. Będę szczerą i wyznam, że jestem rada z takiego wyjaśnienia. Witold pozostał sobą. A to chyba najważniejsze.

- Pewnie ma pani rację, ale ja...

- Pan jako Witold musi upodobnić się do brata. Pod każdym względem - dodała z naciskiem.

Pokręcił przecząco głową, a potem obronnym gestem wyciągnął przed siebie ręce.

- Nie nadaję się do tej roli - wybuchnął. - Nie dorosłem do jego miary. Zbroja tego rycerza o wiele na mnie za obszerna. Nie, nie, to nie dla mnie - oparł się o wystygły piec. - Czego pani właściwie chce?

- Chcę panu pomóc, nic więcej.

- Pomóc? Nikt mi nie pomoże.

- Myli się pan. Taka przecież była jego wola. Pan nie jest winien, nie mógł pan przeszkodzić...

- Mogłem! - krzyknął. - Ale bałem się.

Do pokoju weszła pani Lidia zaalarmowana podniesionym głosem męża, a ujrawszy panią Konstancję, powiedziała z wyrzutem:

- Przecież mówiłam pani...

- Nie mogę dłużej milczeć, skoro znam prawdę. - Pani Konstancja odważnie wytrzymała wzrok przeciwniczki. - Dla dobra pana Bohdana sprawę należy wyświecić do końca. Przymierzam, że nikt o tym się nie dowie, ale pani mąż powinien zrzucić z siebie ciężar winy. Chcę być trybunałem, przed którym oczyści się i znowu poczuje się wolny. To jego jedyna szansa.

- Witku, Witku - pani Lidia pochwyciła rękę męża. - Czy zastanowiłeś się, co robisz? Jakie mogą być następstwa...

- To jedyna skuteczna terapia - przerwała pani Konstancja. - Proszę mi wierzyć. Leonka także pragnęła szczęścia pani męża...

- Leonka - Bohdan siadł przy biurku. Może brak mu było siły do ostatecznej rozgrywki z samym sobą i z cieniem. - Leonka wiedziała, choć nigdy nie dała tego poznać. Dopiero w chwili śmierci. To ja złamałem rękę w dzieciństwie, nie Witek. Jej nie można było oszukać. Znała nas od urodzenia. Wiedziała, że on zawsze był bohaterem, a ja tchórzem.

- Nie mów tak!

- Kiedy to prawda. Wiesz o tym dobrze. Byłaś wówczas z nami.

Pani Bielawska skurczyła się jak po uderzeniu.

- Nie chcę tego wspominać, nie chcę, nie mogę!

- A ja to przeżywam każdej nocy - zawołał. - I też mam tego dość. Muszę mówić, rozumiesz? Muszę to mówić komuś, kto nie jest ani tobą, ani mną, ani nim. Komuś obcemu. Nie powiedziałem nawet Leonce... Ona mnie kochała, dlatego musiałem milczeć. Nie byłaby bezstronnym sędzią. A ja chcę, żeby między mną a nim znowu wszystko było tak jak dawniej, chcę pozbyć się ciężaru, który rzucił mi na plecy, przygniatając mnie swoją wielkoduszością, poświęceniem, odwagą. Pokazał, jaki jestem przy nim marny i godny pogardy. Jeżeli tego nie powiem, znenawidzę go na zawsze. Wiem, uratował mi życie, nic innego nie robił od początku wojny. Bo mnie znał, bo wiedział, jak boję się śmierci. To nie moja wina, że taki jestem. Nic na to nie poradzę. To silniejsze ode mnie.

Bohdan rozdygotany, choć pozornie spokojny, wstał i zaczął krążyć po pokoju.

"Jak Erminia Galdi!" - w pani Konstancji odżyło wspomnienie sypialni z ulicy Vieux Temple.

- A czy wiesz, co czuję, gdy nazywacie mnie jego imieniem? - głos mówiącego drżał. -

"Witek... Wituś... Witeczek..." Krzychałbym, tak go wówczas nienawidzę. Zdarłbym z siebie jego piętno, tę straszliwą szatę Dejaniry, która mnie spaliła. Bo to już nie ja, ale i nie on... Mnie nie ma, on mnie zabił. A dawniej byliśmy jak jedno... Witek i Danek. Ta sama twarz, ten sam człowiek w dwóch egzemplarzach. Powiedz, czy przesadzam? Obu nas widziałaś razem. Ale ty, jak Leonka, nigdy nie pomyliłaś się. Wiem, kochałaś mnie...

- Kocham cię - wyszlochała - zawsze cię kocham.

- I ja kocham ciebie, a mimo to z twego życia uczyniłem piekło. Możesz mnie przeklinać, masz prawo. Ale to jego wina, tylko jego. On mnie zniszczył. A ja muszę być nim!

Pani Lidia nie mogła dłużej znieść tej sceny.

- Witku, zlituj się, proszę cię, po co rozgrzebujesz dawne sprawy? Przecież nic już nie można zmienić. Tak być musi, musi!

- Nie nazywaj mnie tak! Czy dla ciebie też przestałem być sobą? Dawno skończyłbym z tym życiem, gdybym nie był tchórzem. Słyszysz? Ale na śmierć trzeba odwagi, wiele odwagi, a tego zawsze mi brakowało. Wówczas, gdy Niemcy mnie aresztowali... Pamiętasz? Bałem się, tak strasznie bałem się, bo wiedziałem, co mnie czeka. Wiedziałem? O nie, tego nawet wyobrazić sobie nie można, to trzeba zobaczyć, przeżyć... trzeba było znaleźć się tam, w podziemiach Alei Szucha, w tym miejscu, gdzie Niemcy przestawali być ludźmi. A ja... Czy możesz mnie winić, że zgodziłem się na wszystko? Że podpisałem, co mi podsunęto do podpisu? Czy ktokolwiek ma prawo obwiniać mnie za to? Stamtąd nikt nie wychodził żywy, nikt... Chyba, że jak ja... - ukrył twarz w dłoniach i siedział pochylony, jak gdyby zapomniał o słuchających go kobietach.

Pani Konstancja zrezygnowała z walki. Musiała wysłuchać wszystkiego. Do końca. Bo to i dla niej było przeznaczone. A może przede wszystkim dla niej?

- Nie byłem zdrajcą. - Bohdan oderwał ręce od twarzy i podniósł głowę. - O nie. Nie miałem zamiaru. Nie wróciłem do domu. Ukrywałem się. Ale znaleźli mnie. Wszędzie mnie znaleźli. Nawet nie grozili. Byli grzeczni tą straszną grzecznością, która ma za sobą siłę. Przypomnieli umowę. Nic więcej. Wróciłem do domu. Zacząłem niby normalne życie. Ale czy to było życie? Czuję, że mnie śledzą. Nawiązałem dawne kontakty. Kazali. Musiałem być posłuszny. Tak, musiałem. Inaczej... - wstrząsnął się i wzrokiem poszukał oczu pani Konstancji. - Pani mnie rozumie?

- Rozumiem - powiedziała bezdźwięcznie, myśląc o Stachu, który tam w podziemiach Alei Szucha...

- Pewnego dnia na Szpitalnej zaczepił mnie tajniak. Doskonale mówił po polsku. Powiedział: "Wstąpmy na chwilę do tej bramy". Co miałem robić? Poszedłem za nim. A on zapytał: "Dowiedział się pan czego?" "Dowiedziałem się", odparłem i podałem adres. Mieszkanie Tola. Wszystkich tam nakryli. Ale nie byłem Judaszem. Nie zrobiłem tego za pieniądze, tylko za życie. Za własne życie. Czy to grzech? Każdy człowiek broni swego życia. Tak i ja... Ale nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Myślałem, że oszaleję. Ciągłe widziałem Tola i tych, co u niego zbierali się... Widziałem ich na Szucha... w tych piwnicach... Słyszałem... Boże, czy to nigdy się nie skończy? A w miesiąc potem drugi raz... Sklep Maćkowiaka. Gestapo zgarnęło tam pięć osób. I to ja... Polak. Bohdan Bielawski. Wydałem ich. Na męki. Żeby ratować siebie. To podłość, prawda? Najniższa, najohydniejsza podłość, jaka istnieje. Wiem o tym. Ale nie miałem innego wyjścia. Chciałem nawet zwierzyć się jemu, prosić o radę, o ratunek. Zawsze mnie ratował. Od tego był. Ale bałem się, bałem się, że tym razem mnie odepchnie, odwróci się z obrzydzeniem, jak od gada. I milczałem. Robiłem plany ucieczki. Coraz bardziej nieprawdopodobne. Niewykonalne. Zresztą dokąd miałem uciekać? Gdzie mogłem się skryć? Mieli mnie w ręku. Wiedziałem o tym. Byli wszędzie i wszędzie mieli oczy. Poddałem się. Nie miałem więcej okazji do zdrady. Nasi zrozumieli.

Cisza, jaka teraz nastąpiła, była bardziej przerażająca, niż to straszliwe wyznanie.

Pani Bielawska osunęła się na mały stołeczek w kącie koło pieca i płakała.

Pani Konstancja zastygła w bezruchu na niewygodnym krześle, zdrętwiała z zimna w lodowatym chłódzie zimowego ranka.

W powietrzu dźwięczały ciągle ostatnie słowa Bohdana: "Nasi zrozumieli". Pani Konstancja również zroszyła. Wiedziała już, jakie było zakończenie. Właściwie mogła teraz wstać, zawołać Władka i opuścić ten straszny dom. I nigdy więcej nie wracać na ulicę Jabłońską.

Cichy jednostajny płacz Lidii Bielawskiej bardziej działał na nerwy niż wszystkie usłyszane dotąd rewelacje. Bo tamto było już przeszłością. Minęło wraz z Niemcami, wojną i okupacją. I nigdy nie mogło się powtórzyć. Nie miało prawa. Bohdan, równie jak więźniowie getta, Oświęcimia czy Kołomy był ofiarą, niczym więcej, tragicznym wytworem tamtych czasów, produktem nieludzkiego systemu. Czy jednak dotychczasowa pokuta zrównoważyła winę? Czy jej ciężar odpowiadał okrutnej śmierci ośmiu osób?

Nie miała odwagi spojrzeć na Bohdana. Nie miała odwagi przerwać niepokojącego milczenia. Kryło się za nim coś tak smutnego, że podobnie jak pani Bielawska mogłaby płakać do końca życia nad tragedią tego człowieka i nigdy nie zabrakłoby jej łez. Wiedziała, że musi otrząsnąć się, wyjść z tego pokoju grozy, wrócić tam, gdzie leżała Leonka. Tam była cisza i spokój, tu śmierć i żałoba.

Zatrzymała ją litość. Uczucie tak silne, jakiego nigdy dotąd nie doznała. Nie miała prawa zostawić tych dwojga. Leonka ufała jej, wierzyła, że im pomoże. Opiece Władka poleciła przecież ogród i kota. A czyż osieroceni mieszkańcy tego domku nie byli ważniejsi?

Myśl o Władku poderwała ją z miejsca. Co tam robił, sam w pokoju zmarłej. Jak mogła zostawić go, zapomnieć nieledwie o jego istnieniu? I czy słyszał...?

Bez słowa skierowała się do drzwi.

Władek, błąd z przerażeniem w oczach, stał w korytarzu.

- Mamo, chodźmy stąd, już ranek.

Ręką nakazała mu milczenie.

- Idź do kuchni i przygotuj herbatę. Nie możemy ich teraz opuścić.

Zajrzała do pokoju zmarłej.

Leonka w czarnej sukni z białym kotem przy nogach miała twarz tak pogodną, jak za dawnych czasów. Śmierć starła z niej smutek i zmęczenie, wygładziła zmiętą skórę, usta złożyła w prawie uśmiech. Ręce - pierwszy raz bezczynne - utrzymała w modlitewnym geście osiągniętej wieczności.

Zanim wróciła do "dużego pokoju", pani Konstancja weszła do kuchni.

Władek grzał się przy elektrycznej maszynie. Na stole stały brudne szklanki i używane talerze.

- Zostań tu, proszę cię i posprzątaj. Ja muszę jeszcze do nich. Potem ci wytłumaczę...

- Słyszałem... Mamo, czy to możliwe?

- Wszystko, dziecko, jest możliwe. Ale ich trzeba ratować. To ostatnia chwila.

Nieobecności jej chyba nie zauważono.

Zarówno Bohdan jak i pani Lidia nie zmienili pozycji, zatopieni we wspólnej przeszłości, która nie chciała minąć.

- Zaraz będzie herbata - dotknęła ramienia pani Bielawskiej. - Muszą państwo wypić coś gorącego.

Bohdan nie słyszał tego, co powiedziała, bo nagle zwrócił w jej stronę udręczoną twarz.

- Byłem niebezpieczny. Zacząłem bać się nie tylko Niemców. On chyba coś przeczuwał, raz zapytał, czy mam jakie podstawy do obaw. Wyśmiałem go. Oświadczyłem z brawurą, że boję się cały czas, ale od aresztowania nie mówiłem prawdy. Nikomu. Gdy wróciłem, skłamałem, powiedziałem, że udało mi się zbiec w drodze. Dlatego ukrywałem się. Uwierzył. Śledzili mnie jedni i drudzy. Nie wiem, jak wytrzymałem. Gdy wreszcie przyszli, odczułem ulgę. Ale tylko na chwilę. Byłaś wówczas w domu, pamiętasz? To ty otworzyłaś drzwi. Właśnie odwiedził nas Witek. Pamiętasz, prawda? Szłaś do kuchni, wtedy zadzwonili. Byłaś w przedpokoju, dlatego ty otworzyłaś. Pamiętasz? Powiedz, przecież musisz pamiętać.



- Pamiętam - zerwała się i stanęła wyprostowana, jak aktorka gotująca się do wypowiedzenia najważniejszej kwestii w kulminacyjnej scenie.

Twarz miała szarą. Nie pozostało na niej śladu po pięknej Lidii Bielawskiej.

- Pamiętam - powtórzyła. - Tak, to ja otworzyłam drzwi. Było ich trzech. Zapytali, czy Bohdan Bielawski jest w domu. Chciałam powiedzieć, że go nie ma, ale nie zdążyłam. Dwóch z nich weszło do przedpokoju. Trzeci został na schodach. W ich wyglądzie było coś takiego, że nogi zaczęły mi drżeć. A przecież nosili zwykłe ubrania, takie jak wszyscy, i wiedziałam, że to Polacy. A oni poszli prosto do stołowego, jak gdyby znali rozkład mieszkania. Zawołałam: "Zaczekajcie, męża..." - chciałam w ten sposób ostrzec Danka, ale jeden z nich odwrócił się i powiedział: "To daremne, proszę pani. Na kuchennych schodach też stoją nasi". Cóż miałam robić. Nie rozumiałam jeszcze niczego. Nie zdawałam sobie sprawy... - zamilkła na chwilę. - Witek i Danek siedzieli przy stole. A oni weszli, stanęli i patrzyli to na jednego, to na drugiego. Nikt ich nie mógł odróżnić. - Znowu zamilkła, a pani Konstancja ujrzała wyraźnie tego drugiego, tego z fotografii z Vizille, siedzącego na trawie obok Erminii Galdi. - Witek i Danek wstali także. "Czego panowie sobie życzą?" - spytał Danek. "Który z was jest Bohdanem Bielawskim?" "Ja", odpowiedział szybko Witek, nie patrząc na nikogo. Wówczas jeden z nich rozwinął papier i zaczął czytać. Boże, czy takie rzeczy były możliwe? Bo to był wyrok. Z rozkazu Rzeczypospolitej Polskiej. Patrzyłam na Witka. Nie podnosił oczu. Słuchał. A oni zapytali, czy jest gotów. Skinął głową i odrzekł wyraźnie - "Tak, chodźmy". Nie mogłam dłużej milczeć, nie mogłam na to patrzeć. "Nie pozwalam - krzyknęłam. - To jakieś straszne nieporozumienie". "Niestety, to prawda. Bohdan Bielawski wie o tym najlepiej". I wyprowadzili go. Wychodząc, wyjął portfel i rzucił na stolik. A potem powiedział: "Żegnajcie". Nazajutrz w pobliskich ruinach znaleziono jego ciało. Zginął od kuli.

Dopiero po dłuższej chwili pani Konstancja zdecydowała się podnieść oczy na Bohdana. Siedział z łokciami na biurku, z głową w dłoniach.

- Tak było - powiedział głucho. - Strach przed śmiercią prawie mnie obezwładnił. Gdy Witek odpowiedział "ja", nie miałem siły zaprotestować. A on wziął na siebie moją winę. To ja go zabiłem. - Przestał mówić, jak gdyby zbierał siły do cięższych jeszcze samooskarżeń. - Patrzyłem na niego, ale on unikał mego wzroku. Wiedział przecież, że mogę zrobić wszystko, byle tylko uratować życie. Nie chciał tego. Chciał, żeby zdrajca Bielawski potrafił choć umrzeć jak mężczyzna. Wiem. Ja też go znałem. Dlatego milczałem. A on może czekał... Przez wszystkie te lata, co dzień, co noc, zadawałem sobie to pytanie. A jeżeli on czekał, do ostatniej chwili, nawet już będąc na schodach... Czekał... Boże, co myślał o mnie, gdy umierał?

W kuchni wszyscy czworo pili herbatę, grzejąc ręce przy gorących szklankach. Potem Władek z panią Lidią poszli załatwiać formalności pogrzebowe.

- I co pani o mnie myśli? - zapytał Bohdan, gdy zostali sami. - Szmata...

- Nie, panie Witoldzie. Nie każdy zdołał udźwignąć to, co wypadło mu nieść. A on pana kochał. Zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli. Tak chciał. I chciał panu dać czas na pokutę. I na zadośćuczynienie.

- Na zadośćuczynienie? A cóż ja mogę? Oni nie żyją... a ja nie umarłem.

- Czy myśli pan, że najcięższą karą jest umieranie? Czasem śmierć bywa wybawieniem, a najsroższą karą życie. Jest pan młody i nie wiadomo, co jeszcze przed panem, komu będzie pan potrzebny i do jakich zadań jest pan przeznaczony.

- Ja już nic nie zdziałam. Nie zdążę.

- Dlaczego?

- Wydano na mnie wyrok. Po raz drugi. Z tym, że teraz nikt nie będzie mógł ofiarować za mnie swego życia. I ja sam...

- O czym pan mówi?

- Po polsku to się nazywa białaczka, z grecka leukemia, a w medycznej łacinie leucaemia. Jest pani lekarzem, więc pani wie.

- Wiem.

- Pozostało mi kilka miesięcy, najwyżej pół roku. Jak dotąd nie ma na to lekarstwa. A cóż można zrobić w ciągu pół roku? Powie pani, że bardzo wiele. Można przewrócić świat do góry nogami i tak dalej. Ale nie w mojej sytuacji.

- Panie Witoldzie...

- Myślę o niej. Zostanie sama. Teraz Leonka, a wkrótce ja. I ona...

- Ma siostrę.

- Tak. We Włoszech.

- Mogłaby więc...

- Nie, nie, wiem, że nie zechce. Zostanie tu, w tej ruderze. Sama.

- Czy wie, że pan...?

- Wie. Widzi pani, jaki jestem nędzny. Nie miałem siły ani odwagi samemu nieść ten ciężar. Zresztą dowiedziałyby się od lekarza.

- Czy to... pewne?

- Tak.

- I wszystkie badania...

- Tak. Potwierdziły to.

- Więc pani Lidia....

- To bohaterka. Gdyby nie ona...

- Rozumiem.

- Nie wiem, czy wszystko pani rozumie. Jest przecież Witek i ta włoska dziewczyna.

- Erminia Galdi.

- Tak. Erminia Galdi.

- Będzie z niego dumna, gdy się dowie.

- Dowie się?

- Musi. Na pamięci Witolda nie powinien pozostać najmniejszy nawet cień. Jest pan to winien bratu.

- Bratu... Witek... Witek! - Wtulił głowę w ramiona i zapłakał.

Nareszcie! - pani Konstancja odetchnęła.

W domu panowała absolutna cisza, przestał nawet tykać nie nakręcony zegar.

- Widzi pani - powiedział nagle. - Jaki jestem spokojny. Przestałem się bać. Leonka pogodziła mnie ze śmiercią. Myślę wyłącznie o niej... o Lidii... Bardzo pani mną gardzi...

- Ależ nie, mówiłam już panu. Gdyby nie wojna...

- Tak, gdyby nie wojna...

Spotkali się raz jeszcze na cmentarzu.

- Co napiszesz Erminii? - spytał Władek, gdy po smutnej ceremonii wsiedli do tramwaju i przemierzali niesprzątane ulice zavalone grudami zmarłego śniegu.

- Prawdę. On przecież był bohaterem. Nie zawiódł jej.

- Nie zawiódł - przyznał.

- Niech więc wie, kogo kochała.

- A oni?
- To tragedia. Dla nich nie ma przyszłości.
- Jak to? Dlaczego?
- W tej chwili tramwaj zakołysał i szarpnął i Władek drugą ręką chwycił się poręczy.
- On jest skazany.
- Co mówisz?
- Ma białaczkę, a na to nie ma ratunku.
- Mój Boże!
- Tak.
- To co będzie?
- Ona zostanie sama.
- Sama? W tym domku?
- W tej ruderze, jak powiedział.
- Chyba jej tak nie zostawimy... samej... - Wstrząśnięty pochylił się nad matką.
- Nie zostawimy.
- Mamo - nagle przypomniał sobie. - To już jutro Wigilia...
- Wigilia. A my jeszcze nie kupiliśmy choinki...